

ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXIV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT I.

Paździer.

WARSZAWA,

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12½.

Druk ukończono d. 1 października 1896 r.

Ze staropolskich anegdot i przypowieści.

W pracy o przysłowiach, umieszczonéj w poprzednim roczniku „Ateneum", wskazaliśmy na olbrzymi foliant wierszy Wacława Potockiego, zatytułowany „Moralia", jako na niewyczerpane źródło polskiéj paremiografii.

Jak z każdą inną z swych prac, nosił się Wacław Potocki i z „Moraliami" przez całe dziesiątki lat. Sam nie drukował niczego; odstraszały go mniéj koszta, więcéj brak oceny i uznania w latach, kiedy to coraz bardziéj ograniczano wszelką lekturę domową do sylabizowania starych kalendarzy, zasadziwszy na nos okulary; lecz najwięcéj odstraszały poetę, rznącego prawdę - matkę duchownym, magnatom i szlachcie, jawna nietolerancya wieku, nie znosząca żadnéj krytyki ustalonych raz, acz potwornych norm życiowych, stos Łyszczyńskiego, jednem słowem czas ów,

Kiedy zawarto wszelki sposób do mówienia.
Jakoż i pismo wyniść ma na ludzkie oczy?
Abo go spalą, abo mól w kącie roztoczy.
Choćby i wyszło, tyle głosu uczyni,
Co drumka abo mucha w hirkańskiéj pustyni.

Roku 1669 zabrał się Potocki do spisywania i tłumaczenia sentencyi i przypowieści polskich i łacińskich; niebawem przerwał pracę,

choć jéj nigdy zupełnie nie porzucił; r. 1688 wrócił do niéj i popierał ją odtąd stale i systematycznie aż do końca życia; wynikiem téj pracy był ów wspomniany właśnie foliant. Stanowi on prawdziwy skarb i dla ocenienia duchowéj fizyognomii poety—który tu złożył, nie obawiając się niepowołanego oka, wyznania swe religijne, polityczne i literackie—i dla oceny czasów i ludzi, scharakteryzowanych do najdrobniejszych szczegółów; zawiéra również próby staropolskiego humoru, które nas tu zająć mają, próby rubaszne i dosadne, ale swojskie, co bywa najważniejszym, bo najrzadszym przymiotem anegdot i facecyi, zwykle po całym świecie zbiéranych; opowiedziane z ową werwą i zamaszystością, cechującą całe literackie wystąpienie Potockiego. Otóż, z nieznanego tego rękopisu zamieszczamy niżéj kilka anegdot, wybiérając przeważnie takie, któreby objaśniały pewne przysłowia i dopełniały tym sposobem poprzednią pracę naszą, czego bowiem zbiéracze próżno szukali, to odnajdziemy u poety-facecyonisty, znanego i lubianego na całém Podgórzu, znającego i lubiącego wszystko, co dawne a rodzime. Zapomnieliśmy np. zupełnie przysłowie: „A toż tobie Bysiu mazia,” znaczenie jego i traf, jaki je wywołał: jedno i drugie, opowiedziane u Potockiego, usprawiedliwia nasze przypuszczenia („Ateneum”, 1895, III, str. 546); przytaczamy tu więc cały wiersz:

Przedawszy parę wołów chłopek na Kleparzu:
Przynieś, co najlepszego trunku, gospodarzu!
Postrzegszy frant gospodarz u błazna piéniędzy,
Skosztować małmazyey poda mu czym prędzéj.
Rozumiał ów, że piwo, jakie pijał doma;
Że słodsze, będzie groszem abo droższe dwoma,
Ani będzie od mazi droższa małmazyja.
Dobywszy z torby kukle, gryzie a popija.
Aż skoro trzeci garniec zawróci mu głowę —
Nie wié, że już piéniędzy zostawił połowę —
Poszedł ze psy na barłóg. Nazajutrz, kukiołki
Zażywszy, każe znowu na swe nosić wołki.
Pije po wczorajszemu; aż skoro dzień trzeci,
Pyta, co za ten trunek przychodzi Waszeci?
Jakby chłopa koprową gomułką w pół przeszył,
Tak się, słysząc, że wszytko zostawi, uciesżył.
A szynkarz, kiedy z niego drwiąc piéniądze chowa:
Mędrszy pójdziesz do domu, niźli do Krakowa.
Napiwszy i potrzebnéj nauczywszy sztuki,
Jedeneś koszt za trunek dał i od nauki.

Nie do smaku—do targu abo do szacunku,
Nie do gęby,—każ dawać do kaléty trunku.
A chłop idąc do domu, w czuprynę się skrobie;
A toż Bysin mazija, a toż Kraków tobie!
Dość chłopu łba gorzałka, dość piwo zarazi;
Dość nań kupić, żeby wóz nasmarował, mazi.
Nie chłopów, siłu dziś tak szlachty głupiéj ginie:
Przedawszy wieś, pieniądze przepiją na winie.

Chłopek zapomniał się był swą piędzią mierzyć— przysłowie znowu klasyczne, nie polskie: *nostro nos metimur pede* -- i mądry po szkodzie. Ciekawsze inne opowiadanie, o początku przysłowia Pan Kurek Pannę Maglownicę, stosowanego przy nienadanych, więc śmiesznych ceremoniach, jakiemi się prości ludzie honorują, przedrzéźniając wyższych; zamiast powiedziéć, że kurek (kogut) maglownicę stłukł, wiejska czuba (dziéwka) waszmościać im zaczęła ku wielkiéj uciesze gości, a rzecz miała się tak:

Szlachcionka jedna, panny nie miawszy służebny,
Kmiotkę w lnianą koszulę ubrawszy ze zgrzebny,
Bierze z sobą w gościnę. Ale wprzód napomni,
Żeby jak najprzystojniéj, wszytko jak najskromni,
Czyniła, co jéj każą; waszmościała wszytkim,
I odwykała wiejskim obyczajom brzydkim;
Mianowicie u stołu patrzyła, jeśli ją
Posadzą, jako panny jedzą, jako piją:
Milczéć; spyta kto, cicho odpowiedziéć; słuchać;
Na łyżkę całą gębą po wiejsku nie dmuchać;
Nie rządzić; nie przestawiać, żeby nie znać na niéj;
Ręce założyć, skoro na nię pojrzy pani;
Pokrajawszy, na nożu w gębę kłaść z talerza;
Uczy tańca wielbłąda i wilka pacierza.
Siedzą panie; w niezwykłéj stoi czuba szacie
Przed niemi, aż się hałas jakiś stał w komnacie.
Prosi jéj gospodyni, nie żałując prace,
Żeby zajrzała, kto tam tak barzo kołace.
A ta z nizkim ukłonem: Jegomość pan kurek
Stłukł pannę maglownicę, wleciawszy na murek.
Śmiejąc się gospodyni: daj zdrowie Ichmościom;
Wielcem rada w domu swym niebywałym gościom.
Ztąd przypowieść: Pan Kurek z panną Maglownicą,
Kiedy się waszmościają pachołek z woźnicą.

A że już skończę bajkę z przypowieścią społu,
Posadzono też czubę z inszymi do stołu.
Był na półmisku kapłon pieczony; wziąwszy ta
Kolano, z apetytu zębami go chwyta;
Ciągnie garścią, jako pies, przystąpiwszy nogą;
W tym razie pojrzy pani twarzą na nię srogą:
A moja czuba ręce, jako jéj kazano,
Wskok złoży, zostawiwszy w paszczęce kolano.
Wszyscy w śmiéch, pani tylko od wstydu nie zgore:
„Nie wezmęż ja cię drągu w gościnę powtóre.”
Dano kaszę na koniec; jeść się jéj chce srodze;
Aż owa: dmąć chaw (tu), głosem zawoła, gospodze (pani!)
Będę ja téż. „Dmi, bodaj rozpukła; do bydła,
Nie do ludzi, do świni, maszkaro obrzydła;
Prawiem ci się uczciła, od wideł, od gnoju,
W panieńskim, koczkodona, czopa, wożąc stroju.
Niechaj wszytkie ziemianki mną się karzą dzisia,
Że pstre cynki kondysa nie przerobią w rysia.”

Opowiadanie charakteryzuje nie tylko czubę ale i ową szarą pychę, co to dziéwkę od krów za pannę pokojową a pachołka stajennego za lokaja by udawała a ileż to razy nawija się podobny motyw i w życiu i w powieści obyczajowéj; zwracamy również uwagę na przepis, by na nożu kłaść kąski do ust. Inne, również zmyślone a również trafne opowiadanie wyjaśnia początek, również zapomnianego dziś przysłowia podgórskiego: Mów Marku, da li Bóg?

Do starszego młodszy brat, Marek do Stefana,
— Znaczna szlachta przezwiskiem — przyjedzie w dóm zrana.
Prosi na sztukę mięsa, tymczasem go bawi;
Dano wody, nim sługa na stół ją postawi.
Świadczy gospodarzowi ów swoję ochotę,
Myjąc ręce: będęż jadł ze smakiem oto tę.
Ej mów Marku, da li Bóg, rzecze mu brat starszy.
Więc siędą za stół, palce ręcznikiem otarszy.
Chcąc gość połknąć z wielkiego apetytu całkiem,
Nie pożuwszy wprzód, pierwszym dawi się kawałkiem,
Który skoro gospodarz pięścią wrócił z karku:
Wszakem cię wczas przestrzegał, mów: da li Bóg Marku!
Ztąd przypowieść w Podgórzu; upewniam, że wszędzie,
Kto żre nie przeżegnawszy, każdy Markiem będzie.

Pierwéj po apostolsku trzeba błogosławić,
Pożuć po ludzku w zębach, kto się nie chce dawić.

Naukę tę prawi poeta, własném popierając jéj doświadczeniem, przynajmniéj czytamy w innéj przypowieści (Ukąsisz się w język), co następuje:

Przyjadę z pola samym do domu wieczorem —
Kamienia bym ukąsił—z apetytem sporem.
Aż kapłona zdjętego niesą z kuchnie (z) rożna.
Jakoż chęć ludzka wszędy nie bywa ostrożna!
Kości mi tylko wadzą, że go nie zjem całkiem;
Alem w język za pierwszym ukąsił kawałkiem
Nóż cisnę; gębę dłonią zatkam, bolu znakiem;
Mściłbym się, bo jest czego, ale niemasz na kiem.
I apetyt u kata! Siedząc potym cicho,
Jeśliż w gębie, gdzież człeka nie namaca licho?...
Drugą po téj przyczynę kładłem mego szwanku,
Żem wprzód Bogu, niżlim jadł, nie oddał habdanku i t. d.

Zwyczaj błogosławienia stolu, nim się doń siadało, nieznany dawniéj, w siedmnastym wieku znowu powoli się zatracał, o czém wyraźnie świadczy Potocki w drugiéj waryacyi tego samego tematu (Mów Marku, da li Bóg):

Wżdy Lutrzy, starożytéj przestrzegając mody,
Nim do stołu usiędą, błogosławią wprzódy.
Nie ujrzysz błogosławiąc, bo nie polityka,
Prócz księżéj—i to rzadko—dzisia katolika:
Jako nieme bydlęta do żłobu z okołu,
Idą ludzie, nie pomniąc na Boga, do stolu.
Chyba jeśli się trafią księża abo mniszy;
Ci żegnają, ale cóż, kiedy nikt nie słyszy?
Choćby wszyscy słyszeli, też tylko rozumié,
Czy dziękuje czy prosi, kto łacinę umié.
Naprzód się téż obeżre, do święconéj pałki
(Jeśli wina nie będzie) nalawszy gorzałki.
I owe powierzchowne swe błogosławieństwo
Przed Bogiem i przed ludźmi obróci w błazeństwo.

Przyplątał tu Potocki stałą skargę za używanie niezrozumiałego języka, w rzeczach wiary i sumienia, co zaś o lutrach mówi, i dziś jeszcze, choć coraz rzadziéj, u nich popłaca. O impecie własnego

apetytu i temperamentu świadczy poeta i w innéj przypowieści (Na brytwaneczce czy na ryneczce?):

....Daj jeść! wołam, kucharzu, powróciwszy z pola.
Jest kapłon zimny, jeśli przysmażyć go wola?
Smaż chyżo, a ty chłopcze utocz wina w beczce.
Aż kucharz: na ryneczce czy na brytwaneczce?
Smaż, na czym chcesz, bo cię zjem, złodzieju! z nogami.
Znowu ów: z kubebami czy z kardamonami?
Widząc, że zdrajca bawi pytaniem tak długiem,
Daj na zimno, wyciąwszy po szyji kańczugiem.

Przysłowie to wyszło z własnéj kuźni Potockiego, który tyle nowych słów natworzywszy, że mu i Krasiński nie dorówna, i nowych przysłów nie skąpił; przytoczymy tu jeszcze jedno, jakby z własnéj obserwacyi powstałe, choć i przez innych powtarzane: Ni z tego, ni z owego, życzę Waszeci wszystkiego dobrego:

Po Wielkiej Nocy w niedziel sześć, rzekłbym, że szuja,
Lecz szlachcic — wesołego w mój dom aleluja,
Przyszedszy, winszuje mi, oraz kłania mostem.
Pytam, czego mu trzeba; powie, że tylko z tem.
Sadzać za stół niemaszco, bo cętki po czele;
Już dawno wielkonocne minęło wesele.
Podziękowawszy, rzekę, już zielone świątki;
Ducha świętego sobie winszujmy pamiątki.
Aż ów: stary kalendarz trzymam; naszej pasce
Dwie niedzieli dopiero; jednak, kwoli łasce,
Nie mogąc jej Waszmości zasłużyć czym inszem,
Z obu z nizkim oddaję kalendarzów winszem.
Szóstak dawszy i ja mu życzę łaźniej prędkiej,
Gdzieby z czoła tak szpetne spędził balwierz cętki,
I między przypowieści polskie to policzę:
Ni z tego, ni z owego, wielce zdrowia życzę.
Dobrzem żyw (ledwie żyję) kiedy szlachcic, co wszytko prze-
Stojąc prawi z łaciną długie oracye; [pije,
Że tego nie mógł przepić, co wziął w głowę w szkole,
Trzeba za to słuchać go i sadzać przy stole?
Gdyż by na swój pożytek obrócił nauki,
Nie żebrał zstarzawszy się po wsi chleba sztuki,
A raczej nabożną pieśń za drzwiami zaśpiewał —
Lepszej by się odemnie jałmużny spodziewał.

Od takich własnych urobów Potockiego, wracamy do przysłów, kursujących oddawna, przytaczanych i opowiedzianych przez poetę — nie zawsze nawet w pierwotnéj redakcyi. Niewłaściwém przynajmniéj wydaje się nam, co on o powstaniu przypowieści: Nauczę cię w kościele gwizdać, zapisał. Odnośne słowa podały już „*Jovialitates*" — więc tu, gdzie tylko nieznane rzeczy ogłaszamy, powinnibyśmy je minąć, ale interesuje nas materyał apokryficzny, tłómaczący dualistyczny ustrój świata, istnienie złego obok dobrego, zawarty w tych kilku wierszach a imponujący, jak chyba żaden inny, dawnością i rozszerzeniem po całéj półkuli ziemskiéj, po tundrach syberyjskich jak w preryach amerykańskich, nad Kaukazem, u Jakutów lub między Irokezami; w rzecz samą nie możemy się tu daléj zapuszczać, wskażemy chyba studyum prof. Wesołowskiego, poświęcone tym mytom, p. t. „Wierzenia dualistyczne o stworzeniu świata"; powtarzamy tylko tekst Potockiego wedle rękopisu Moraliów:

Łżesz! chłopu w karczmie rzekł chłop. A na tejże ławie
Siedząc ksiądz: Azaż to mówią tak plugawie?
Jakoż, kiedy nieprawda, tylko—rzecze—gwizni.
Tak wszetecznych słów słuchać nie powinien bliźni.
Wrychle potym ksiądz kazał: kiedy Pan Bóg z błota
Stworzył człeka zdrowego, postawił u płota,
Żeby usechł, jako się chytry szatan skradzie,
Ospy, odry i różnych wrzodów weń nakładzie.
A tu chłop, znający się na tej robociźnie,
W ławce siedząc z drugimi, co ma pary, gwiźnie.
Tu ksiądz: cóż, czy nieprawda? Tylko ojcze, rzekę,
Kiedy człeka nie było, któż grodził pasiekę?
Ztąd ci miejsce przypowieść staroświecka ściele,
Dajże pokój, nauczę gwizdać cię w kościele.

Tu wątpimy tylko, czy Potocki na właściwe źródło przysłowia trafił; w innym razie zawiodła go pamięć zupełnie, np. w przypowieści „Czekaj babko na latko":

Chłopcu dopiero dziesięć, babie lat czterdzieści,
Z którym kiedy się codzień strojąc, karmiąc, pieści,
Pyta chłopiec, jako jéj tę łaskę odsłuży?
Pojmiesz dorósszy; będę czekać by najdłużej.
Aleć jeszcze nie dojdzie piętnastego lata,
Kiedy go uprzedziwszy, śmierć z babą się swata.

Z tey podobno Polakom przypowieści gadka
Urosła: czekaj babko do mojego latka.

Przypowieść ta, więcéj znana w formie „Czekaj tatka latka", o próżném czekaniu, powstała z innego, zwyklejszego trafu; co Potocki opowiada, tego doczytał się on w swoim Erazmie, z Antologii, i udał przez zapomnienie rzecz klasyczną za polską. Przytaczamy daléj obie relacye Potockiego o początku przysłowia: „Po smacznym kąsku nie wadzi się napić", o którém w „Ateneum" (1895, III, str. 545) wedle Księgi Chamów, gdzie nazwiska działających osób wymienione, wspomnieliśmy:

Postrzegszy Wojewoda, że mu jeden z młodzi,
A pachołek nieżadny (niebrzydki), Jejmości dochodzi,
Pomście i kwoli domu swojego ohydzie,
Zagniewany, utopić rozkazał go w Nidzie.
Ten, widząc panią w oknie, kiedy go już wiodą:
Zmiłuj się Dobrodziejko nad moją urodą;
A przynajmniej, jeśli już ginąć, niechże człeczem,
Nie psiem kształtem, nie wodą, lecz umieram mieczem.
Proszę, przyczyń się za mną z swego obowiązku!
— Idźcie, po smacznym napić nie wadzi się kąsku!

Drugą relacyę powtarzamy w nieco skróconéj formie:

Mąż się bawił publiką, bo człek był uczony,
Młodej w domu z wyrostkiem odjeżdżając żony.
Częsta konwersacyja okazyją zatem,
Że się ów stał ze sługi — Jejmości gamratem...
Wróci pan, każe topić, wrzuciwszy w jezioro.
Widząc ten panią w oknie: Dobrodziejko, rata!
Wyproś mię, abo odmień sposób śmierci. A ta i t. d.

Jak o tylu innych, dawnych zapomnieliśmy i o przysłowiu: „Chcesz Jasiu kaszy" i t. d.; opowiemy najpierw za Potockim rzecz samą, nie odrzucając przypiętéj moralizacyi (w przypowieści p. t. „Jedną ręką chwytać, drugą odpychać"), poczém przytoczymy zastosowanie tegoż przysłowia polityczne, z okazyi pokoju, Polakom przez Turków ofiarowanego, jakiego Polacy gorąco pragnąć byli winni, a mimo to odpychali ze względu na przymierze austryackie (w przypowieści p. t. „Umyka zając z ogonem"):

Jasiu, chcesz kasze? Nie chcę. Jédz Jasiu. Nie będę.
Czemuż? Bo nie chcę. A mać, widząc jego zrzędę,
Że Jaś czeka proszenia, choć połyka ślinki,
Idzie, wziąwszy sierp, kaszę wstawiwszy do skrzynki.
Myśląc ten, że nie przyjdzie aż w południe samo:
Mówże jeszcze, będziesz jadł Jasiu kaszę, mamo!
Czemużeś wtenczas nie chciał, kiedym cię pytała?
A Jaś na poły z płaczem: boś łyżki nie miała.

Niech wszyscy hipokryci tym się Jasiem karzą;
Niech nie stroją grymasów, serce różniąc z twarzą.
Rzadki z Tyberyuszem, komu się ta uda
Nieszczyrość abo w ludzkich afektach obłuda....
Niechciał tego, co było, ścisnąć garścią w dłoni,
Abo już nigdy, abo nie rychło, dogoni.

Przystosowanie polityczne téj przypowieści:

....Gdzie niemasz sił, próżny gniew, stara to nauka;
Słabszy z mocniejszym zgody, zwadziwszy się, szuka.
Czemuż Polacy na swą, choć z mocniejszym, szkodę,
Turczynem, po tak ciężkiej wojnie zwłóczą zgodę?
O co mieli slać, on szle. Patrzą na cesarza:
Owca na psa u wilka; pewnie ich to sparza:
Puści wilk? pies ją porwie; niemasz czym w ostatku
Brakować, tak być u psa jak u wilka w zadku.
Tym czasem orda spadnie, nim konie opasiem.
Bodaj z owym w kolebce nie przyszło nam Jasiem
Mówić (gdyż pokazuje podobieństwo samo):
Spytajże mię jeszcze, chcesz Jasiu kasze? mamo!
Abo z owym, co nasiek, ilekroć się błyśnie,
Kradnąc w nocy ogórki, z rąk na niebo ciśnie:
Skoro go szukać przyszło, bo wpadnie w bylice,
Błyśni że, dam ogórek, prosi błyskawice.

Po téj ekskursyi na polu przysłów i przypowieści, wracamy do właściwych anegdot; pierwsza, którą przytaczamy, choć nie historyczna, gdyż przysłowie o wiele starsze, niż pobyt posła w Krakowie, maluje niemal kościoły ówczesnego Krakowa, znane dobrze Potockiemu z częstych wycieczek do miasta:

Niepewny dom, gdzie siła gospodarzy.

Czekając poseł perski w Krakowie odprawy,
Chciał też widzieć kościoły; do czego przystawy
Dadzą mu od biskupa, bo sam tego żąda.
Wprzód w rynku Matki Bożej świątnicę ogląda,
Wielce mu się podoba; Świętej Trójce potem,
Figurami i świetnem okazały złotem.
Ztamtąd, które w tytułach mają apostoły;
Że zgoła wszytkie rzędem obchodził kościoły.
Aż wspaniałe zakony, nieminął i Skałki,
Gdzie orłowie wielkiego biskupa kawałki,
Od bezbożnego króla rozsiekane, śmiało
Za rozkazaniem boskiem w jedno znieśli ciało.
Dopieroż, gdy na wierzchu Wąwelowej góry
Widzi tegoż świętego poważne struktury,
Pełne starożytności, śpiżą lite szczyty —
Pogasły Babilońskie przed nimi meczyty;
Niech się Kair nie pyszni, rzecze, i Alepy.
Trafił do Wszytkich Świętych, właśnie kiedy sklepy,
Nużne starością — na co materyą wożą,
Ale nie przez niedozór — ruinami grożą.
Że żadnego z znaczniejszych nie minął kościołu,
Nazajutrz od biskupa proszony do stołu,
Każdy niemal, jakożbył w rozmowie nie głupi,
Wspominał, nie bez wielkiej uciechy biskupi.
Wszytkie chwalił zakony, wysławiał reguły;
Jako o swym kościele każdy święty czuły,
Piotr, Jan, Andrzej, Stanisław; tu się trochę skręci:
Jedni na drugich, wszyscy spuszczają się święci;
Jeśli się i ty na nich spuścisz i pomocy
Omieszkasz kościołowi, przepadli prorocy.
Aleć nie dziw, toż waszy powiadają starzy:
Że najlepiej, gdzie w domu jeden gospodarzy.

Humor polski.

Gdy jechał Rey do Anglów przez Holendry, z gniewu
Zabił Polak Holendra i przysądzon drzewu —
Żadnego tamte prawa niemają respektu.
Widząc go, wyjechawszy rano z Ultrajektu,

Uchyliwszy firanka, wesołą postorą,
Rzecze do swych z karety: przecię naszy górą!

Wet za wet.

Ktoś przyniósszy w zanadrzu cytrynę umyśnie,
Dając Królowi, prosi o starostwo Wiśnie.
A Król, że żył starosta, odpowie jak z proce:
Bardzo słuszna, owocem nagradzać owoce.
Jednak że Wiśnie niemasz, na ten czas się figą
Kontentujcie! Zrozumiał i poszedł za dygą.

Kto chce rozumieć, trzeba doczytać.

Niechcąc, żeby się bawił w zacne święto wiechą,
Ksiądz Bełza polskie dzieje pod swym czytał klechą.
Na samym końcu karty napisano było:
K r ó l B e ł z a. Tu ksiądz klesze: aże wspomnieć miło,
„Że też i w domu naszym, co dziś tak wzgardzony,
— Dawszy mu owo czytać „bywały korony".
A frant ksiądz nie przewrócił z peryodem karty,
Gdzie pisano: d o b y w a ł k i e d y m u z a w a r t y.

Nie nadana Ceremonia.

Spragnąwszy król Kazimierz goniąc zwierza w boru,
Wstąpił do szlacheckiego, chcąc się napić, dworu.
Rad był szlachcic ubogi, że go Pan nawiedził.
Skoro z bębna ostatek piwa w szklenicę zcedził,
Przyniesie mu do konia, a król: „pijcież, mówi,
„Wszak zawsze kredensować należy królowi."
Skosztowawszy ów znowu z ukłonem mu poda;
„Wypijcież do dna" rzecze „tak niesie ta moda";
Wypił ów do kropelki; „każcież nalać teraz".
Szlachcic złożywszy ręce „przysiągłbym i nieraz,
Choćby pod sercem było, choćby szczerozłote,
Dałbym, gdybym miał, widzisz wszak moję ochotę."
Śmieją się wszyscy, a król zostawszy na koszu:
Nie trzebaż ceremonijej zażywać w Mazoszu.

Anegdotę: „Z pustej kleci sowa wyleci", skracamy. Szlachcic wyprawia syna do dworu znaczniejszego pana; żegnając syna-jałata (błazna), upomina go obszernie, uczy grzeczności, aby też nie był przy

stole głuchym i niemym, aby też wtrącał w dyskurs stosowne słowo i t. d.; obszerne te nauki opuszczamy:

Tak od ojca wyprawion wielkim aparatem
I kosztem, jakim dotąd doma był jałatem,
Pułroka był przy dworze. Nim wyjadą w pole,
Kiedy wzmiankę myśliwstwa czyniono przy stole,
Każdy co swego powie, wedle mody stary;
Ten charty, drugi wyżły, a trzeci ogary,
Nie prawdęć, byle kształtnie; tak zwykli myśliwi;
I niech się przypowieści owej nikt nie dziwi,
Że dwadzieścia myśliwych, dwadzieścia malarzów,
Pogrzebnych kaznodzieji tyleż, kopa łgarzów.
Aż mój jałat, dzisiejszą (zam. „dawniejszą”) wspomniawszy
Wielkim głosem: i jam też doma zabił sukę. [naukę,
Pojrzą wszyscy po sobie, gdy tak rzekł wyraźnie.
Aż ktoś: do czegożeś ją to tu przytknął, błaźnie?
A ów znowu, jak z bicza, niemyślący siła:
Do płotu, pry (prawi), widłami, aże popuściła [1].

Poślesz świnie, przyniesie ono.

Przyjechałem trefunkiem do miasta w niedzielę,
Aż się bierze do ślubu szlacheckie wesele.
Więc dowiedziawszy o mnie, przyjdą, prosząc srodze,
Żebym ten akt ozdobił. Prawdziwiem ci w drodze,
Na weselem nie gotów; musiałem pozwolić,
I czym prędzej każę się balwierzowi golić.
Szlę chłopca, już sam bywszy na ranej mszy w święto,
Jeśli *Veni Creator* w kościele zaczęto?
Pyta się franta błazen, co o tym nie słycha.
Zdrajca, pod kazalnicą z długą brodą mnicha,
Który ludzi zwyczajnie miał słuchać spowiedzi,
„A to *Veni Creator*”, pokaże mu „siedzi”.
Wróciwszy się chłopiec: już jest, rzecze, Mości Panie,
Przyszedł Veni Creator, będzie miał kazanie.
Widziałeś go? Widziałem, z bardzo wielką brodą;
Pan młody przed ołtarzem klęczy z Panną młodą.

---

[1] Ów pyta, dla czegoś o tém tu wspomniał; ten zaś pojmuje pytanie dosłownie.

Rozśmiawszy się, posyłam sługę; ten mię sprawi,
Że jeszcze za godzinę ksiądz mszej nie odprawi.
Ledwiem się mógł w kościele zatrzymać, dla grzechu,
Widząc pod kazalnicą przeora, od śmiechu.

Druga facecya na ten sam temat:

Młodzian jeden, do damy idąc w komplementy,
Żeby kupiwszy bukiet, kwiatkami opięty,
Przynieść sobie od damy drugiej, chłopcu każe —
Za mu ta, z zelozyej (zazdrości), większą cześć pokaże.
Przyniósł chłopiec; pyta pan, co, dając go, rzekła?
Nic, schowawszy grosz, bukiet z kosza mi wywlekła.
Łacno o takie damy, co siedząc przy koszu,
Fawory kawalerom swoim szlą po groszu,
Rzecze owa, śmiejąc się; przynajmniej by taler
Mógłby zań, jeśli grzeczna, posłać jej kawaler.
Dość przypowieść dzisiejsza utwierdzi się probą,
Podobni sobie łacno w targu zgodzą z sobą.

Sroka we krzu.

Kilku braci we środę, jeźli dobrze pomnię,
Imojazdą wstąpiło na śniadanie do mnie.
Dzień był wietrzny, zawartka i marcowa haja.
Z nabiałem gotowano; że też dano jaja,
Które kiedy chce wypić, zamieszawszy całkiem,
Człek żartowny upluskał czarną brodę białkiem.
Aż siedząc przeciw niemu: chłopcze, podaj w skoki
Ptaszynkę moję; zmierzę we krzu do tej sroki!
Postrzegł się przy gotowej i ów odpowiedzi:
Darmo to panie bracie! pewnie nie dosiedzi.
A oraz brodą trząśnie: i sio! rzece sroce,
A ta przez stół w pół czoła owemu jak z proce.
Dajże teraz rucznicę, bo na polu siadla
Z gęstwiny; choćby miała sto skrzydeł, przepadła.
Wszyscy w śmiech; potem w wino; że na onę srokę
Już ich dzisia nie puszczę, do jutra odwlokę.

Niepotrzebny skrupulat.

Gorący dzień był w święto, podobno mniej zgrzeszę,
W rzece się po nieszporze kąpiąc, rzekę klesze.

Drogo by ta Waszeci stanęła uciecha!
Wielki grzech dziś się kąpać, odpowie mi klecha.
I niebardzo bezpieczno, bo grzech pomsta tropi;
Siłu czart ludzi w święto kąpiących się topi.
Już było po nieszporze; wietrzyk pocznie dmuchać;
Idę sobię, słowika za browarem słuchać,
Bowiem w gęstej rokicie zwykle przed wieczorem
Kilku się ich nad zwykłem ozwało jeziorem.
Aż się i z głową w błocie ów skrupulat narza,
U żyda się gorzałką spiwszy arędarza.
Ujrzawszy go nazajutrz: wierę, nie do mody,
W święto wleść w błoto, komu zabroniwszy wody.

Przewarzana kapusta.

Ksiądz najczęściej kapustę przewarzaną jada,
Bo zawsze chłop jednego grzechu się spowiada,
Gorzałki tylko samej; nie wspomni kradzieży,
Nie wspomni cudzołoztwa. Wżdy też kiedy świeżej
Przynieś, rzecze ksiądz żartem, bo się przewarzana
Już przyjadła kapusta. Ukradszy barana,
Powie księdzu do ucha. Pochwali ten, że się
Szczerze przyznał do grzechu; aż ów wołu w lesie,
A dalej żyda zabił z pieniędzy na drodze.
Rozważa to surowo, gani mu ksiądz srodze,
Że proste na taki grzech nie idą odpusty,
„Aleście świeżej nosić kazali kapusty?
„Musiałem ci, rzecze chłop, na to się odważyć,
„Gdyżbyście jej inaczej trudno mieli zażyć.

Cobyśmy radzi widzieli, prędko wierzymy.

Jeden Pan w Polszcze, kwoli poczesnej osobie
Że go obiorą królem, w głowie ubrda sobie.
I był, co go z Warszawy, gdzie i podobieństwa
Nie było, w tym upewnił, tylko dla błazeństwa.
Cieszy się, głaszcząc brodę, i tym wierzy prędzéj,
Im bardziej życzył; ani ochrania pieniędzy.
Dawno też na to grzmiało, że z długiego gromu
Jakubowi dziś królem być z Gawronów domu.
Do krewnych i przyjaciół z tym rozsyła listy;
Gwardyją w płaszcze stroi, kędy herb ojczysty

W orle koronnym każe przyszywać na plecy,
Żeby jako w największej mógł wjeżdżać splendecy.
Z gotową oracyą posłów po się czeka,
Ale wprzód swego, który w Warszawie był, człeka.
Przyjechał ten; że był Włoch, po polsku nie umiał.
Dziwno mu, widząc pana, że nagle zaszumiał;
Bo do tych czas żył skromnie, ochraniając grosza,
Nie chował, prócz hajduków pary do łogosza (konia).
A potym dyaryusz, skoro go przywita,
Warszawski przy wszytkich mu po łacinie czyta.
Jego dwaj mianowali; niewie, kogo trzeci;
Tylkom słyszał: kep si to, że rzekł na Waszeci.
(*Tertius autem discit ordine* Kepsito).
Na to ów: Bodaj że go haniebnie zabito,
Jakbym nie mógł czym trzecim, rzecze z serca bólem,
Tylko już być abo kpem, abo polskim królem.

Z błaznem do ślubu jako i na ryby.

Bogatego syn ojca, gdy mu wsi nakupi,
Chociaż był z przyrodzenia i szpetny i głupi —
Lecz intrata w rozumie zatykała dziórę —
Żeni się; nie bogatą, ale piękną córę
Grzecznego ziemianina w stan małżeński bierze,
(Z rady krewnych, już ojca nie miał i macierze).
Na które zaproszony i jam przybył gody.
Maryną panna młoda, Janem był pan młody.
Zapomniał ksiądz, choć mieszkał o kilkoro stajan:
Mówcież za mną: ja Marcin. A ów głupi: ba, Jan
— Tać jest, że go Bajanem dziś zową przyczyna—
Znowu ksiądz: ja Maryna. Ów też: ja Maryna.
Że wszytko trzeba mówić, rozumie, pod grzechem,
Co ksiądz rzecze; ledwie się nie pukamy śmiechem.
Więc że niewiedział, kiedy rodzicom się kłaniać
(I tak było z czego drwić i czemu przyganiać)
Przy oddawaniu panny, nie każą mu, aże
Trąci go z nich który w bok, skoro czas pokaże.
Prawi ktoś oracyą o Ewie z Adamem;
Jako zawsze źle było człekowi żyć samem;
Jako niemiłosiernie Kain zabił Abla —
W tym go czyjaś niechcący w bok trąciła szabla.

A ten szast Panu Ojcu, szast Pań Matce potem.
Toż Pannie z nizkim do nóg upada obrotem,
Że Kain Abla zabił. Trąci go ów, żeby
Tak bardzo się bez wszelkiej nie kłaniał potrzeby,
A ten znowu dziękując, do ziemie się zgina,
Że Kain Abla zabił, nie Abel Kaina.
Niepodobna utrzymać śmiechu było w sercu.
Nakoniec mu się nogi uplącą w kobiercu,
Padnie jak długi, w ziemię uderzywszy nosem.
Co gorsza, na cały dom trzaśnie spodnim głosem.
Skończy się oracya, bo skoro zakadzą,
Żeby się niechciał . . . . ., z izby go prowadzą.

Anegdota ta od prawdy wcale nie odbiegła, przynajmniéj opowiada niemal to samo o własnym (pierwszym) mężu, „ezopie", Kaz. Warszyckim, kasztelanicu krakowskim, Anna z Stanisławskich w swéj autobiografii: zawsze czapką dawał znać „ezopowi" drużba, kiedy się kłaniać albo pić wypadało; Kazuś téż ani na gości, ani na pannę młodą, tylko na czapkę patrzał.

Suknia grzecznemu przydatkiem, błaznowi ujmą.

Chcąc ktoś wielkiego durnia grzecznej udać wdowie,
W soboliej ferezyey, w świeżym złotogłowie,
Prezentuje wieczorem i sadza u stołu,
Choć nie mógł trzech słów dobrze wymówić pospołu.
Uszło to do wieczerzy; skoro do obiadu,
Postrzegszy, że i suknie były nie do ładu,
Jako nie nań skrojone, i ten co pożyczył,
Żeby ich nie popluskał, coraz się z nim ćwiczył—
Gęby nie śmie otworzyć, chyba na kieliszki,
Nawet biednej nie umie dobrze ująć łyżki,
W tańcu wodzą jak tura, ni cery, ni wzrostu,
Zgoła w coś go tknął, wielkim błaznem był po prostu.
Więc gdy prośbę przyjaciel wniósł humorowaty,
„Sobole, rysie, do mnie przyjechały w swaty
„Człeka pasz, rzecze wdowa; jeśli na przedaniu,
„Zapłacę, nikogo im niemam na wydaniu.
„Żeby nie zacnie rodził, tego nikt nie zada —
„Że szpetnie, nikt nie winien, jego własna wada."
Widząc przyjaciel, z błaznem że trudno na ryby,
Odjechał go nazajutrz, żeby liczył szyby.

Inszéj konwersacyej nikt w niem nie spodziewał,
Abo ręką za kołnierz sięgał, abo ziewał.
Nażartowawszy wdowa, każe na wóz wsadzić
I żeby gdzie nie zbłądził, z domu wyprowadzić.
Nie przetworzą moskiewskie sobole, kiedy się
Błaznem rodził, w grzecznego, ani perskie rysie.

Długo bawił, mało sprawił.

Wyprawił, jakiej jęli Polacy się mody,
Szlachcic syna gdzieś między zamorskie narody.
Dwanaście lat na tamtej wędrówce się bawił;
Dwanaście téż tysięcy substancyej strawił.
Cieszy się ojciec, witać gotuje Katona,
Aż on głupiego z mózgu widzi Korydona.
Uchwyciwszy za głowę: o moje tysiące!
O moje dwanaście lat! opasłbym na łące
Za jedno tylko lato chudego bubaja!
Wróć kto na pół pieniądze, weźm sobie hultaja.
Toż go kijem po bokach waląc: po naukę,
Nie po pludrym cię, zdrajco! słał, nie po perukę.
Przysięga ów, że dobrze umié po francusku.
„Z kimże będziesz w Wiślicy abo gadał w Busku?
„Umiesz za dwanaście lat—a wżdy za półroka
„Biedna kawa się gadać nauczy i sroka."
Umiem grać na gitarze, bom się w nię sposobił.
„A czemuż nie na dudach, prędzej byś zarobił."
Umiem kształtnie tańcować, gdzie się drugi pląta.
„Tańcujże też po kiju od kąta do kąta."

Milcząc pokryjesz, mówiąc wydasz wadę w języku, ba i w głowie.

Trzy córki jeden ojciec miał, wszytkie jękoty;
Więc kiedy miano do nich przyjechać w zaloty,
Zadziesiąta (zakaże) surowo, chcąli zamąż, aby
Milczały, bo pannami zstarzeją się w baby.
Siedzą dzień, siedzą drugi, milcząc, damy nasze.
Aż kawaler, nakładszy na talerzu kasze,
Poda pierwszéj z dokładem, że zacna kapusta.
Tu już nie mógszy wytrwać, otworzyła usta:
A wdyć to tasa dupce (kasza głupcze, chciała
Wymówić, złym językiem ale nie dośpiała).

Druga, kiedy kawaler chce całować rączkę,
Ujrzawszy na niéj świeżo zjątrzoną świerzbiączkę,
Tak śliczne, rzecze, ręce skrostawiały srodze!
I téj nie przyszło trzymać milczanéj, niebodze.
Chciała ręku ochronić, gdy ją tak zaczepił:
Jęceć jak jęce, udy jak ciastem oblepił.
Słysząc młodsza, że z starszych ta i owa kawi (plecie),
Że się sama popisze i owe poprawi:
A ja będę miała mąz, bom milcała, rzecze.
Rozgniewawszy się ojciec od stołu uciecze.
Młodzieńcy téż nazajutrz, oddawszy usługi,
Jadą precz, bo jednemu nie trzeba papugi.
Ta do wszytkich szepiotów i niemotów wada,
Że żaden nie chce wierzyć temu, że źle gada.
Z czego gdy się chce wywieść, choć go nikt nie pyta,
Za każdym słowem ślini albo zębem zgrzyta.

Po tym wyborze anegdot, który z facecyi w „Ogrodzie" Potockiego, bardzo pomnożyć by można—gdyby nadzwyczajna wyuzdaność wierszy na przedruk pozwalała, wracamy jeszcze na chwilę do właściwych przypowieści.

Czytamy np. w „Księdze Przysłów", pod Piątek gości rozgania": „Goście opuszczali zazwyczaj gościnne progi w piątek z powodu postu"—wywód mylny, wiemy przecież choćby z anegdoty, jak chętnie właśnie w post domy nawiedzano; trafniéj wywodzi Potocki:

Ochota w gospodarzu, dyskrecya w gościu:
Czytałem taki napis na ścienie w Zamościu.
I tom słychał, że piątek siedzących rozgania
Gości od wtorku, ani weń dają śniadania:

wedle znanéj reguły „Gość i ryba trzeciego dnia cuchnie" (dzień trzeci i ryby i gości brzydzi).

Nawet dla znanego „Pisuj (pisz) na Berdyczów" (przepadło, stracone) zdaje się nam, znaleźliśmy jakieś wyjaśnienie u Potockiego. Nie powtórzymy tu rozmaitych objaśnień przysłowia — o pocztmistrzu berdyczowskim, ekspedyującym listy na strych a znaczki do kieszeni (najpospolitszy euhemeryzm) i inne, zapisane w „Księdze Przysłów." Zdaje się nam, że powszechnie znany Berdyczów zastąpił mimowoli miejsce nieznanego Berdechowa — Berdechowem zaś nazywała się pierwotnie i nazywano późniéj resztki większéj fortuny, straconéj, przepadłéj na zawsze, przynajmniéj czytamy u Potockiego np.:

Przepiwszy substancyą utracyus, co mu
Ojciec odumarł, nie miał prócz jednego domu
Na pustéj roli, którą Berdechowem zowie —
Zkąd i dziś modę wzięli utracynsowie i t. d.

Poprawiamy również mylny wywód przysłowia: żyda grzebie (chowa się z winą jakąś) lub żyda na się grzebie (wydaje siebie samego), nadzwyczaj częstego w XVI i XVII wieku, np. właśnie w „Moraliach” Potockiego; przysłowie wzięte nie od starego Tobiasza, grzebiącego potajemnie żydów wbrew zakazowi królewskiemu, jak powszechnie tłumaczą, raczéj z niepewności dróg polskich, na których właśnie żydów rozbijano i zabijano, a srogości sądów wojewodzińskich, które za zabójcą dla znanych względów ściśle śledziły; często téż wspomina o tém Potocki, np. w przypowieści „Żyda gdzieś rozbił:”

Rozbije (kto w lesie) abo odrze mizernego żydka,
Garść pieprzu i barania skórka—korzyść wszytka.
Drugi napastwiwszy się i żywot wydziera
Bezbronnemu—gorsza ich od zajęczéj biera (los),
Bo choć nie zdole bronić, wżdy zając ucieka,
Biedny człek, cierpiąc starą, nowéj krzywdy czeka i t. d.

Energiczny i malowniczy styl Potockiego, bez wszelkiéj finezyi przebierającéj między słowami lub obrazami, lubuje się w zwrotach przysłowiowych; ztąd nieskończone ich mnóstwo u niego, przytoczymy chyba jeszcze jeden przykład takiéj dosadności stylowéj; mówiąc o próżnych wysiłkach, by naturę przełamać, wyraża się:

Wodę tłucze w moździerzu, piwo z sieczki warzy,
Siano włóci, — lecz darmo, nic mu się nie darzy....
Chłopu kradzieży, grania zabronić kosterze?
Paskudnéj żenie gachów, z Grekiem wniść w przymierze,
Księdza łakomstwa, kufla oduczyć pijaka,
Łgarza zrobić prawdziwym, politykiem żaka,
Żyda szczodrym, choćbyś go wsadził i do stępy,
Nie przełomisz natury, złym nałogiem tępy.
Rychlejbyś wilka orać, psa nauczył gadać,
Wielbłąda pląsać, Włocha polskich wierszów składać i t. d.

Krótki ten wybór, zdradzający, nie wyczerpujący obfitości materyału, kończymy opowiadaniem poety, w którém kilka innych przysłów trafne znalazło zastosowanie:

Po obietnicę na rączym posyłaj.

Charta mi szlachcic jeden darował pod Sączem,
Piwszy u mnie przez trzy dni; posyłam na rączem,
Jako polskie przysłowie, obligując drugiém,
Że każda obietnica obraca się długiem.
Aż on mi trzeciem, w ten sens odpisuje żartem,
Że się nie tak dalece z swoim droży chartem,
Jednak oń trzeba w jego domu podpić sobie.
Prawdziwe, które piszesz, przypowieści obie:
Że się w dług obietnica obraca; nie bronię
I tego. że na rączym trzeba syłać po nię;
Ale i moje niechaj miejsce ma przysłowie,
Że temu zwykle palcem wiercą oko w głowie,
Kto więc rzeczy nazajutrz przypomina rano,
Dopieroż czwartego dnia, co były pijano.
Odpisuję mu na list, w takimże terminie:
„Nie słusznie mieć mnie za psa drugi raz chcesz świnie,
„Żebym się znowu opił; odrzekę psiéj sierci;
„Niechaj mi oka w głowie nikt palcem nie wierci.
Kończę przypowieścią: „gdzie dwadzieścia malarzów,
„Poetów i myśliwych, jak ty, kopa łgarzów."

A. Brückner.



RUGIWOJSCY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dokończenie *).

XVIII.

Młody hr. Rugiwojski wraz z doktorem pojechali kabryoletem, końmi pięknemi najpierw do folwarku Sokołówki, w którym gospodarzył ekonom Kozicki, zaufany i zestarzały w służbie hrabiego.

O ile młodego hrabiego bawił zaprząg dobry, bieg koni lub też gwar i ruch robotników przy młóceniu zboża maszyną parową; o tyle doktór wglądał w rzecz każdą, rozpytywał się o szczegóły, o kontrolę, o płacę najmu, ilość roboty, zwiezione plony i omłoty spodziewane. Ponieważ nikt go nie podejrzewał, by mógł mieć jakiś cel uboczny prócz ciekawości, więc odpowiadano szczerze i chętnie, śmiejąc się z jego dowcipów, słówek dwuznacznych o ulatnianiu się zboża, protegowaniu robotnic ładnych a próżniaczych, zawikłaniu rachunków. Doktór pod maską człowieka dobrodusznego, ciekawego a przygodnego, spostrzegł dużo niedokładności, lekceważenie wydatków drobnych i zbytnią samowolę podwładnych niższych.

---

*) Patrz zeszyt wrześniowy r. b., str. 3?0.

Obserwacye swe zachował na stosowną chwilę, notując dokładnie dzień i dozorców pilnujących, a zresztą prowadził z hr. Jasmundem rozmowę wesołą, często dość śliską.

Gdy z kolei folwarków przyszła kontrola zarządu p. Dołsunowskiego, i on i jego żona byli już uprzedzeni przez doktora o wizytacyi folwarku. Pani Dołsunowska przygotowała się na przyjęcie gości, froterowano podłogi, zabielano plamy, naprawiano pęknięcia pieców i myto okna. Przygotowała też suknie ozdobniejsze dla siebie i córek, skłoniła męża do oczyszczenia ogródka kwiatowego, ścierała sama kurze w kancelaryi, próbowała piór, atramentu i przygotowana czekała niecierpliwie kontroli.

Po krótkiéj wizytacyi folwarku, hr. Jasmund w towarzystwie doktora i rządcy przyszedł do biura, by skontrolować księgi gospodarcze. Zasiadł u stołu i z pilnością przeglądał księgę inwentarza z zamiarem robienia wyciągów.

Doktór wziął do ręki gazetę, usiadł i czytał. Rządca nie wiedział co robić ze sobą, stać bezczynnie nie wypadało, nie miał znów czém się zająć, a wyjść nie mógł, gdyż młody hrabia żądał od czasu do czasu wyjaśnień. Chrząkał, kaszlał, brał bezmyślnie różne foliały rachunkowe do ręki, udawał, że czegoś szuka — i znudzony odkładał księgę.

Dzień letni, parny, z wyiskrzoném słońcem, był gorący i znojny, a stawał się wprost duszny w pokoju małym, sąsiadującym z kuchnią, któréj zapachy dolatywały tu swobodnie. Promienie słońca przez okno niezasłonięte padały wprost na stół kancelaryjny, tak, że młody hrabia odsuwał się kolejno na bok od światła. Spostrzegł to rządca i korzystając ze sposobności wyszedł, mówiąc:

— Zaraz zasłonię okno.

W sieniach spotkał się z żoną, a gdy jéj powiedział o oknie, rzekła stanowczo:

— Zaczekaj. Sama przyniosę firankę.

Po chwili weszła z powagą do pokoju, szeleszcząc krochmalną spódnicą.

Hr. Jasmund wstał, również i doktór, a gdy rządca szukał dopiéro słów, by przedstawić żonę, doktór dopełnił téj ceremonii.

— Nie widzieliśmy tak dawno pana doktora—zaczęła pani, obserwując z pod oka hrabiego.

— Tylko z braku czasu.

— Taki dzień upalny i gorący, panowie pomęczeni pracą, może podać coś orzeźwiającego?—mówiła, zwracając się do hrabiego.

— Dziękuję—odpowiedział poważnie—my tu w interesie z rozkazu ojca.

— Wiem, wiem — podchwyciła pani z uśmiechem — ale interes interesem, a szklankę wody wypić można.

— Napiłbym się wody — zawołał doktór — wiem, że u państwa doskonała.

Pani skinęła głową i uśmiechając się słodko, nalegała:

— Niechże i pan hrabia pozwoli wody z winem albo z konfiturami.

Hrabia skłonił się w milczeniu.

— Tu zbyt gorąco i duszno—mówiła daléj — może pozwolą panowie na drugą stronu domu tam chłodniéj.

I nie czekając odpowiedzi, szła ku drzwiom, prowadząc gości do bawialni.

Zaledwie zaproszeni usiedli, pani otwierając drzwi kurytarzowe zawołała.

— Janiu! Każ podać wody.

Wkrótce wniosła służąca wodę, słoiki konfitur i butelkę wina do bawialni, poprzedzona przez Janię strojnie ubraną. Pani rzuciwszy okiem na tacę, prezentowała.

— Moja córka. — Pan hrabia.

Jania ubrana w śwéżą batystową sukienkę, koloru morza, zarumieniona widokiem gości, podniosła rzęsy spuszczone w chwili, gdy swą rękę małą i białą poczuła w gorącéj dłoni hrabiego. Ładna sama przez się, ubrana jak na tę bawialnię wykwintnie, uśmiechem pokrywała swą niepewność i nieobycie. Gdy rozstawiała spodeczki przeznaczone do konfitur na stole przed kanapą, ostre światło dnia przeświecało przez lekki strój i w mgle batystu cieniutkiego rysowały się jéj ręce zaokrąglone. Hrabia okiem znawcy badał szczegóły jéj postaci, wzrost jéj smukły podobał mu się, również figurka ładna, biała szyja, bujne włosy, śwéże usta. Nie krępowała go obecność rodziców, podwładnych jego ojca, patrzał na nią uporczywie. Zimny i badawczy wzrok niebieskich oczu hrabiego, jego uśmiéch, który zarówno mógł oznaczać przychylność jak drwiny, zmieszały Janię i krępowały jéj ruchy, a gdy na jéj zapytanie:

— Jakich konfitur pozwoli pan hrabia?

Młody człowiek, szukając jéj oczu, odpowiedział:

— Każde będą dobre.

Jania bardziéj zmieszana rozlała syrop przechyliwszy spodek. Hrabia uśmiechnął się, matka spostrzegłszy tę niezgrabność, odezwała się z wyrzutem w głosie:

— Janiu, uważaj!

Onieśmielona, stała bezradna, dopiéro słowa doktora:

— Pan hrabia pija z winem—doprowadziły ją do równowagi.

Gdy hrabia w toku rozmowy oświadczył, że z polecenia ojca ma szczegółowo zbadać wszystkie książki znajdujące się u pana Dołsunowskiego, pani zaproponowała skwapliwie bawialnię w miejsce kancelaryi:

— Tu będzie panu hrabiemu wygodniéj i przyjemniéj pracować.

Hrabia, patrząc na Janię, odpowiedział uprzejmie.

— Obawiam się, bym pań zbyt nie krępował, bo czynność moja potrwa może dni kilka.

— Wcale nie — pośpieszyła pani, wskazując na jedne drzwi; — tam pokój panien, a one wstają raniutko do swoich zajęć.

— Do zajęć?—podtrzymywał rozmowę hrabia.

— Naturalnie, że do zajęć—śmiał się doktór—trzeba zjeść śniadanie, bawić się z kotkami, podléwać kwiaty...

— Pan doktór żartuje—broniła córek—młodsza uczy się, a Jania pomaga mi w gospodarstwie.

Rządca, chcąc pokazać swą sprężystość gospodarczą, wstał i żegnając towarzystwo mówił, zwracając się do hrabiego:

— Muszę wyjechać w pole, bo to czas żniw.

— Nie przeszkadzam—rzucił hrabia obojętnie.

Po jego wyjściu towarzystwo się rozdzieliło. Pani, siedząc na kanapie, rozmawiała z doktorem, który gorączkowo podtrzymywał rozmowę, rzucając tylko od czasu do czasu badawcze spojrzenie na Janię i hrabiego, siedzących po przeciwnéj stronie owalnego stołu.

Hrabia milcząco patrzał na dziewczynę, szukając rozrywki w jéj zmieszaniu i w nieumiejętności prowadzenia rozmowy.

— Ale teraz takie gorąca—próbowała Jania, nie podnosząc oczu ze stołu.

— Jak zwykle pod koniec lata—odpowiedział obojętnie.

— Lato nie zawsze bywa tak upalne — mówiła daléj, czując swą niezręczność.

— Bywa i chłodne.

— Pan hrabia dawno przyjechał?—ratowała się Jania.

— Przed kilku dniami.

— Pan hrabia był we Francyi?

— Tak, we Francyi.

— Czy to ładny kraj?

— Jak dla kogo.

Te odpowiedzi krótkie, odmierzone, wypowiadane tonem egzaminowanego ucznia, rozśmieszyły ją i posłuszna swemu żywemu temperamentowi, zapytała ze śmiechem:

— Czy pan hrabia zawsze taki rozmowny?

— To zależy — odpowiedział spokojnie. — Przy pani chciałbym tylko słuchać, patrzéć i marzyć.

— Prawie te same słowa czytałam wczoraj w powieści.

— W chwili, gdy on się oświadcza—zaśmiał się hrabia.

— Nie, to było przed ślubem.

Umilkli. W umyśle hr. Jasmunda dojrzewał plan urządzenia sobie niewinnéj zabawy poflirtowania z piękną Janią i umniejszenia w ten sposób nudów pobytu przez cały miesiąc w Wieszarach odosobnionych. Jania słuchała doktora dowodzącego, że na półce urzędowéj w kancelaryi leżą książki rachunków domowych i wydatków na stroje. Pani Dołsunowska, chcąc przekonać o pomyłce, wyszła wraz z doktorem do kancelaryi. Hrabia postanowił być uprzejmym.

— Wspomniała pani o powieściach, czytuje pani francuskie?

— Przeważnie polskie, a francuskie, z wyboru mamy, takich autorów, jak Malot, Theuriet, Feuillet.

— I lubi pani czytać?

— Bardzo lubię.

— Mamy więc wspólne upodobania, bo i ja przepadam za powieściami—a widząc niedowierzanie mówił, tonem szczerości.—Zapomina się wtedy o przykrościach tego życia, o pragnieniach nieziszczonych, o rozczarowaniach smutnych.

Spojrzała zdziwiona, gdyż słowa te były skrystalizowaniem przyczyn i jéj zamiłowania do powieści, tylko że były wypowiedziane pięknie i głosem słodkim przez młodego hrabiego, którego uważała za szczęśliwego, więc zwróciła się ku niemu pytając:

— Czyż i pan hrabia je ma?

— Więcéj może niż inny--odpowiedział tonem skargi. — I tytuł i majątek zawadza. Każdy uśmiech, słowo dobre, uścisk szczery bywa zawsze zmieszany z gorzkiém przypuszczeniem, że może to dla tytułu? a może dla majątku? i to boli!

— Prawda! — zawołała szczerze. — A ja myślałam, że panowie tacy szczęśliwi!?

On lekko pochylił się ku niéj i zniżając głos, mówił tonem zwierzenia:

— Każdy zwykły człowiek może swobodnie bywać, rozmawiać, starać się o względy; ale utytułowany wnosi ze sobą świat podejrzeń, plotek, niechęci zazdrosnych; i przyjemność najniewinniejsza, chociaż

by posłanie kwiatów, pożyczenie książki, częste bywanie tłómaczą ludzie na opak, zatruwają podejrzeniem.

Mówiąc to, patrzał smutnie, z łagodnym uśmiechem cierpienia na swéj twarzy młodéj i ładnéj.

— Ale w sferach pana hrabiego są przecież inne stosunki — powiedziała w rodzaju pociechy.

— Jeśli nie gorsze, to takie same—odezwał się hrabia, starając się być konsekwentnym i obudzić współczucie.—Wszędzie wyrachowanie pieniężne, rodowe, stanowiska. Serca szlachetne, czułe, bezinteresowne spotkałem dotychczas tylko w powieści.

— Jak to pozory mylą — zaczęła Jania, gdy matka i doktór weszli.

Hrabia zmieniając ton rozmowy, by pokazać, że on tylko jéj się zwierza, mówił swobodnie:

— Jeśli pani pozwoli, przywiozę jutro najświeższą powieść Theuriet'a?

— Ale czy dobra i odpowiednia?—wmieszała się matka.

— Innéj nie proponowałbym—odpowiedział z uśmiechem.

I wstał, uścisnąwszy gorąco rączkę panny na pożegnanie.

Po wyjeździe hrabiego i doktora matka, chowając konfitury i porządkując na stole, rzekła chłodno do zamyślonéj córki:

— Idź, rozbierz się, przyda się suknia na drugi raz.

Skończywszy zajęcie, weszła do pokoju córki.

— Cóż ten hrabicz mówił?

— Nic szczególnego—odpowiedziała wymijająco.

— O pogodzie, słońcu—przedrwiwała matka.

— Ależ mama zgadła!—zaśmiała się Jania.

— No, jeśli mówił o takich głupstwach, to jego oczy co innego gadały—rzekla stanowczo.

— Nie patrzyłam mu w oczy—odpowiedziała chmurnie.

— Jeszczeby tego brakowało! Mówię ci, że zjada cię oczami.

— To i cóż?—mruknęła, zapinając stanik.

Matka usiadła wygodnie na krześle obok łóżka i zaczęła:

— Teraz posłuchaj i uważaj. Czy wierzysz, że chcę twego szczęścia?

— Wierzę.

— To ja ci mówię, bądź ostrożną. Nie radzę ci, byś go odpychała, uciekała od niego, byś była złą i chmurną. Ty wiesz, że ojciec twój tu służy, trzeba spolitykować... Staraj się być grzeczną, uprzejmą, słuchaj jego andronów, ale nic więcéj. Słyszysz, nic więcéj!

— Mamo!—zawołała córka z wyrzutem.

— Słuchaj mnie, a dobrze wyjdziesz, już ja wiem co mówię. On myśli, że hrabia, to wystarczy poumizgać się do panny, ale ty szlachcianka, równa jemu, już ja mu to powiem—odgrażała się.

Córka pod wpływem świeżych skarg hrabiego, na ciężar tytułu i majątku, powiedziała mimowolnie:

— O! on nie taki!

— A ty skąd wiész? Takie głupie i mnie chce uczyć rozumu!

Jania, chcąc ukryć pomieszanie, zaczęła porządkować kajety siostry na stoliku i mówiła tonem obojętnym:

— Ależ nie, mamo! tylko zdaje mi się, że on nie wygląda na takiego... Posłucham mamy i będę ostrożna, zimna...

— A toś zrozumiała!? Czy chcesz pozbawić nas chleba? Przecież on najstarszy, uczył się agronomii, stary hrabia mu ufa, już teraz jego słowo dużo znaczy, a jak umrze ich wuj, może on zostanie plenipotentem, trzeba go ugłaskać i jak ci mówiłam bądź grzeczną, uprzejmą, udawaj nawet, że ci się podobał, a będzie sposobność, to powiédz o pracy ojca, o naszéj biédzie, o nadziei ojca, że powiększą pensyę... ale bądź ostrożna. Rozumiész?

— Rozumiem.

— Boże! Żebyś ty raz już zmądrzała! Pytaj, ona mówi rozumiem, a przyjdzie co do czego, nic nie rozumié.

— Ależ rozumiem, rozumiem—odpowiedziała porywczo.

— No, zobaczymy! — mówiła, wstając z krzesła. — Idź, poszukaj Dziuni w ogrodzie, a weź rękawiczki i parasolkę — nie opalaj się.

Na drugi dzień hrabia z doktorem przyjechał wcześniéj i zastał papiéry i książki w bawialni. Wkrótce weszła pani Dołsunowska z Janią i zaproponowała lekką przekąskę. Hrabia, korzystając z chwilowéj nieobecności matki, oddał Jani przyrzeczoną książkę, mówiąc:

— Chciałbym, aby pani, czytając tę powieść, odniosła wrażenia podobne do moich.

— Jakie?

— Że po za tym światem codziennym istnieje drugi, piękniejszy, milszy, lepszy... Chociaż i to prawda, że pani w książce nie potrzebuje szukać szczęścia, i w życiu musi być pani szczęśliwą.

— Ja?—zawołała zdziwiona.

— Tak, pani, panno Janiu. Jesteś pani młodą, piękną, kochaną, wielbioną...

— Ależ pan się myli... Zamknięta w małéj mieścinie, widzę pracę nadmierną ojca, czuję się ciężarem, a o przyszłości i myśléć nie chcę.

— Pójdzie pani zamąż...

— Nie, nie pójdę.

— Ależ pójdzie pani, i przed ślubem usłyszy pani czułe słowa, zaklęcia, westchnienia.

— Nie! Jeśli pan hrabia ucieka w kraj powieści i ja robię to samo. Zapominam o życiu codzienném.

— I marzy pani, o czém?

— To moja tajemnica. A pan hrabia?

— Marzę o pięknéj, jak sen, kochance, którą porwałbym w świat daleki, na wyspę odludną, umieściłbym w pałacu z marmuru i złota i kochałbym do szaleństwa... do śmierci i po śmierci.

Mówiąc to miał ton szczerości w głosie, twarz rozjaśnioną i oczy błyszczące; roznamiętniały go obrazy własnéj kompozycyi.

Jania słuchając tego głosu dźwięcznego, patrząc na smukłą, harmonijną w ruchach, postać jego, pamiętając o jego rodzie, majątku, odczuwając spojrzenia wymowne na sobie, doznała miłego uczucia dumy, że jest powiernicą jego skrytych rojeń i uległa bezwiednie rozmarzającéj atmosferze rozmowy, a jéj dawniejsze sny o księciu pięknym i młodym, który składa u jéj stóp serce i majątek, odżyły z podwójną siłą. Spojrzała na hrabiego i wydał się jéj niemal idealnie pięknym z temi ostro wykończonemi rysami, z uśmiechem łagodnym na ładnych ustach, z twarzą ożywioną i szepnęła rozmarzona:

— Jaki ładny sen!

— Sny czasem się sprawdzają — potwierdził hrabia tonem proroczym.

Wejście matki przerwało rozmowę. Hrabia zajął się sprawdzeniem ksiąg rachunkowych, a obecni, nie chcąc przeszkadzać, wyszli do ogrodu.

— Czy pan doktór odpowié mi szczerze? — zapytała pani Dołsunowska, patrząc z przymileniem.

— Powiem.

— Co mówił młody hrabia o nas?

— Nie rozumiem dobrze.

— No o mężu, o nas?

— Chwalił pracowitość pana Dołsunowskiego, że wyjechał w pole... Uważałem, że gościnność pani zrobiła wrażenie dobre.

— No i cóż daléj?—dopytywała się pani.

— Jakto daléj? Nic daléj—odpowiedział doktór, śmiejąc się.

Jania, która szła obok matki, odezwała się zarumieniona:

— Niech się mama nie dopytuje.

— Patrzaj ją!— zawołała matka—właśnie chcę wiedzieć.

— O pannie Jani nic nie wiem — uspokajał doktór. — To mogę powiedzieć, że on ma gust bardzo wybrédny, zepsuła go zagranica.

— I nic?

— Prawie nic, ogólniki. Traktuje bardzo seryo swój urząd kontrolera. I teraz, siedzi i sprawdza.

— To prawda!

Hrabia Jasmund, siedząc nad książkami rachunkowemi, rozmyślał o Jani, która dziś wydała mu się ponętniejszą, aniżeli poprzednio. Spostrzegł badawcze spojrzenia doktora i matki, i postanowił uśpić ich podejrzliwość, by zyskać późniéj tém większą swobodę. Postanowił ściśle przestrzegać przepisów towarzyskich. To też żegnając się z paniami miał minę i ton urzędnika pełniącego swój obowiązek. Gdy wsiadł do kabryoletu, zapytał go doktór:

— Jakże się panu podobała Jania?

— Ładna... *une petite niaise*—odpowiedział niedbale.

— Ale ma temperament!

— Na codzienne potrzeby—odparł z ironią.

— O, nie! To ogień, nie dziewczyna.

— Widziałem lepsze.

— Nie zaprzeczam, ale czy ładniejsze? bo ona ładna, bardzo ładna z tą niewinną twarzą dziecka.

— I nic więcéj—dorzucił hrabia tonem znudzonym.

Następnych dni hrabia pełnił sumiennie obowiązki kontrolera, witając się tylko przelotnie z paniami. Robił wyciągi z książek, porównywał raporty i praca rozpoczęta zapowiadała być jeśli nie ciężką, to długą.

Ta grzeczność, tylko obowiązkowa, młodego hrabiego drażniła panią Dołsunowską. Dumna pięknością córki, pracowitością męża, sprytem własnym; zbudowała wspaniałe plany na bytności młodego hrabiego. Spodziéwała się korzystniejszéj posady, zwiększenia pensyi rocznéj, a już co najmniéj gratyfikacyi po żniwach. Tymczasem zachowanie się hrabiego pomieszało te piękne plany. Po nocy przemęczonéj poszła po córki:

— Janiu, przyznaj się, ty coś powiedziałaś hrabiemu?

— Co?

— Nie udawaj, już ja wiem, że coś powiedziałaś.

— Kiedy?

— A widzisz! Już się pytasz, kiedy? Więc co powiedziałaś?

— Jak mamę kocham, nic nie wiem.

— To ja ci powiem—zawołała surowo.—Za pierwszym i drugim

razem on siedział z tobą, rozmawiał, wpatrywał się, jak w obraz. A potém?...

— Cóż ja temu winna?

— Uważaj—przerwała gniewnie, patrząc na córkę czeszącą włosy przed lustrem.

— Jak dziś przyjadą, wezmę doktora do ogrodu, a ty wejdziesz albo po książkę, albo do swego pokoju. Gdy zacznie rozmawiać, zostań i zaczekasz na mnie, albo wyjdziesz — jak będziesz uważała. Rozumiész?

— Rozumiem.

— O! ty zawsze mówisz rozumiem — mówiła zgryźliwie — a jak co przyjdzie, to nic.

— Dobrze mamo. Ale na co to wszystko? przecież on nie ożeni się ze mną.

— A co nie mówiłam? Po co mówisz rozumiem? I ja wiem, że nie taki głupi, aby wziął ciebie, chociaż gdybyś miała rozum, ożeniłby się napewno; cóż to, nie jesteś mu równa? Ale to nie twój rozum. Pamiętaj tylko, że to jego Wieszary, a odziedziczy całe klucze—pomóż-że ojcu. Przecież wiecznie tu nie możemy siedziéć... Jedno zręczne słówko, uśmiéch, spojrzenie, a taki panicz już siedzi... A wtenczas powiédz coś o podwyżce pensyi, o gratyfikacyi—tylko mądrze, abyś nie naraziła nas i siebie.

— Ale jeśli się nie uda?—zapytała z wielkiém wahaniem.

— A to co znowu? Korona z głowy ci spadnie, czy co? Więc uważaj, w twoich rękach przyszłość ojca, bo ja wiem, że ty o mnie nie dbasz.

— Ależ mamo! Ja tak kocham mamę.

— Zobaczymy! zobaczymy!

Lecz hrabia tego dnia nie przyjechał. To rozgoryczyło panią Dołsunowską jeszcze bardziéj, bolał ją doznany zawód świetnych nadziei. Wysłany do doktora mąż, przyniósł wiadomość, że hrabia jutro zapewne będzie, gdyż nie skończył kontroli.

Nastąpiła nowa lekcya z Janią, która byłaby się skończyła burzą i płaczem, gdyby nie wzgląd na ojca.

Hrabia tym razem przyjechał sam. Zwlekanie nie leżało w jego zamiarach i w interesie, opuścił dzień, aby się pozbyć niepotrzebnego świadka, doktora i usunąć podejrzenia możliwe. Jania w sukience czarnéj, obcisłéj, blada, weszła drżąca do bawialni, ale wkrótce ożywiła ją rozmowa. Hrabia miły, uprzejmy, rozweselony napełnił ją otuchą, że plan matki przeprowadzi bez wysiłku. On ściskał jéj rękę,

szukał spojrzenia, prosił o grę, o pokazanie kwiatów... I dla pani Dołsunowskiej miał uśmiech przyjaźni, wesołe odpowiedzi.

Gdy odjechał, Jania była rozmarzona jego słowami, spojrzeniami, dającemi szerokie pole do rojeń. Bohatér jéj marzeń panieńskich przybierał na siebie szatę rzeczywistości. Nie był księciem, ale zdobiła go korona hrabiowska i był, podobnie jak ów wyśniony, młody, szlachetny, zakochany, piękny, a przedewszystkiém bliski, żyjący, realny.

Po dwóch dalszych wizytach Jania była niemal zakochana, pełna ufności w jego szlachetność i miłość. Zwierzyła mu się w zaufaniu, że ojciec jéj jest najlepszy, najdoskonalszy, tylko zbyt ulega matce i teraz posłuszny jéj żądaniu, ma żądać gratyfikacyi za żniwa pomyślnie skończone.

Hr. Jasmund, słuchając ze współczuciem tych zwierzeń, zrozumiał politykę pani Dołsunowskiéj, która zezwalając na pewną swobodę, żądała zapłaty w gotówce. Jania była jednak tak ładna, miała oczy tak słodkie przy smutnéj twarzyczce, że hrabia, całując jéj ręce, zapewnił, że sprawa gratyfikacyi bez żądania pana Dołsunowskiego zostanie załatwiona pomyślnie.

Jania uszczęśliwiona zawiadomiła wieczorem matkę, która, wydąwszy dumnie usta, rzekła:

— A co, nie mówiłam? O! bo ja znam tych mężczyzn. Ojciec mógłby urobić sobie ręce po łokcie, płakać, prosić, błagać... i nie dostałby grosza. A za uśmiéch, ładną buzią pójdą w piekło. I mądra kobiéta poprowadzi mężczyznę, gdzie zechce.

— Ale tak mi wstyd było prosić go o tę gratyfikacyę...

— Głupia jesteś. Skądże ci wezmę na sukienki, buciki, pończochy? Także skrupuły?! Czy to oni mało mają? Ja myślę teraz o lepszéj rzeczy... Uważaj, moje dziecko i pamiętaj. Od Nowego roku zawakuje na Litwie miejsce administratora, to 6,000 rubli pensyi i wygody. To dopiéro miejsce!... Trzymaj tylko hrabiego, a ja już pokieruję.

— Co to, to już nie! — oburzyła się córka, w któréj umyśle zarysowało się porzucenie Wieszar, rozłączenie się z hrabią i przykrość proszenia.

— A to co nowego!—wybuchnęła matka. – Pókiś u mnie, musisz mnie słuchać.

— Ależ mamo, ja nie mogę prosić—mówiła prawie ze łzami.

— A tom się dochowała. Jednéj, drobnéj przykrości nie możesz znieść dla dobra całéj rodziny... — i wyjętą chustką otarła sobie oczy, będąc przekonaną, że muszą być łzy w takiéj chwili.

— Dobrze mamo—szepnęła córka.

— Przecież ja pragnę tylko waszego dobra — rozczulała się nad sobą—mnie tam niedługie życie.

— Mamo, moja mamo, niech już mama tak nie mówi — prosiła córka, całując jéj ręce.

Gdy w sypialnym pokoju żona powiedziała wielką nowinę o gratyfikacyi, pan Dołsunowski westchnął:

— Żeby tylko Jania źle na tém nie wyszła!

— Podobasz mi się — zaśmiała się szyderczo. — A ja od czego? Dochowała się dotąd, dochowa się i nadal.

— No tak, ale plotki, obmowy...

— Da ci kto za to chleba? Co? Zresztą, jak będziemy na Litwie, kto tam nas zna?

— Jakto na Litwie?

Żona opowiedziała szczegółowo swe projekta.

— A jak Jania się zakocha?—próbował mąż.

— Jeśli będzie taka głupia, że się zakocha — odpowiedziała z gniewem—to się odkocha... A zresztą, to moja córka i rozum ma.

— Rozum ona ma, ale i serce...

— Serce?!—wybuchnęła.—Szklane? Stłucze się, czy co?

— Może masz i słuszność... Zawsze i administrator, to już pozycya.

— A widzisz!? Już ty się nie rządź twoim rozumem. Pamiętasz tę pszenicę? Odkryło się? A dziś gryźlibyśmy chyba kamienie... I teraz mnie to już zostaw, nie mieszaj się do niczego, bo zepsujesz.

— Ha, jak bierzesz na swoją odpowiedzialność, to i dobrze.

— Może na twoją?—zaśmiała się cierpko. — Ty tylko do roboty, boś uczciwy.

I wkrótce usnęli oboje.

Jeśli Jania uległa urokowi tytułu i pozycyi, marzeniom własnym, od dawna pieszczonym, rozkazom matki i dążeniom ulżenia ojcu, zaszły również zmiany w zapatrywaniach hr. Jasmunda.

Na razie rozpoczął on tylko grę, któréj wygraną miała być zabawa przyjemna, zwolna roznamiętniał się sam i do gry i do dziewczyny. Przyzwyczajony do swobody, do łatwych zwycięstw, czuł się skrępowany przyjechawszy do kraju, tak u wuja, jak i w Wieszarach. W pałacach panował rygor klasztorny, u dziadka naturalny z powodu jego osłabienia i zgrzybiałości; u rodziców ze względu na hrabinę i Hertę. Po za pałacami osoba jego była zbyt widoczna i znana, by w ukryciu i cichości mógł zadowolnić swe żądze. Był za młody, aby czuł wyczerpanie, ale dosyć żył, aby doznać już niesmaku i rozczarowania.

Teraz pragnął upojeń uczucia, słów czułych, uroku niewnności i naiwności, szału zmysłów. Gdy spotkał Janię, ładną, powabną, wykształconą umysłowo do pewnego stopnia i wychowaną w zaciszu domowém, uległ na razie kuprysowi flirtu, ale nasuwające się przeszkody roznamiętniły jego głowę. Obrazy jéj miłości, zaufania, rozkoszy, napływały tłumniéj, sadowiły się trwaléj, wreszcie tak go opanowały, że nie wystarczały mu dotychczasowe wizyty, lecz radby ją porwać, uciec z nią na kraj świata i żyć w téj miłości i dla téj miłości.

XIX

Zbyt częste wystawanie kabryoletu młodego hrabiego przed domem rządcy, mimo maski kontroli gospodarczéj, wprawiło w ruch plotki i domysły, tak służby pałacowéj, jak i oficyalistów. To téż zaufana hrabiny, czesząc i ubiérając panią, rzekła od niechcenia:

— Rządcostwo tak zdumnieli, że nie poznają już znajomych.

— Jakich?

— Rządczyni ledwie odpowiedziała na ukłon kasyerowéj w kościele, sama to widziałam... A już córkę stroją jak na bal.

— Przypominam sobie, to ładna dziewczyna... dlaczego tak stroją?

Służąca zaplatając warkocze, milczała przez chwilę, wreszcie z uśmiechem dyskretnym, ale złośliwym, mówiła:

— W głowie im się przewróciło od czasu, jak młody pan hrabia prowadzi inspekcyę folwarków.

— Co?—zapytała, marszcząc brwi hrabina.

Odpowiedziała z grymasem słodkawego uśmiechu:

— Młody pan hrabia przegląda książki u rządcy, a im się uroiło, że z nimi się zadaje.

W dalszym ciągu zaufana umiała zręcznie podać nowinki o wizytach młodego hrabiego z drobnemi szczegółami.

Tegoż dnia pani hrabina zawiadomiła o tém męża, żądając, by ostrzegł syna przed niebezpieczeństwem zbałamucenia siebie.

Hrabia z poważną miną oczekiwał syna w gabinecie, siedząc w głębokim fotelu, gdy wszedł, wskazał mu obok stojący fotel i zaczął:

— Chcę z tobą pomówić poważnie.

— Słucham ojca.

— Gdybyś się był dobrze zastanowił, kto jest Rugiwojski i kim on jest dla podwładnych, rozmowa nasza byłaby zbyteczną.

Młody domyślił się powodu tego wstępu, ale nie zmieniając swéj miny nawpół wesołéj, nawpół poważnéj, odpowiedział z grzecznością uprzedzającą:

— Rozmowa z ojcem jest dla mnie zawsze miłą.

— Posłuchaj mnie. Rugiwojski nie należy do siebie, należy do świata, tytuł i ród nakładają wielkie obowiązki. Dla podwładnych powinien być ojcem i opiekunem, i jako taki sam pilnować swéj godności i powagi. A ty, jak się dowiaduję, przesiadujesz u Dołsunowskich, czy to prawda?

Młody ukrył uśmiéch ironii i nawet rad był, że to ojciec, nie on rozpoczął rozmowę o rządcy, którą musiałby zacząć ze względu na gratyfikacyę przyrzeczoną i patrząc śmiało w oczy rzekł:

— Gdyby był ojciec powiedział u Dołsunowskiego, byłoby zupełną prawdą. Z rozkazu ojca kontroluję gospodarstwo, jeżdżę po folwarkach, a że u rządcy zbiegają się wszystkie nici, więc muszę najczęściéj i najdłużéj jego kontrolować.

Ojciec nie zmienił jednak tonu poważnego i zapytał:

— Dlaczegoż Wosiński, który również kontrolował, nie przesiadywał tam tak często?

— Niech odpowiada Wosiński—mówił, chmurząc się.

— Ale co tam tak długo robisz?

— Kontroluję księgi i przekonałem się, że gospodarstwo w Wieszarach prowadzi ojciec wzorowo. — A widząc uśmiéch zadowolenia, dodał: — Jaki ład, pilność, uwaga, oszczędność! wszystko zrobione w swoim czasie i dokładnie. Orka równa jak strzelił, zasiewy rzędowe pod sznur, sprzężaj wyborny.

Te słowa rozpromieniły twarz ojca i pozbywając się i miny i tonu surowości, rzekł do syna:

— A Wieszary to obszar, nie te filigranowe fermy, których gospodarstwem tak się przechwalają.

— Wiem o tém i podziwiam. Ale téż ojciec ma wybornych wykonawców.

— Sam ich dobiéram—mówił z dumą.

— Taki np. Kozicki w Sokołówce zasługuje na nagrodę. On we dwa dni późniéj od folwarku Wieszar, zebrał i zwiózł zboże, a siew ozimin już rozpoczął.

— To stary i dobry sługa—odezwał się ojciec z uznaniem.

Młody nie zmieniając tonu gorliwego przejęcia się, mówił:

— Dla zachęty i przykładu wart gratyfikacyi.

— Masz słuszność, zanotuję—wziął ołówek, przysunął blok i zamyślił się.

— Ile ojciec myśli mu dać?

— Hm... Sto rubli za dużo, a 50 za mało...

— Sądziłbym, że sto rubli zrobią większe wrażenie—mówił młody z dobrym uśmiechem łaski.

— Sto?? Niech będzie sto, kiedy mówisz, że tak pośpieszył z robotą—i zapisał na bloku.

— Co prawda, ojcze, on nie był pierwszy. Najpierw Wieszary, a we dwa dni Kozicki.

— Jeśli dam Kozickiemu, musiałbym dać i Dołsunowskiemu — zawahał się ojciec.

— I ja tak myślę. Dołsunowski pracuje istotnie dobrze i sumiennie; inwentarz szanuje; robotnika pilnie śledzi. On pierwszy na całą okolicę skończył żniwa.

— Hm... W takim razie dam i jemu—westchnął hrabia—ale ile? sto pięćdziesiąt... a może dwieście?...

— Jeśli Kozickiemu sto, to Dołsunowskiemu już 300 rubli, to pierwszy i najobszerniejszy folwark.

— Nie, to za dużo.

— Ależ to jednorazowa gratyfikacya... Zagranicą płaconoby takiego rządcę na wagę złota, mówiąc między nami, bo wié i umié zrobić, a przytém nieposzlakowanéj uczciwości.

— Znów tak dalece — zarzucił dla formy rozpromieniony ojciec.

— Przecież zwiedzałem i badałem gospodarstwa zagraniczne.

— Niech i tak będzie, zanotuję, a wieczorem przygotuj blankiety, podpiszę.

Gdy skończył notatkę, zwrócił się do syna z uśmiechem dobrotliwym:

— Mój Jasmundzie, unikaj proszę pozorów; szkodzisz sam sobie, a do matki dochodzą plotki. Ja nie mam czasu zresztą tém się zajmować... Widziałeś młodzież przyprowadzoną z Przesławic?

— Nie byłem dzisiaj w stajni, jeśli tylko ojciec chce, ja pójdę bardzo chętnie—mówił rozweselony.

— No, to chodźmy.

Przy obiedzie hrabia zadowolniony z młodzieży dobrze utrzymanéj, gdy się ten temat wyczerpał, zapytał doktora:

— Kiedyż Wosiński wyzdrowieje?

— Za dwa, trzy dni, będzie mógł wyjść.

— Szkoda, że nie widział młodych koni, to znawca.

— Na konia nie siądzie tak prędko—dodał doktór.

W téj chwili wniósł lokaj dwie depesze do hrabiny i do hrabiego. Otworzyli oboje prawie równocześnie, odczytali, spojrzeli na siebie

i wymienili je. Oboje mieli minę poważną, niemal uroczystą, i ojciec zwracając się do syna, rzekł:

— Wuj Jasmund, twój dziadek, niebezpiecznie chory. Wyjedziemy z matką kuryerem — tu spojrzał na żonę, która skinęła potakująco. — Zostawiam ciebie na gospodarstwie, doktór będzie ci pomagał.

— Czy dziadek bardzo chory?—zapytał syn, patrząc na depeszę.

— Przeczytaj — odpowiedziała matka, podając mu swą depeszę.

Ojciec, widząc wzrok pytający Herty bez słów, podał jéj swoją depeszę. Przy stole nastała uroczysta cisza, przerywana westchnieniami.

Wiadomość o depeszy i niebezpiecznéj chorobie, obiegła wkrótce pałac cały, zaniósł ją i panu Wosińskiemu usługujący lokaj, przeszła do stajen, gdy hrabia wydał rozkazy koniuszemu, dotyczące powozu i koni.

XX.

Po wyjeździe rodziców hr. Jasmund poweselał, poczuwszy się swobodnym. Obaj z doktorem ułożyli się co do podziału pracy w zarządzie gospodarstwem.

Doktór, pełen słodkich nadziei wobec choroby spadkodawcy, chciał się pokazać gorliwym i sumiennym stróżem majątku hrabiostwa. Gdyby mógł i umiał, pełniłby równocześnie wszystkie obowiązki związane z gospodarstwem, począwszy od ekonoma, skończywszy na przywileju hrabiego, potwierdzania głosem stanowczym propozycyi swych urzędników. Już teraz czuł przedsmak téj władzy, gdy zasłaniając się nazwiskiem hrabiego, zmieniał plany innych, rozkazywał rozpoczęcie innéj roboty, lub żądał wykonania szybszego i dokładniejszego.

Hrabia Jasmund miał mu tylko dodawać blasku i powagi, i z tego powodu umiał zawsze nakłonić młodego hrabiego do krótkiéj wycieczki po gospodarstwie — zostawiając mu swobodę zupełną przyjmowania raportów i kontrolowania rządcy, którego domu unikał obecnie.

Przez pierwsze dwa dni młody hrabia pilnował godzin śniadania i obiadu, czując niewłaściwość zostawiania saméj Herty z towarzyszką angielką świéżo przybyłą; ale już na trzeci dzień nie zjawił się w porze śniadania podawanego w południe.

Gdy pan Wosiński mógł chodzić opierając się na lasce, stosownie do swych obowiązków służbowych zameldował się rano hrabiemu Jasmundowi. Przyjął go w gabinecie ojca słowami:

— Ucieszyłby się ojciec, widząc pana Wosińskiego zdrowszym.

Urzędowy i suchy ton przemowy zmroziły serdeczniejsze wyrazy, którémi chciał okazać swą wdzięczność za leczenie i troskliwość, a przybierając ton służbisty powiedział:

— Przyszedłem po rozkazy, co mi każe pan robić.

Te słowa podrażniły hrabiego i uśmiechając się ironicznie, rzekł:

— Obowiązki pana Wosińskiego spełnia kto inny, zresztą służba wymaga zdrowia i energii, a obecnie — tu spojrzał na chorą nogę — nie mógłby pan Wosiński spełnić żadnych rozkazów.

Pan Wosiński czuł lekceważenie młodego zastępcy i miał już na języku ostre słowa odpowiedzi, lecz powstrzymał się i tym samym tonem służbisty mówił:

— Może raporta majątkowe nie są wciągnięte do ksiąg, lub téż są korespondencye zaległe; roboty biurowe mimo choréj nogi mogę załatwić,

— Nic o tém nie wiem, proszę zaczekać do przyjazdu ojca — odpowiedział tonem suchym, nieznoszącym sprzeciwiania się.

— Kiedyż pan hrabia przyjedzie? — zapytał niezręcznie pan Wosiński rozdrażniony całą rozmową.

— Jak przyjedzie, poprosi pana Wosińskiego — odpowiedział młody hrabia dumnie i skinął głową na znak pożegnania podając mu obojętnie rękę.

Po wyjściu pana Wosińskiego hrabia uśmiechając się szepnął: „przytarłem mu rogów.” Od pierwszéj chwili przyjazdu do Wieszar, młody hr. Jasmund czuł niechęć do pana Wosińskiego, z powodu gorących pochwał ojca, sarkazmu matki i ironii doktora. A gdy oficyaliści spostrzegli, że młody hrabia pełni obowiązki chorego, przez zwykłe u ludzi pochlebstwo czernili poprzednika na korzyść obecnego, tém bardziéj, że sumienność i ścisłość pana Wosińskiego ich niepokoiła, a zbyt widoczne względy hrabiego rozbudzały zazdrość. U państwa Dołsunowskich dawny kontroler był również źle notowany, obrażono się za unikanie, szydzono z jego dumy a przezwiska „pochlebca”, „kot” były zawsze na ustach pani Dołsunowskiéj, gdy o panu Wosińskim była mowa. Tę niechęć podzielała i Jania. Hrabia Jasmund uważał go za byłego rywala u Jani, pamiętając frazes pani Dołsunowskiéj „o odsadzaniu kota od mléka.” Zbyt serdeczne powitanie i poufałość p. Wosińskiego z rodziną nie podobały mu się również, i gdy

w dodatku odczuł całą atmosferę niechęci oficyalistów, powziął antypatyę do ulubieńca swego ojca.

Pan Wosiński wyszedł z gabinetu rozgoryczony rozmową i tonem. Zdawało mu się, że widzi na twarzy spotykanéj służby drwiący uśmiéch tryumfu, lekceważenie swéj osoby. Męczony temi przywidzeniami schronił się do swego pokoju, którego nie opuszczał przez trzy tygodnie słabości. Trochę książek i kuferek stanowiły cały jego majątek. Z tém przyjechałem i z tém odjadę, pomyślał i mruknął z niechęcią: łaska pańska! A że już w czasie choroby ostro krytykował i swój stosunek do pałacu i hrabiostwo, teraz pod wpływem ostatniéj rozmowy postanowił bądź co bądź, jeśli nie porzucić służby téj zupełnie, to wyjechać i gdzieś u znajomych doczekać się powrotu hrabiego Rugarda.

Wezwany na śniadanie, zastał w sali hrabiego Jasmunda i doktora wesoło rozmawiających i Hertę z angielką. Wydała mu się równie piękną, dobrą, miłą, i fala jego miłości, którą uważał za przezwyciężoną podniosła się tak wysoko, że zawahał się w swém postanowieniu opuszczenia Wieszar, chociaż odczuwał żal tém silniejszy do hrabiego Jasmunda, który i przy śniadaniu był tylko lodowato grzecznym dla niego.

Po śniadaniu przechodząc przez poczekalnię, spotkał p. Wosiński kilku oczekujących oficyalistów, którzy istotnie powitali go nie tak skwapliwie i uniżenie jak dawniéj.

I ten tak zwykły objaw służby dla usuniętego od wpływów ulubieńca zabolał go jak osobista obraza, a przyczynę upatrywał w hr. Jasmundzie.

Gorycz na nowo podsycona przechodziła z niechęci do nienawiści. Jedynie obraz Herty, téj wymarzonéj przez niego doskonałości, powstrzymywał go od wyjazdu natychmiastowego, od usunięcia się od istotnych i urojonych przykrości i poniżeń, odczuwanych tém silniéj, że był fizycznie osłabiony.

Tego dnia przy obiedzie nie było ani hr. Jasmunda, ani doktora. Herta odgrywając rolę uprzejméj gospodyni powiedziała:

— Dawno nie był pan już przy wspólnym stole.

On który liczył dnie i godziny rzekł bez wahania:

— Dwadzieścia jeden dni byłem słaby.

— Jaki to smutny wypadek! Choroba zmęczyła pana.

Pan Wosiński spojrzał na nią wdzięczny za jéj słowa, a poczuwając się do obowiązku szczerości, sądząc że znajdzie współczucie rzekł:

— To nietylko choroba, ale smutek i przykrość.

— Których źródło w chorobie—zaśmiała się Herta.

— O nie! tylko w ludziach — a widząc jéj oczy pytające, dodał z goryczą—są ludzie, którym się zdaje, że mają prawo innych lekceważyć i im ubliżać, bo rozkazują. Mówiąc to spojrzał na puste miejsce, zajmowane przez hr. Jasmunda.

Słowa te oburzyły rodzinną i rodową dumę Herty. Ktoś, obcy, ośmielił się źle mówić o jéj bracie, o Rugiwojskim, i to wobec niéj, siostry, traktując ją jako swą wspólniczkę. Zmarszczka na czole, odziedziczona po matce stała się widoczną i tonem zimnym rzekła:

— Musieli ci inni zasłużyć na to.

Pan Wosiński pobladł. Odpowiédź Herty zabolała go silnie i podniosła gorycz, którą podniecał się od rana.

— Ci inni, to ja — wybuchnął. — I niczém nie zasłużyłem sobie, by mnie syn pana hrabiego lekceważył.

Herta spojrzała na mówiącego prawie z odrazą, tak odczuła brak form i głęboką różnicę pomiędzy tym przygodnym towarzyszem obiadu, a swym światem. Nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem, zaczęła rozmawiać z towarzyszką po angielsku, którego to języka p. Wosiński nie znał.

Jeszcze w czasie obiadu zrozumiał on niewłaściwość swego znalezienia się, żałował porywczości, patrzył błagalnie i z pokorą na Hertę, wreszcie korzystał ze sposobności usłużenia jéj nalaniem wody i przemówił głosem drżącym przyjęty frazes, ale Herta nie patrząc skinęła głową i w dalszym ciągu prowadziła ożywioną rozmowę z angielką.

Na drugi dzień Herta prosiła brata, by nie opuszczał śniadań i obiadów, chociażby z powodu, że p. Wosiński nie rozumié po angielsku a angielka po polsku.

— Jestem bardzo zajęty gospodarstwem, bym ci to mógł obiecać, ale każę podawać Wosińskiemu w jego pokoju, gdy nie będę na czas oznaczony.

I służba otrzymała odpowiednie rozkazy.

Pan Wosiński przemęczył całą noc, układając rozmowy przepraszające Hertę za swą gwałtowność i brak taktu. Oczekiwał z upragnieniem godziny śniadania, gotów do wszelkich upokorzeń byle ją przebłagać.

Lecz zanim dzwonek oznajmił chwilę zebrania się w sali jadalnéj wniósł lokaj nakrycie do jego pokoju. Zapytany o powód, odpowiedział:

— Młody pan hrabia nie będzie na śniadaniu i kazał dla pana tu nakryć.

Pan Wosiński z czerwonego zrobił się bladym. Po chwili zaczął pakować swe rzeczy drżącemi rękami.

Następnie poszedł do kasyera, obliczył się, nie wziąwszy pensyi za czas słabości, złożył u buchaltera list proszący hrabiego Rugarda o zwolnienie od obowiązku. I złamany, znękany, z bólem głowy, utykając na nogę szedł z biur będących za wjazdem pałacowym do swego pokoju. Postanowił jednak pożegnać Hertę zanim odjedzie, a również złożyć list dla hrabiego Jasmunda z zawiadomieniem o wyjeździe. Jego pokój w którym tyle przeżył i przemarzył, wydał mu się dziwnie smutnym z temi nagiemi ścianami, z nieładem nagłego wyjazdu.

Szedł do parku układając frazes pożegnalny dla Herty. Idąc tak zamyślony na nagłym skręcie spotkał się z Hertą i jéj towarzyszką. Ukłonił się, stanął i z wzruszenia wyjąkał głosem cichym:

— Przyszedłem pożegnać panią, wyjeżdżam.

Był tak zmieszany, tak niepewny ruchów i słów, że angielka uśmiechnęła się z politowaniem. Herta na razie nie zrozumiała, oburzyła ją myśl, że on chce ją przepraszać, dopiéro słowo: „wyjeżdżam" powiedziane wyraźniéj uspokoiło ją

— Żegnam pana — odpowiedziała, i dumna, spokojna, piękna poszła daléj ze swą towarzyszką.

Pan Wosiński wrócił do pokoju, napisał kilka słów do hrabiego Jasmunda i do doktora, posłał lokaja Jana do miasteczka po furmankę, i czekał.

Piekły go oczy, paliły skronie, drżały ręce, dusiło powietrze pokoju, ale wyjść nie chciał, bał się spotkania znajoméj twarzy. Wreszcie wózek żydowski ciągniony przez liche szkapy podjechał do bramy wjazdowéj od drogi. Lokaj zabrał rzeczy i pan Wosiński kulejąc szedł za nim zmęczony, upokorzony, zbolały, rozczarowany do świata, ludzi, miłości.

Na zapytanie furmana gdzie jechać, odpowiedział cicho:

— Na koléj!

XXI.

Następnego dnia po wyjeździe p. Wosińskiego śniadanie w pałacu było wesołe i ożywione. Hr. Jasmund ostrzył swój dowcip na téj, jak mówił, ucieczce bohatera kilkomiesięcznego w Wieszarach. Poinformowany przez służbę posiadał dokładne, jakkolwiek lokajsko zabarwiane szczegóły wyjazdu. Drwił z chorobliwéj sumienności nie-

brania pensyi za czas słabości, ze śmiesznéj dumy nieproszenia o konie wyjazdowe; z biurowego pedantyzmu listu. I doktór nie omieszkał wtrącić kilku słów o próżności i niewdzięczności byłego kontrolera. Na razie słuchała Herta niechętnie złośliwych docinków o nieobecnym, lecz przypomniawszy sobie pożegnanie niezgrabne, i ona dostroiła się do tonu sarkazmu, zgodnego z nastrojem towarzystwa.

Hrabia Jasmund o ile na to pozwalały pozory pracy i formy towarzyskie, starał się być najczęściéj u państwa Dołsunowskich, w razie nieobecności przypominając się posłaniem kwiatów, owoców lub książek. Życie pałacu i dworu całego hrabiów Rugiwojskich doznawało przerw i wstrząśnień pełnych oczekiwań w chwilach przybycia poczty. Służba przysłuchiwała się teraz pilniéj niż zazwyczaj nie tylko rozmowom prowadzonym przy stole, ale badała wyraz twarzy Herty i hr. Jasmunda, gdy odczytywali listy rodziców.

Pewnego dnia obiegła cały dwór wiadomość elektryzująca o śmierci wuja, lecz wkrótce okazała się przedwczesną. Wprawdzie hrabia pisał o niebezpiecznéj chorobie wuja, kazał Hercie przyjechać, ale zarazem donosił, że doktorzy robią nadzieję utrzymania i ocalenia życia.

Herta wraz z towarzyszką stosownie do polecenia wyjechała dnia następnego; i jeśli hr. Jasmund czuł pewne osamotnienie w pałacu wielkim, równocześnie doświadczył większéj swobody czasu i ruchów.

Z tém poczuciem wolności nieograniczonéj nie licowały więzy wizyt u państwa Dołsunowskich. Jania i młody hrabia odczuwali w przykry sposób ten nieustanny dozór matki, nagłe wejścia, oczy podejrzliwe. Zapragnęli większéj swobody i Jania uległa gorącym prośbom hrabiego, odwiedzenia parku, co wobec zastrzeżeń i baczności pani Dołsunowskiéj było rzeczą dość trudną. Jednak Jania podnieciła tak umiejętnie ciekawość swéj siostrzyczki, a ulubienicy matki, obrazami uroczemi parku i kwiatów, że ta wyprosiła u matki pozwolenie. Pani Dołsunowska dowiedziawszy się od służby ogrodowéj, że młody hrabia prawie nigdy nie bywa w parku, a od męża, że hrabia jedzie kontrolować dalsze folwarki, zezwoliła na przechadzkę z poleceniem ostrożności, nierozłączania się i wzajemnego pilnowania.

Ofiarowane przez hrabiego cukierki i zachęcenie do zbierania muszli nad brzegiem przepływającéj rzeki uwolniły ich nawet od tego świadka. Szli oboje w głąb parku. Jani idącéj pod rękę z hrabią zdawało się, że została przeniesioną do innego, doskonałego świata, rozmarzył ją zapach kwiatów, lekki szum drzew, daleki szmer wody a przedewszystkiém bliska obecność ukochanego. Szła z powstrzyma-

nym oddechem, mówiła przyciszonym głosem z obawy by nie spłoszyć uroku, który ją czynił tak szczęśliwą.

— Jak tu pięknie! — szepnęła, tuląc się z uczuciem wdzięczności do boku towarzysza.

Uśmiechnął się łagodnie i mówił cicho:

— Widzi pani, w głębi, na prawo, te buki i brzozy. Gdy byłem dzieckiem białe te kory robiły na mnie wrażenie duchów, które zstąpiły na ziemię, by karać za grzechy, zdawało mi się, że one biorą niegrzeczne dzieci, wiążą gałązkami i otulając swą szatą białą, niosą do piekła. Jakże się bałem tych drzew!

— A ja po dziś dzień boję się drzew wielkich, skupianych jak w lasach. Przerażają mnie swym ogromem i nieustannym szeptem, jak gdyby się zmawiały, by popełnić zbrodnię. A nikłe trawy i gęste mchy w ich cieniu kryją groby ofiar—i drżąca tuliła się silniéj.

— Czy i teraz bałaby się pani usiąść w ich cieniu?

— Nie! Pan obroniłby mnie przecież.

Zwrócił ku niéj twarz rozjaśnioną.

— Przeciw każdemu i wszystkim, ale nie chcę próbować nerwów pani i mojéj dzielności, pójdziemy do altany chińskiéj. Już u wstępu owionęło ich parne powietrze przesycone zapachem róż, gwoździków, lewkonii rozkwitłych w olbrzymich koszach. Weszli do altany.

— Widzi pani tych poważnych mandarynów, którzy tak troskliwie badają wielkość tych malutkich pantofelków przyszłéj księżniczki. A tu idzie młody książę w otoczeniu dworu, w złocistych szatach z utrefionym warkoczem, słudzy niosą podarunki: kwiaty wycięte w smoki, w gwiazdy, w księżyce, w latające żmije...

— A gdzie księżniczka? — zapytała zaciekawiona.

— Dla przyzwoitości jest na drugim słupie, wyszła z kąpieli i ubierają ją służebne. A w dole, jak zabawnie płacze ten stary, gdy mu odmówiono jéj ręki...

Zaśmiali się głośniéj. Jania zmęczona wrażeniami usiadła.

— Jak tu pięknie, jak dobrze—mówiła rozmarzona.

— Pani zawdzięczam, że Wieszary, które zaledwie lubiłem, dziś prawie kocham—i przysunąwszy mały taburet siadł obok niéj.

— Wieszary, gdyby były dobrze wychowane, powinny złożyć głęboki ukłon—zaśmiała się Jania wesoło.

— Te moje Wieszary — mówił patrząc na nią — są takie miłe, słodkie, kochane, że nie wymagam ukłonu, ale spojrzenia, uśmiechu, słowa, a już będę szczęśliwy!

— Gdybym była wieszczką, ożywiłabym naturę i byłby pan szczęśliwy. Chociaż te kwiaty żyją, mówią zapachem, liście drzew opowiadają coś wesołego promieniom słońca, patrz pan, jak się ukrywają, podnoszą...

— Pozwól mi pani patrzéć tylko na siebie. Najpiękniejsze kwiaty mogą być tylko twemi sługami, najjaśniejszy promień słońca gaśnie przy twém spojrzeniu. Nie chcę ani kwiatów, ani słońca, jeśli one mają odkradać mi twe spojrzenia, twe uśmiechy, bo ja kocham cię całą, kocham każdy twój włos, każde poruszenie, każdy oddech. Kocham i wiem, rozumiem i czuję, dlaczego tylko ciebie kocham. Byłem zwątpiały, dałaś mi wiarę, byłem rozczarowany, wskrzesiłaś czar życia, błądziłem po bezdrożach, wskazałaś cel — i dlatego kocham cię bardziéj aniżeli to wyrazić zdołam.

Mówiąc to nachylał się ku Jani coraz bardziéj, ręką objął jéj kibić i ostatnie słowa szeptał już tylko do ucha, upojony zapachem jéj włosów, odurzony ciepłem jéj ciała, biciem serca i rozkoszną omdlałością kobiéty kochającéj w objęciu ukochanego.

Jania drżąca i blada ze wzruszenia słuchała tych słów jak najrozkoszniejszéj a przeczuwanéj muzyki. Nie należała już do siebie, do ziemi, do świata, była tylko jakiémś tchnieniem, czémś nieokreśloném, a to czuła wyraźnie, że od téj chwili żyje tylko przez niego, dla niego i w nim.

On przycisnął ją silniéj do siebie i pytał cicho a namiętnie:

— Kochasz? kochasz?

— Kocham! — szepnęła tuląc się bliżéj.

On całował jéj włosy, czoło, oczy, usta, aż usunął się na kolana i złożył głowę na jéj sukni. Ona oddając mu jedną rękę, drugą głaskała jego włosy.

— Widzisz — mówił z cichą skargą w głosie — mnie nikt nie kocha bezinteresownie, dla mnie samego. Od lat dziecinnych pamiętam tylko płatne bony, płatnych nauczycieli, płatne usługi, płatne przyjaźni. I znałem tylko dwa rodzaje kochających ludzi, jedni kochali mnie olśnieni tytułem, a drudzy majątkiem. Ale ty inną jesteś, prawda? Powiédz, powiédz szczerze, dlaczego mnie kochasz?

— Dlaczego? — powtórzyła zwolna uchylając się ku niemu — kochałam cię dawno, zanim cię poznałam, zjawiłeś się w snach moich, w marzeniach i byłeś zawsze taki dobry, szlachetny, mądry, takim jak jesteś, byłeś i będziesz. I nachylając się bardziéj ucałowała jego czoło.

On wstał, usiadł obok, wziął ją w objęcia i całował ją tuląc silniéj ku sobie, tylko słowo kocham przerywało rozkoszne milczenie.

Wtém głos Dziuni zabrzmiał bliżéj, coraz bliżéj, Jania wstała, uwolniła się z uścisków i odezwała się przyciszonym głosem na wołanie siostry.

Oboje rozpromienieni uczuciem, z uśmiechem na twarzy, z tęsknotą i wiarą w rozkoszniejsze spotkanie jutro pożegnali się u furty parkowéj.

Dziunia mając przyrzeczoną ponowną wizytę w parku i nowe pudełko cukierków, przyrzekła siostrze milczenie o spotkaniu młodego hrabiego i dotrzymała go.

Na drugi dzień przypadło święto, obchodzone uroczyście przez ludność miejscową, a doktór korzystając z tego urządził wycieczkę do lasu, prosząc na gospodynię panią Dołsunowską. Zamówiona z pobliskiego miasta muzyka przygrywała ochoczo w czasie obfitéj uczty, toasty nie ustawały, a sam doktór dopilnowywał kieliszków pań.

W strzelaniu do celu odniósł zwycięstwo hrabia Jasmund i jako król kurkowy rozporządził, aby poddanki zbierały owoce leśne. Zebranie największéj ilości miało być nagrodzone godnością królowéj. Doktór szepnął do ucha Jani, by nazbierała żołędzi bardzo licznych w dębowym lesie—co uczyniwszy, została królową. Rozporządzenia doktora, marszałka dworu, odosobniały parę królewską, która szepcząc upajające słowa miłości, trawiła czas na wzajemném uwielbianiu siebie.

Hrabia prosił o widzenie się w parku w dniu jutrzejszym. Jania odmawiała stanowczo. Lecz jak kwiat odchyla swój kielich ku promieniom słońca tracąc swe żywe barwy i oddając woń, tak i Jania, wpatrzona w słońce swéj miłości, w hrabiego Jasmunda, traciła zwolna odziedziczone i wpajane zastrzeżenia, ostrożności, wzdragania, panny, córki pani Dołsunowskiéj. I przyrzekła przyjść do parku.

Ulewny dészcz przeszkodził schadzce hrabiego, który kwaśny i chmurny przyszedł do sali jadalnéj. W końcu obiadu wraz z dziennikami przyszedł list ojca, hrabiego Rugarda. Zawierał on szczegóły o ciężkiéj chorobie wuja, o zwątpieniu doktorów utrzymania drogiego zdrowia i mieścił wyrazy rezygnacyi smutnéj, że może podoba się Najwyższemu dotknąć ich śmiercią ukochanego patryarchy rodu. Syn niech oczekuje depeszy. W razie konieczności wyjazdu, doktór miał objąć zarząd Wieszar.

Ta nowa wiadomość, podnieciła i tak już natężone oczekiwanie zmian majątkowych u służby i oficyalistów. Młodego hrabiego uważano za prawdopodobnego sukcesora wielkich majątków dziadka i starano się o jego względy i łaski. Wyzyskując jego skłonność do zabaw urządzano nieustanne festyny. Imieniny, święta, polowania, rybołóstwo dostarczały hr. Jasmundowi dość sposobności do odosobnionych

rozmów z Janią. A ich półsłówka, gorące spojrzenia, wzajemne poszukiwanie się zaniepakoiły panią Dołsunowską.

Po hucznéj zabawie dożynków w Sokołówce nie mogła usnąć. Napadły ją dziwne strachy. W grze z młodym hrabią dotychczas jéj się szczęściło, miała przewagę, bo posuwała piękną córką jak pionkiem nietykalnym. Wygrala już gratyfikacyę dla męża; szacunek, obawę i zazdrość wszystkich oficyalistów; zaspokoiła swą ambicyę, że hrabia unikając sąsiedztwa bywa w jéj domu; schlebiająca jéj służba szeptała o świetnym losie córki zamężnéj z Rugiwojskim; była niemal pewną administratorstwa męża na Litwie; i nagle opadła ją trwoga o córkę. A jeśli ona była tak niemądrą, że zakochała się naprawdę? I cały szereg posępnych myśli, przypuszczeń, obaw przesunął się przed oczyma matki. Chciała iść do córki natychmiast, powstrzymała ją zbyt późna pora. Jutro, jutro, pocieszała się zaniepokojona.

— Moje dziecko, dziś nie idź na dożynki w pałacu—przemówiła niezwykle czule.

— A przecież mama przyrzekła — odpowiedziała zmieszana.

— Pójdzie ojciec i powie, że cię głowa rozbolała.

— Ale dlaczego?

— Widzisz moje dziecko, widziałam was wczoraj oboje z hrabią. Jesteście młodzi i...

— I co?

— On?... Co mu zaszkodzi pokochać się, niech się kocha, ale ty, panna, moja córka... musisz bardzo uważać na siebie. Wątpię, czy on się z tobą ożeni, możeby i chciał, ale rodzice nie pozwolą, wydziedziczą go.

— Ależ ja o tém nie myślę—kłamała zarumieniona.

— Już ja was widziałam — mówiła matka, chodząc po pokoju. — Ty nawet nie wiész, jacy są ci mężczyźni, unieszczęśliwić dziewczynę, to dla nich zabawka.

— Ach mamo! Nigdy nie uwierzę, aby on mógł tak postąpić!

— Oho, już do tego przyszło. To ja ci teraz powiem, już widzę, że ty się nim zajęłaś. Na taką chorobę jedyne lekarstwo wyjazd. Pojedziemy do Odessy... i tak mam kilka sprawunków, zobaczysz ludzi, morze, miasto, to amory wywietrzeją ci z głowy.

Jania pobladła, ale czując niebezpieczeństwo dla swéj miłości, szczęścia, marzeń postanowiła usunąć podejrzenie matki.

— Ach jak to dobrze, że wyjedziemy! — zawołała wesoło. — Tu tak nudno, nieznośnie, a nareszcie zobaczę miasto i morze. Więc jedziemy? — a gdy matka skinęła głową, mówiła daléj:

— Kiedy już mam przyrzeczenie mamy, to niechże mi mama nie psuje podróży podejrzeniem miłości. Czy mama naprawdę myśli, że ja w nim zakochana? Ha, ha, ha... to doskonałe. Chudy, suchy, z twarzą starą! Ha, ha, ha... Umizga się do mnie, ja to widzę, ale przecież nie darmo. Wielka mi rzecz gratyfikacya!? Raz jeden dali i koniec... Mama mówiła mi o administratorstwie ojca, i ja myślałam, ale czułam, że to zawcześnie. Trzeba go przecież przygotować do żądania, ugłaskać, zobowiązać, bo nagle żądając można wszystko popsuć...

Matka z początku patrzała z niedowierzaniem na córkę, ale stopniowo słowa jéj, tak odzwierciadlające jéj metodę i dążenie uspokajały ją, kołysały wreszcie wzbudziły zachwyt.

— Teraz widzę, żeś ty moja rodzona córka. Boże! Cóż ja przecierpiałam téj nocy!... Czemuż mi nie powiedziałaś dawniéj tego?

— Bałam się mamy... Jestem prawie pewna, że ojciec dostanie posadę wyższą, ale ja myślałam o lepszém miejscu...

— O jakiem? jakiem?

— Przecież hrabiostwo odziedziczą kilka majątków, nie tylko na Litwie. Bo proszę mamy, co my tam robić będziemy? Gdzie kształcić Dziunię?

— To prawda! Że mi téż to do głowy nie przyszło?

— Ja myślę tak pokierować, byśmy się dostali między ludzi.

— Tak, tak, masz słuszność. To wiész co, odłóżmy podróż, Odesa nie ucieknie, a interesu trzeba przypilnować...

— Jakto? Nie pojedziemy? A przyrzeczenie mamy? — mówiła z udaném rozczarowaniem.

— Ależ pojedziemy, pojedziemy, tylko późniéj... No, uspokoiłam się... Już ty rób, co uważasz, tylko ja muszę wiedziéć wszystko.

I wyszła, ucałowawszy córkę z wyjątkowém rozczuleniem.

Jania, zamknąwszy drzwi na klucz, ukryła głowę w poduszkę, by nikt nie posłyszał jéj łkań i płakała. Była to reakcya naturalna po wielkim wysiłku obrony swéj miłości przed matką. Kłamała, widząc w tém jedyną, skuteczną broń swoją. Stosunek jéj do matki niechętny, oparty na surowéj powadze tradycyjnéj, bezwzględny ze strony matki, fałszywy i wymijający ze strony córki, usprawiedliwiał to kłamstwo. Wśród łkań i płaczu usprawiedliwiała swe postępowanie niewolą u rodziców, którą powiększała do sztucznie wielkich rozmiarów; przypominając sobie prawdziwe i urojone krzywdy zadane jéj uczuciom i wolności. Miłość jak każde szczere uczucie, uszlachetniła ją i uczyniła wrażliwszą, pragnęła teraz być doskonalszą, lepszą, dosięgnąć miary ideału, uosobionego w hr. Jasmundzie. Myśl, że to jéj kłamstwo

wzbudziłoby w nim niesmak, niechęć, odrazę; ta myśl sprawiała jéj niemal ból fizyczny.

Jednak cierpienie, podobnie jak rozkosz podnosi wartość idei czy osoby, dla któréj się to odczuwa. I Jania idąc na dożynki w pałacu czuła goręstze przywiązanie, głębszą miłość i zdawało się jéj, że posiada większe prawo do hr. Jasmunda. Zobaczywszy go, powiedziała mu szczerze i otwarcie o prośbie rodziców otrzymania administratorstwa na Litwie lub innéj lepszéj posady. Zakochany hrabia przyrzekł jéj tegoż wieczora dać odpowiédź. Po śpiewach dożynkowych, przyjęciu wianków, rozdaniu podarunków, gdy został sam z doktorem przemówił:

— Wiész doktorze, że masz objąć zarząd Wieszar, gdy ja wyjadę do rodziców. Pisał mi o tém ojciec.

— Nie zawiodę zaufania—szepnął ucieszony.

— Sądzę, że to tylko wstęp na plenipotenta—rzekł poważnie.

— Czy pan hrabia co wspomniał?—pytał doktór z powstrzymaną radością w głosie.

— Jestem tego pewny, dość będzie przypomniéć ojcu. Doktór może tę sprawę uważać za załatwioną.

Po chwili milczenia dodał:

— Jako do plenipotenta mam prośbę osobistą.

— Co pan rozkaże?—zawołał doktór, rozumiał bowiem, że w téj chwili staje umowa popierania się wzajemnego.

— Pierwsze wolne miejsce administratora odda doktór Dołsunowskiemu.

— Ależ naturalnie! Od Nowego Roku jest miejsce w majątkach litewskich.

— Jego pracowitość, sumienność wykonania i uczciwość — mówił hrabia z godnością—zasługują na nagrodę.

— O tak! — potwierdził doktór pospiesznie. — To wyborny wykonawca, a w gospodarstwie tacy są nieocenieni.

I rozmowa przeszła na sprawy bieżące.

Gdy hr. Jasmund oznajmił Jani, że ojciec jéj może być prawie pewny administratorstwa, wdzięczność jéj stała się jedną podnietą więcéj dla miłości, którą silnie odczuwała. Dotychczas uwielbiała jego szlachetność, dobroć, rozum z zabarwieniem upodobania zmysłowego w jego piękności, spojrzeniach i ruchach wytwornych; teraz, pod wpływem wdzięczności zabarwienie to nabierało coraz większéj przewagi. Pragnęła uścisnąć tę rękę szlachetną, utulić tę głowę kochaną, usunąć każdy cień niezadowolenia lub troski, widziéć tylko na téj twarzy pięknéj uśmiéch szczęścia i radości.

Na drugi dzień pani Dolsunowska otrzymała list wzywający ją do niebezpiecznie choréj matki i poleciwszy dom opiece córki tegoż dnia wyjechała.

Hrabia Rugard napisał, by część pszenicy sprzedano i gotówkę wysłano pod jego adresem. Doktór uwiadomiony o poleceniu, wysłał na zwiady p. Dołsunowskiego do miasta. Młody hrabia dowiedział się dopiéro popołudniu tegoż dnia tak o wyjeździe matki, jako téż ojca i natychmiast poprosił obiedwie siostry do parku. Jania, która od trzech dni nie widziała hrabiego, po krótkiém wahaniu uległa swéj tęsknocie i miłości, a zostawiwszy siostrę na gospodarstwie, obiecując swój powrót za godzinę, sama boczną furtą weszła do parku.

Słońce miało się ku zachodowi, promieniały w blaskach wierzchołki drzew, nieporuszone powiewem najlżejszym, a z zaułków pni i krzewów występował zmrok opanowując cieniste aleje. Jania i hr. Jasmund szli w kierunku ulubionéj altany chińskiéj. W parku było tak spokojnie i głucho, że wyraźnie słyszeli chrzęst piasku usuwającego się pod naciskiem bucików.

— Jaka dziwna cisza — szepnęła Jania tuląc się bliżéj.

— Nie przed burzą — odpowiedział, i oboje spojrzeli na blady błękit nieba jesiennego.

— Boję się — mówiła daléj — zdaje mi się, że lada chwila z tych ciemnych kłąbów wychyli się ktoś i zastąpi nam drogę.

— Byle nie duch, z ludźmi dam sobie radę — zażartował hrabia, śmiejąc się cicho.

— Nie mów pan o duchach, ja wierzę w ich istnienie.

— Wierzysz?... I widziałaś może?

— Nie mów pan, nie mów... boję się dzisiaj—i spojrzała lękliwie w około, a spostrzegłszy grupę buków i brzóz szeptała niemal do ucha towarzyszowi. — Istotnie ta biała kora na ciemném tle przeraża. Chciałabym być już na wolnéj przestrzeni. Tu snują się jakieś mary...

— Zaraz będziemy w altanie, a jeśli się boisz, wezmę cię na ręce i poniosę daleko, na kraj świata—i objął jéj kibić.

Wywinęła mu się zręcznie a odsunąwszy się rzekła:

— Nie dotykaj się mnie dzisiaj, jestem dziwnie rozdrażniona. Zdaje mi się, że w żyłach mam ogień, chciałabym być ptakiem w powierzu, rybą w morzu, aby gdzieś lecieć, płynąć, szukać czegoś i sama nie wiem czego.

Weszli do altany mrocznéj z powodu spuszczenia trzech ścian ruchomych.

— Jak tu spokojnie i dobrze — mówiła weseléj, siadając na kanapce — nie ma tych obrzydliwych czarnych cieni krzaków i drzew.

Hrabia usiadłszy obok niéj, wziął jéj rękę i całując kilkakrotnie zapytał głosem przyciszonym:

— Kochasz mnie Janiu naprawdę?

— Jak prawdą jest, że chcę by miłość nasza trwała wiecznie, tak prawdą jest, że kocham bardzo szczerze i bardzo głęboko.

— Właśnie o téj trwałości chcę pomówić. Wiész, że jeszcze nie zależę od siebie, mam rodziców...

— O nie dzisiaj mów o tém... Czy nam źle razem? Jesteśmy tu w téj dziwnéj altanie, wśród chińczyków, którzy nic nie rozumieją, mamy w około kwiaty takie piękne i wonne, i chcesz mówić o tytułach, majątku, sporach i kłótniach.

— Jakaś ty dobra, jaka kochana, jaka słodka — odpowiedział całując jéj usta. — Dobrze, już nic nie powiem o interesach, ale opowiédz mi bajkę.

— Bajkę? — mówiła zamyślona tuląc głowę do jego ramienia.— I naprawdę chcesz bajki?

— Najprawdziwszéj bajki.

— Posłuchaj. Było to już dawno temu, może rok, może dwa, a może sto, i przyjechał królewicz do pewnego kraju, a był on tak piękny, tak młody, tak szlachetny i dobry, taki jak ty. I spotkał dziewczynę ubogą...

— Nie, teraz ja powiem — zawołał z uśmiechem hrabia—i spotkał tak piękną, miłą, kochaną dziewczynę, jak ty... Teraz mów daléj.

— Proszę mi nie przeszkadzać, bo nie będzie bajki...

— Już nie będę, przysięgam! — mówił całując jéj oczy.

— Ale w tym kraju był smok, straszny smok, okropny smok...

— Smok jak w bajce — zaśmiał się.

— Przeszkadzasz mi, nie skończę bajki, a była ładną.

On tulił ją coraz namiętniéj i całując prosił o dalsze losy królewicza.

— Smok zamknął ich oboje do szklanéj bani i puścił na wielkie morze...

— O kochany smoku, o dobry smoku, o szlachetny smoku — wołał rozweselony. — Kiedy bajka, to już bajka, dziewczyną tą, ty jesteś; ja królewiczem; miłość nasza, smokiem; a altana, szklaną banią;—więc płyńmy...

I oboje rozbawieni, rozweseleni, całowali się coraz namiętniéj, ściskali się coraz goręcéj. Kwiaty pod wieczór miały zapach upajający, mrok padał coraz gęstszy, aż otulił zupełnie i park i altanę w swój płaszcz ciemny...

Gdy Jania wraz z hr. Jasmundem wyszła z altany, wygładzając swą snknię i poprawiając włosy; wyiskrzone, pogodne niebo rzucało słabe blaski na odkryte miejsca parku. Prowadzona przez hr. Jasmunda szła do domu trwożliwa, pokorna i cicha.

I jeszcze kilka dni upłynęło im wśród wzajemnéj tęsknoty, gorących pocałunków, namiętnych uścisków; aż nagle przyszła depesza wzywająca młodego hrabiego do rodziców.

Hrabia Jasmund Rugiwojski, patryarcha rodu, pan olbrzymiéj fortuny umarł.

XXII.

Umarł!

Słowo to przebiegło z szybkością nadzwyczajną przez służbę do oficyalistów, od nich do miasteczka, folwarków, sąsiedztwa. Wszyscy ludzie spleceni w koło fortuny hrabiów Rugiwojskich, odczuli wstrząśnienie elektryczne. Zadowolnieni, dumni, chodzili jakby w aureoli świątecznéj. Blask milionów spadkowych rozpromieniał ich twarze; pozłacał nadzieje poprawy ich losów; prostował ich postaci przeznaczone do noszenia godnego żałoby urzędowéj; użyczał powagi i skupienia każdéj czynności widocznéj dla oczu ludzkich.

Umarł!

Na pierwszą wiadomość rozkazał doktór wywiesić na rogach pałacu, w drzwiach wchodowych i u bramy wjazdowéj, bandery czarne, żałobne, na których złociła się lwica w łódce, herb Rugiwojskich. Z kufrów dobyto kir do obicia kaplicy, ustawiono katafalk, wnoszono lichtarze, świece, kwiaty, wieńce. Posłano do kościołów innych wyznań z wiadomością o téj śmierci, z prośbą o współudział w żałobie, która dotknęła hrabiów Rugiwojskich.

Umarł!

I od samego rana biły dzwony w kaplicy pałacowéj, w miasteczku, wsiach okolicznych, głosząc powagę i znaczenie tego, który w téj chwili zimny, obojętny, stężały nie mógł niczego widzieć, pragnąć, żądać. Doktór z powagą czcił godność rodu hrabiów Rugiwojskich. Oczy jego były smutne i skupione, twarz zimna i spokojna,

ruchy poważne i stanowcze, głos nabrzmiały smutkiem i współczuciem.

Umarł!

I słowo to tak bolesne i rozpaczliwie smutne dla bliskich, przykre dla żyjących, posępne ceremoniałem — miało inne znaczenie dla hrabiów Rugiwojskich. Z niego wyłaniała się przyszłość rozkoszna, uśmiechnięta, błyszcząca złotem. Grób starca stawał się kolébką życia, szczęścia, nadziei!

Rozporządzeniem testamentowem przeznaczał wuj kilka kluczów żyznéj ziemi na dożywocie hrabiom Rugardom z prawem dziedziczenia tegoż majątku przez najstarszego syna. Kapitały złożone w bankach krajowych stawały się własnością hrabiny Rugardowéj. Stadninę i dwie fabryki cukru zapisał hrabiemu Rugardowi. Całość ich spadku oznaczano na kilkanaście milionów rubli.

I w tym deszczu tysięcy, kroci, milionów zabłysła jasno, oślepiająco, lwica stara, samotna, płynąca teraz w przyszłość opromienioną różowemi blaskami chwały, dumy, sławy, potęgi rodu hrabiów Rugiwojskich.

Pierwszy z pogrzebu wrócił młody hrabia Jasmund, zmęczony ceremonią, znudzony powagą i smutkiem, stęskniony za Janią, spragniony jéj pocałunków i uścisków.

Służba i oficyaliści przypatrywali się ze zdumieniem, że młody hrabia przyjechał taki sam, z twarzą spokojną, uśmiechem zagadkowym, ruchami poważnemi i odmierzonemi. Naprożno doszukiwano i upatrywano wrażeń milionów — był to ten sam hrabia Jasmund elegancki, spokojny, poważny młodzieniec.

Wysłuchał cierpliwie raportu doktora o gospodarstwie i ceremoniach żałobnych w majątku, i zawiadomił doktora, jak gdyby na podziękowanie za okazaną służbistość, o woli swego ojca:

— Doktór może się przygotować na objęcie posady jeneralnego plenipotenta... to są słowa ojca.

Rozpromieniony doktór nie znalazł na razie słów odpowiednich, lecz pragnąc czémkolwiek odwdzięczyć się hr. Jasmundowi zaproponował przejrzenie księgi głównéj folwarków, znajdującéj się w kancelary p. Dolsunowskiego.

Jania w czasie dwutygodniowéj nieobecności hr. Jasmunda straciła dużo ze swéj żywości i wesołości, jakiś cień smutku, zamyślenia, niepokoju osiadł na pięknéj jéj twarzy, pobladłéj z tęsknoty i obaw tajemnych. Wiadomość o olbrzymim spadku prawie ją zasmuciła. Jeszcze dziedzic Wieszar obciążonych prawami brata, był bliższy jéj

marzeń ślubnych, ale od pana takiéj fortuny książęcéj dzieliła ją przepaść, prawie nieprzebyta, rodu, majątku.

Przy pierwszém spotkaniu się w parku zarumieniona, zawstydzona, zasmucona wyznała szeptem swe usprawiedliwione obawy i troski o swoją przyszłość. Zwierzała się z przerażającego strachu odkrycia tego faktu przez jéj rodziców.

Hrabia Jasmund na razie zmieszał się, spokorniał poczuciem swéj winy, współczuł jéj niedoli, ale wkrótce pokrywając uśmiechem swój niepokój, żartował z jéj dziecinnych trosk, obaw, przywidzeń. Już w czasie rozmowy z Janią doszedł do przekonania, że jako przyszły pan mnogich włości będzie mógł zawsze wynagrodzić jéj tę krzywdę, jeśli wogóle krzywdą, nazywa się naturalny porządek świata. Skargi jéj przyjmował nieledwie obojętnie.

I oboje w poczuciu fatalizmu nieuchronnego oddali się logicznym następstwom swéj miłości. Jania cicha, bierna, posłuszna, ulegała coraz to nowym kaprysom hr. Jasmunda, sądząc, że tym sposobem zażegna swą obawę utracenia jego miłości.

XXIII.

Pani Dołsunowska od pewnego czasu śledziła podejrzliwie swą córkę. Nie podobały się jéj nagłe zmiany twarzy, humoru, ruchów. Jakieś niejasne obawy, które miała dawniéj, odezwały się w nocach bezsennych. Nareszcie wszystkie te złe przeczucia, tajemne troski, mgliste podejrzenia, tak się ugrupowały w jéj umyśle, że nabrała niemal pewności swego nieszczęścia.

Weszła rano do pokoju córek i wyprawiwszy Dziunię nieubraną do swéj sypialni, zażądała brutalnie wyjaśnień od Jani. Zaskoczona niespodziewanie córka, blada, przerażona, wyznała łkając swój błąd. Spodziewała się wybuchu, obelgi czynnéj, ale pani Dołsunowska, niema, z ustami zaciśniętemi, drżąca, zaledwie z wysiłkiem szepnęła:

— Co powié ojciec?

I wybuchnęła gwałtownym płaczem. Ten mąż taki cichy, ustępujący, zgodny, tyle razy zwracał jéj uwagę na niebezpieczeństwo grożące jego córce ukochanéj, martwił się plotkami, niepokoił częstemi wizytami; i dziś sprawdziły się jego przeczucia.

Ale i przed oczyma Jani stanęła w całym bólu i grozie postać ojca ukochanego. Szeroko rozwarła oczy, wyprężyła się i z głębi piersi dobył się gwałtowny krzyk, jęk, łkanie.

— Cicho! — zawołała matka szarpiąc gwałtownie ramię córki. Gdy to nie pomogło, schwyciła szklankę wody i chlusnęła na twarz córki. To poskutkowało.

— Tu krzyk nic nie pomoże—mówiła matka z rozpaczą—trzeba coś radzić... O ja nieszczęśliwa! — jęknęła zataczając się na puste łóżko Dziuni.

Zerwała się Jania z pościeli, uklękła przed matką i płakała, jęcząc cicho, kryjąc twarz w spódnicach matki. Po chwili pani Dolsunowska uspokoiła się, popatrzyła na dziewczynę klęczącą, i schylając się nad jéj głową, gładząc włosy, mówiła z rozczuleniem:

— Ja wiem, że ty cierpisz, jesteś nieszczęśliwa, ale któż ci winien? Jak mogłaś zezwolić? Kiedy? Gdzie? Tak cię pilnowałam, jak oka w głowie... i trzeba takiego nieszczęścia... O Boże! Co będzie z ojcem? On zabije ciebie, mnie, hrabiego...

I znów obiedwie zaczęły szlochać. Pierwsza matka, ocierając łzy, kazała Jani się ubierać.

— Przed ojcem musi być sekret. Taka hańba mogłaby go zabić. Coś trzeba obmyśléć... Czy ci przyrzekł, że się ożeni?

— Przysiągł.

— Idźże dzisiaj na tę waszą przeklętą schadzkę i powiédz mu, aby się żenił.

— Dobrze.

— Ale co tam myśléć, gdzieby się on teraz z tobą ożenił?! Czego pragnął, to i dostał, a ty cierp z twoim ojcem i matką—kończyła z żalem głębokim.

Jania ubierając się, płakała cichemi łzami, płynącemi bez jęku.

— Tu trzeba coś radzić! — zawołała matka, cisnąc rękami swe skronie. — Obmyj oczy, uspokój się, bądź taką, jak zwykle... a ja już coś obmyślę.

I wyszła cicho z pokoju.

Zwykłe obowiązki i zajęcia odbyły się istotnie jak każdego dnia, tylko drżące ręce, cisnące się łzy, łagodny ton mowy zdradzały cierpienie wewnętrzne pani Dołsunowskiéj, tłomaczącéj się przed mężem bólem głowy. Jania cicha, pokorna, z oczami suchemi siedziała z robótką w ręku w swoim pokoju, zmuszając się do uśmiechu, rozmowy, żartów w towarzystwie ojca.

Wieczorem uwiadomił p. Dołsunowski rodzinę o przyjeździe hrabiostwa w dniu dzisiejszym i o zwykłéj porze rozeszli się na spoczynek.

Jakkolwiek pani Dołsunowska miała dużo danych, że cała wina tego wypadku smutnego ciążyła na Jani, nie mogła się obronić od

wyrzutów sumienia, zrazu cichych i niewyraźnych, następnie coraz głośniejszych i natarczywszych. W ciemnéj sypialni, sama przed sobą snuła dzieje poznania młodego hrabiego. To ona podsunęła rozmyślnie Janię przed jego oczy, zostawiała ich samych, nakłaniała córkę do kokieteryi. Wprawdzie działała w dobréj wierze, dla dobra całéj rodziny; ale fakt zostaje faktem. Ona pierwsza wmieszała córkę w grę, któréj rezultat był tak opłakany, ohydny, hańbiący. Ożeni się? czy się nie ożeni? wszystko przemawiało przeciw możliwości związku, on zaspokoił swą namiętność, a ród, tytut, majątek, stanowisko i rodzice nie dozwolą na małżeństwo z jéj córką. Wśród tych czarnych myśli błysnęło jednak światełko. Mówią, że hrabina jest dobrą, kochającą matką; pójdzie do niéj, wypowié wszystko, będzie błagała, prosiła, zaklinała o litość nad dzieckiem, nad nimi.. Wstrząsały nią dreszcze obawy przed ujawnieniem swéj hańby, przed pokornem błaganiem; ale pocieszała się, że przecież i hrabina jest matką, a matka matkę zrozumiéć powinna, musi... A gdyby odmówiono przyjęcia Jani do rodziny hrabiów, podniesie taki głos rozpaczy i przekleństw, że wszyscy odwrócą się od tych panów utytułowanych... A mąż? Ten tak spokojnie, cicho, bezpiecznie uśpiony mąż, którego oddech regularny słyszała w pokoju. Nie, on chyba nie przeżyje tego. I czuła w téj chwili, że kocha go tak bardzo, jak w pierwszych dniach po ślubie... Więc rozgłos sprawy jest niemożlwy—tylko utajenie. W danym razie zażąda od hrabiów odpowiednich środków pieniężnych, by z tą hańbą Jani uciec gdzieś na kraj świata. A to dziecko przyszłe? Gdyby nie obawa obudzenia męża byłaby klęła głośno i hrabiów, i to ich dziecko.

Rano, zmęczona nocą bezsenną, pożółkła, z sińcami czarniawemi pod oczyma, krzątała się po domu do chwili wyjścia męża. Następnie szybko się ubrała w swą suknię ciemną, odświętną i poszła do pałacu.

Bez większych trudności uzyskała posłuchanie w gabinecie hrabiny.

Zrazu onieśmielił ją wykwint gabineciku, przesiąkniętego delikatnym zapachem kwiatów i surowa powaga hrabiny siedzącéj na kanapce, przekonanéj, że to jakaś nowa prośba, w ostatnich czasach tak częsta, o wsparcie z powodu spadku milionowego.

— Proszę siadać — mówiła, wskazując na krzesełko niedaleko drzwi. — A czego chce pani Dołsunowska?

Zagadnięta pod wpływem tych słów oprzytomniała i siadając zaczęła poważnie:

— Czego ja chcę, zaraz powiem, ale przedtem proszę panią hrabinę o sekret i czy w drugim pokoju nikogo nie ma?

— Prośba zbyteczna, a tu nikt nie podsłuchuje — odpowiedziała hrabina, marszcząc brwi gniewnie.—O co idzie?

— Przychodzę do pani hrabiny, jak do matki. Kto nie miał własnych dzieci, ten nie zrozumié serca i rozpaczy matki. Ale pani hrabina sama ma córkę i zrozumié, jak i ile cierpię.

— A więc?—zapytała tonem zimnym.

— Młody hrabia Jasmund bywał u nas — zaczęła, nie zważając na chmurzącą się twarz hrabiny — i... krótko mówiąc, zbałamucił mi córkę.

Hrabina pobladła i tonem surowym, ostrym przemówiła, zmierzywszy panią Dołsunowską spojrzeniem pogardliwém:

— Hrabia Jasmund jest w tym wieku, że odpowiada sam za siebie. Myślę, że i ta panna nie jest małém dzieckiem. Podobnych zwierzeń i skarg nie lubię i nie chcę.

— Pani hrabino!—wybuchnęła pani Dołsunowska.—Ja nie przyszłam po prośbie, ale upomnieć się o naszą krzywdę i hańbę. Jeśli mój mąż o tém się dowié, nie ręczę za życie pewnych osób... Ja błagam i proszę o radę, pani hrabina jest przecież sama matką i zrozumié moje cierpienie.

Ta wzmianka o niéj i jéj macierzyństwie wśród tych brudów, tak dalece oburzyła hrabinę, że uniosłszy się, podniosła głos:

— Proszę milczéć... Powiem panu hrabiemu i pani Dołsunowska otrzyma wiadomość. Teraz żegnam.

Ta nic nie mówiąc wstała, skłoniła się niezgrabnie i wyszła chwiejąc się na nogach. Teraz rozwiały się już wszelkie ułudy matki, by sprawa zakończyła się pomyślnie. Stopniowo wzrastał jéj gniéw na hrabiów, a czując się bezsilną, szukała kogoś, by mogła wyzwolić na nim swój gniéw i doznane upokorzenie. Złość dusiła ją niemal, a kto winien? Córka, ta wyrodna córka!

Przyszedłszy do domu przy pierwszém spotkaniu Jani, bluznęła jéj słowem hańbiącém. A gdy ta otworzywszy szeroko oczy, zdziwiona patrzała na matkę, nie rozumiejąc ohydy tego słowa; pani Dołsunowska objaśniła ją tak dosadnie, że dziewczyna cała purpurowa, zalała się łzami i uciekła do ogrodu.

Od téj chwili czuła Jania i w tonie i w słowach matki tę pogardę i nienawiść kobiéty cnotliwéj dla dziewczyny upadłéj.

XXIV.

Hrabia Rugard przyjął wiadomość żony dość lekceważąco.

— Dlaczego nie pilnowali córki?—mówił, wzruszając ramionami.

— Naturalnie, że to ich wina—odpowiedziała—ale dla spokoju, należałoby może tę sprawę zakończyć cicho.

— Dobrze. Pomyślę o tém—dodał obojętnie.

Nagle w umyśle matki odbiły się jasno groźne słowa pani Dołsunowskiéj, że nie ręczy za życie pewnych osób. I trwoga o ukochanego syna wstrząsnęła nią.

— Proszę cię, pomów dziś jeszcze z Jasmundem i wypraw go zagranicę.

— Ależ on powinien tu być przy objęciu nowych majątków! — bronił się mąż.

— Ja proszę cię bardzo, zrób to dla mnie i wypraw go.

— Jeśli chcesz koniecznie, wyjedzie.

— Jestem dzisiaj tak rozdrażniona, że wolałabym, byś dla mego spokoju kazał zaraz prosić Jasmunda i rozmówił się przy mnie.

— Chorobliwa troskliwość!—mruknął hrabia, dzwoniąc.

Gdy wydał rozkaz lokajowi, usiadł na fotelu i rzekł głośniéj:

— Nie pierwsza to Grätchen i nie ostatnia... To źle, że jéj rodzice służą u nas... Tak nie postępuje Rugiwojski.

— Jestem pewna, nawet mówiono mi—broniła matka syna — że jego tam ciągnięto, podsuwano mu córkę na przynętę. A teraz ta kobiéta przychodzi z pretensyą!!

Wszedł hr. Jasmund, całując z uśmiechem rękę matki na dzień dobry i witając się z ojcem.

— Siadaj i słuchaj!—rzekł surowo ojciec.

Syn żdziwiony patrzał kolejno na rodziców, ale posłuszny wezwaniu usiadł.

Ojciec pochylił głowę niżéj, zmarszczył czoło i mówił tonem oburzenia:

— Zbałamuciłeś Dołsunowskiemu córkę. Przyznaj się!

Hrabia Jasmund nié spodziéwał się tego odkrycia, pobladł, zamiast uśmiechu skrzywił usta i milczał.

— Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę w téj sprawie?... Przynosisz nam wstyd twém prowadzeniem się!

Ale matce zrobiło się żal syna i tonem lekkiéj wymówki powiedziała patrząc na męża.

— Rugardzie! Wpierw go wysłuchaj!

— Co mam słuchać?—gorączkował się ojciec. — Kto milczy, ten przyznaje. Postąpiłeś brzydko i sam za to odpowiész.

— Wiem o tém—odezwał się syn.

— Wiész?—drwił ojciec—i cóż daléj?

— Przyjechałem do Wieszar, do rodziców i zostałem sam jeden. Z nudów, tęsknoty szukałem rozrywki i wpadłem w sidła zastawione. Dziewczyna tu nic nie winna, była narzędziem. Wszystko ukartowała matka.

Twarz hrabiny rozjaśniła się, spojrzała z tryumfem na męża, który, bawiąc się ołówkiem długim, uśmiechał się ironicznie.

— Przynajmniéj nie usprawiedliwiaj twego błędu...

Ale syn widząc milczące poparcie matki, mówił poważnie:

— Źle zrobiłem i wiem o tém. Sam myślałem o wynagrodzeniu im téj mimowolnéj krzywdy...

— Cóż wymyśliłeś?—zaśmiał się hrabia złośliwie.

— Dziewczyny mi żal i ją trzeba uwolnić od plotek i języków złośliwych... niech wyjedzie. Wynagrodzenie jéj rodziców nie leży w méj możności.

Nastało milczenie.

Drzwi otwarły się lekko i kamerdyner meldował doktora.

— Niech zaczeka!—rzucił hrabia, zwracając się zaś do syna. — Obmyśliłeś dobrze, ale gdzież fundusze dla niéj i jéj rodziców?

Syn się zarumienił i chmurząc czoło, odpowiedział dumnie:

— Rugiwojskich stać na to.

Rodzicom podobał się ten frazes, ale ojciec nie zmieniając surowego tonu, mówił daléj:

— Ty zasłużyłeś na karę... Wyjedziesz zagranicę i z twojéj pensyi opłacę ten wydatek tak niespodziéwany i przykry.

— Nietylko zgadzam się, ale proszę o to.

I ta gotowość podobała się obojgu.

Hrabina dotychczas milcząca, zwróciła się do męża:

— Doktór byłby najodpowiedniejszy do załatwienia téj sprawy.

— Może masz i słuszność, bo to i doktór i nasz plenipotent... Pozwolisz, bym go zawołał?

Hrabina skinęła głową; syn pośpieszył do dzwonka i w chwilę potém wszedł doktór.

— Doktorze — rzekł hrabia — wszyscy mamy prośbę do ciebie, siadaj, proszę, i wysłuchaj.

Doktór wyświeżony, ubrany wykwintnie po wiejskn, spojrzał badawczo na obecnych i usiadł pewny nowych, zaszczytnych poleceń.

— Hrabia Jasmund—zagaił rzecz ojciec—wplątał się w stosunek niewłaściwy dla siebie z córką Dołsunowskiego. Idzie o rozplątanie powikłanych nici.

Doktór milczał. Wprawdzie widział nadskakiwania hr. Jasmunda, a domyślał się pewnych czułości, ale nie przypuszczał, aby ten sto-

sunek tak prędko przekwitł i wydał owoce. Milczał zmieszany, przypominając sobie piękną Janię, do której sam wzdychał.

— Dziewczyna musi wyjechać, nie może zostać na oczach — rozporządzał hrabia.—Na to przeznaczamy odpowiednią sumę.

— Chciałbym wiedziéć dokładnie, w czém mogę być użyteczny?—pytał zaniepokojony doktór.

— Rzecz prosta—odpowiedział hrabia — ktoś zręczny i zaufany, jak ty doktorze, musi pójść do nich, wyjaśnić im, co dla nich robimy i zażądać zrzeczenia się wszelkich pretensyi.

Doktór pobladł i zaczął trzéć ręce nerwowo.

— Więc co?—pytał hrabia rozkazująco.

— Chcę wiedziéć szczegóły—bąknął doktór niezdecydowany. — Jaka suma?... Kiedy panna Jania, córka państwa Dołsunowskich—poprawił się—ma wyjechać i jakie gwarancye?

— Ile przeznaczasz Jasmundzie?—zapytał ojciec.

— Nie wiem... To zależy od mojéj pensyi... daję połowę.

— Dobrze — skinął ojciec głową. — Zostawiam ci, doktorze, *carte blanche* od dwóch do trzech tysięcy... Kiedy ona ma wyjechać? W ich interesie leży, aby jak najprędzéj. Co do jéj rodziców? — zamyślił się.

— Przyrzekłem im warunkowo administratorstwo na Litwie—mówił syn, patrząc z prośbą na matkę.

— Daj im to miejsce, Rugardzie—odezwała się hrabina.

— Hm... hm...—namyślał się hrabia.

— Im daléj, tém lepiéj—dodała hrabina. — Zwłaszcza nie chcę widziéć téj pani, która zgłasza się nawet do mnie.

— Niech i tak będzie. To dobra posada, jest czém łzy otrzéć. Za jego uczciwość ręczysz, doktorze?

— Ręczę.

Doktora oburzała jego rola pośrednika w sprawie wątpliwéj moralności, to wypieranie jego rękami brudów hrabiowskich; bolała go zapłata za honor i cześć dziewczyny, głębokie lekceważenie uczuć ludzkich—ale gdy pomyślał o swém stanowisku wpływowém i dochodném, gdy mu w oczach stanęła ciężka i niepopłatna praktyka lekarza — zawahał się. Jednak przez złośliwość mściwą postanowił rozpytywać o dalsze szczegóły:

— A jeśli córka nie zechce wyjechać?

— Nic nie dostanie — wybuchnął hrabia — a ojca odprawię natychmiast.

Te ostre słowa ostrzegły doktora, że może przeciągnąć strunę, jednak uległ nowéj pokusie i zapytał z miną niewinną.

— A cóż się stanie z przyszłém dzieckiem?

Obecni spojrzeli po sobie w milczeniu. Po chwili odezwała się tonem surowym hrabina:

— Wychowanie dziecka biorę na mój koszt. Pójdzie do klasztoru przebłagać Boga za grzechy swych rodziców.

Doktór skłonił głową i powstał. Gdy odchodził, rzekla hrabina:

— Ta pani mówiła, że ojciec dziewczyny o niczém nie wié i prosiła o sekret.

Doktór w milczeniu złożył ukłon.

— Możemy tedy rzecz uważać za załatwioną, nieprawdaż doktorze?—zapytał hrabia, żegnając.

— Postaram się — odpowiedział ze smutnym wbrew woli uśmiechem.

Téj saméj nocy, nie widząc się z Janią, wyjechał młody hrabia kuryerem do Anglii, by naocznie zbadać chów koni i bydła.

XXV.

Hrabina Rugardowa czuła się zmęczoną i wyczerpaną wrażeniami śmierci wuja, pogrzebem i niemiłém wplątaniem się syna w romans z córką oficyalisty. Korzystając z ostatniego sezonu, postanowiła wyjechać z Hertą do Biarritz, wstąpiwszy po drodze do Ostendy, by zabrać Bola, używającego tam przepisasych kąpieli pod opieką nauczyciela. Hrabia po załatwieuiu ważniejszych spraw, miał w kilka dni wyjechać za nią, a jako miejsce spotkania wyznaczono Bruksellę.

Drażliwą sprawę u państwa Dołsunowskich załatwił doktór, jak mu się zdawało, korzystnie dla stron obu. Hrabiego nakłonił do podwyższenia o tysiąc rubli sumy ofiarowanéj Jani, a panią Dołsunowską do wyjazdu i podpisania zrzeczenia się wszelkich pretensyi. Pani Dołsunowska, przekonawszy męża i znajomych o konieczności kształcenia Dziuni w wielkiém mieście i obowiązku rozwijania talentu muzycznego Jani, zabrała obiedwie córki i wyjechała, co sprawiło ulgę wielką doktorowi, obawiającemu się nowych scen i pretensyi.

A jednak nie czuł się szczęśliwym, pomimo że był plenipotentem, pobiérał wysoką pensyę, miał bardzo znaczne dochody, bolała go i drażniła ta bezwzględna zależność nietylko od woli, ale kaprysu hrabiego, dokuczała ta obroża obowiązku, którego sam pożądał i szukał. Cierpiąc na bezsenność, odczytywał sumiennie dzienniki. Właśnie na dobie była sprawa wydawnictw naukowych i bank obywatelski.

W pierwszéj—podnosiły dzienniki wielką zasługę bankiera, któ-

ry znaczną ofiarą pieniężną umożliwił zorganizowanie i rozpoczęcie wydawnictw naukowych, ale dalszy rozwój zależy albo od składek powszechnych, albo od jednorazowéj ofiary jakiego mecenasa nauki.

W drugiéj sprawie wzywano ludzi, posiadających leżące kapitały, do umieszczenia ich w banku obywatelskim, który przy gwarancyi pewnéj posiada i cele społeczne.

Doktór przeczytawszy te artykuły uśmiechnął się; zdawało mu się, że odnalazł źródło swego niezadowolenia ze służby u hrabiów Rugiwojskich. Tak, to była u niego niechęć bezwiedna do egoizmu ciasnego, wobec obowiązków społecznych. Czuł, że jeśli nakłoni hrabiego, a napewno nakłoni, do ofiarowania na powyższe cele znacznych sum, to spełnienie tego obowiązku przeważy ujemne strony jego pozycyi i uspokoi go najzupełniéj.

Zaraz następnego dnia poszedł do hrabiego, którego zastał w gabinecie.

— Co mi powiész nowego, doktorze?

— Same dobre nowiny. Pszenica idzie w górę, nieurodzaj w Ameryce pewny. Buraki fabryczne polaryzują świetnie, berkowiec da około 54 funtów cukru. Komisyonerzy już obecnie zgłaszają się po cukier, bo cena się podnosi. Dochody w tym roku gospodarskim będą znakomite.

— To dobrze, bardzo dobrze — uśmiechnął się zadowolony hrabia. — Może zapalisz cygaro doktorze?.. Piéniądze będą mi potrzebne.

— Tych panu hrabiemu nigdy nie zabraknie — odezwał się doktór tonem pewności.

— Tak... Zapewne, ale widzisz doktorze, potrzebuję dużo, bo myślę kilka tygodni zabawić w Paryżu. Hrabinę z dziećmi zostawię w Biarritz, a sam odetchnę w Paryżu, po tegorocznych, smutnych przejściach.

Doktór westchnął z współczuciem i rzekł:

— Ja podziwiam zdrowie pana hrabiego, zwłaszcza, że pan hrabia tak nie oszczędza swych sił — i patrzał z szacunkiem na hrabiego.

— Ha, cóż robić doktorze? Obowiązki — mówił hrabia przyjemnie się uśmiechając, pochlebiły mu bowiem słowa doktora.—Więc mówisz, że pszenica idzie w górę, bo w Ameryce nieurodzaj? Czytałeś, doktorze, w gazetach?

— Tak jest—odpowiedział, zapalając zgasłe cygaro.

— Jestem teraz tak zajęty, że nawet nie czytuję dzienników. Jest tam co nowego?

— Chwalą bankiera, barona Auera, że dał 50,000 rubli na wy-

dawnictwa naukowe, ale suma ta jako fundusz żelazny jest za skromna, wzywają do składek. Istotnie cel to bardzo doniosły. Naród bez nauki nie jest narodem, a nauka bez wydawnictw jest bardzo utrudniona.

— Tak, tak—potakiwał obojętnie hrabia.

— Takie wydawnictwa bez mecenasa obejść się nie mogą, i dzienniki szukają—przemawiał doktór gorąco.

— Znajdą się, znajdą—mówił hrabia z ironią.—Tacy bankierzy muszą się czémś zasłużyć i czémś kupić szacunek. Stare rody takich sztuczek nie potrzebują, wystarczą aż nadto zasługi przodków.—I ożywiając się, dodał: — Załóż się, doktorze, że jakiś Bauer czy Müller da potrzebną sumę—i wyciągnął rękę.

— Pan hrabia ma może słuszność — powiedział doktór zmieszany.

— Może?! Może?! ha, ha, ha... Przecież to rzecz tak jasna, dzienniki grają na fujarce próżności, no, a próżnych głupców dosyć na świecie.

I hrabia rozparł się wygodnie na fotelu i z uśmiechem dumnéj wyższości patrzał na doktora.

Doktór rumienił się pod tém spojrzeniem, bolało go doznane rozczarowanie, ale postanowił próbować szczęścia z bankiem.

— Istotnie tak bywa często, jak pan hrabia mówi, ale taki np. bank obywatelski nie gra na próżności ludzkiéj.

— Bank obywatelski?!—zawołał rozweselony hrabia—traktowano mnie już tym specyałem. Nie, doktorze, widzę, że młody jesteś... Tam próżność była środkiem złapania pieniędzy, a tu jest celem, dla którego gromadzą pieniądze. Bo przyznaj sam, doktorze, co robi ta nasza szlachta, jak poczuje kilka rubli czy marek? Zaraz do kąpiel z żoneczką i córeczką, a potém Monaco... Żałuję ludzi, których zwiódł szyld tego banku.

— Pan hrabia mnie przekonał—rzekł doktór poważnie.

— Posłuchaj doktorze, dam ci dobrą radę: w życiu na wszystko patrz krytycznie, niech cię nie zwodzą pozory, a będziesz szczęśliwy. Licz się tylko ze sobą i licz na siebie.

— Ale w takim razie, ja będę tylko szczęśliwy—żachnął się doktór, odpowiadając raczéj swym myślom, aniżeli hrabiemu.

— Naród składa się z jednostek — pouczał poważnie hrabia — będą jednostki szczęśliwe, będą i wszyscy.

— Są jednak ludzie, którzy żyją inaczéj—oponował doktór.

— Mówisz o wielkich ludziach? — zaśmiał się hrabia z przykrą

ironią.—To nasze nieszczęście, bo nam nie trzeba wielkich ludzi, ale małych, którzyby wypełniali swe obowiązki.

Umilkli. Doktór posępny, podrażniony w próżności swych wpływów wielkich na hrabiego, patrzył chmurnie na dywan wzorzysty. Trwało to jednak krótko i rozpogodził twarz.

Hrabia spojrzał na zégarek i rzekł wstając:

— No, doktorze, po téj poważnéj rozmowie należy się nam odpoczynek, chodźmy do stajni, skontrolujemy obroki.

Doktór, uśmiéchając się słodko, mówił tonem szczeréj wdzięczności:

— Rozmowa z panem hrabią zawiéra tyle wzniosłéj nauki, że jedyném mojém pragnieniem jest wstępować w ślady pana hrabiego.

Szli ulicą parkową ku stajniom.

Hrabia w dżokejce, w zaniedbaném ubraniu, palonych butach, pochylony, idąc z doktorem przez kwietnik pałacowy, stanął i wskazując doktorowi to wielkie półkole błyszczące mnóstwem pięknych kwiatów, westchnął i rzekł:

— Nie lubię tego zbytku i marnotrawstwa, ale ulegam fantazyi hrabiny... Mniéj kosztuje mnie rządca, aniżeli ten ogród.

Doktór milczał dyplomatycznie. Hrabia idąc daléj, mówił:

— Wyjadę zagranicę z przyjemnością... odpocznę.

— I słusznie—zauważył doktór.

— Wiész doktorze, że od czasu śmierci wuja Jasmunda jestem zasypywany prośbami i projektami, nie mogę odetchnąć. Z moim wyjazdem skończą się i propozycye.

— Do światła ćmy lecą—rzekł doktór z uśmiechem.

— Prawdę powiedziałeś, doktorze. Czasem chciałbym pomódz komu, ale dam jednemu, muszę dać innym, więc nie daję — i nagle zapytał dobrotliwie:—Co wybrałbyś, doktorze, ołtarz czy witraż?

Doktór przystanął i nie rozumiejąc na razie pytania, powtórzył ze zdziwieniem:

— Ołtarz? czy witraż?

Hrabia zadowolony z wrażenia, zaśmiał się:

— Jestem doktorze konserwatystą, wiész o tém, to téż pamiętam o dziesięcinie należnéj kościołowi. Waham się, czy dać ołtarz, czy téż witraż?

— Jeśli do naszego kościoła, to witraż byłby lepszy, bo są już trzy ołtarze.

— Możnaby jeden usunąć, ale... tak, tak, witraż jest lepszy, łagodzi ostre światło dnia. Kupię zagranicą witraż, przypilnuj sam do-

ktorze miary okna i dasz mi ją przed wyjazdem... Jak myślisz? wziąć witraż z Opatrznością czy św. Jerzym?

— Św. Jerzy, rycerz, będzie efektowniejszy — rzekł doktór bez wahania.

Hrabia zamyślił się i po chwili odezwał się poważnie:

— Tak, tak, żyliśmy zawsze jako rycerze... więc niech będzie rycerz.

XXVI.

Hrabia Rugard, zostawiwszy rodzinę w Biarritz, sam jechał do Paryża, nęcony dawnemi wspomnieniami swéj młodości, żądny uciech, rozkoszy, użycia po tylu latach zamknięcia się w Wieszarach, po tém pozowaniu koniecznem na gospodarza rządnego, po tém wyrzeczeniu się odznaczenia, błyszczenia i olśniewania wśród równych mu rodem i majątkiem.

Teraz nie krępowały go już względy pieniężne, opinia wuja Jasmunda, troska o przyszłość dzieci.

Odmłodniał, powesełał i wstrząsany dreszczem rozkosznych oczekiwań, zbliżał się do Paryża.

Stanął w najpierwszym hotelu, zgorszony zaraz na wstępie wysoką ceną apartamentu. Szybko odnowił stosunki towarzyskie z kilku magnatami utytułowanemi z rodzinnego kraju, a przy ich pomocy poznał w klubie tych, których znajomość nie uwłaczała jego nazwisku. Lecz widok tego złota przelewającego się i uciekającego bezpowrotnie, rzucanego na urojone i prawdziwe używanie rozkoszy; wysoka gra, zbytek koni i zaprzęgów, rywalizacya w posiadaniu kochanki ładniejszéj, wykwintnego mieszkania, wytwornéj kuchni i usługi—widok ten nie podniecał jego nerwów, nie budził zamiłowania, nie zaspakajał oczekiwanych wrażeń wesołości, swobody, użycia.

Zbyt długo przywykł do liczenia się z pieniędzmi napływającemi stopniowo, by sam pieniądz nie sprawiał mu przyjemności posiadania i niepokoju cichego przy wydawaniu. Przyzwyczajony do oglądania się za siebie, do patrzenia przed siebie, utracił zdolność używania teraźniejszości dla teraźniejszości.

Po kilku próbach przełamania niesmaku odczuwanego przy życiu, do którego nie mógł się dostroić; przy zabawach, w których nie umiał utonąć; przy podniecaniu, w którém przeważała krytyka, postanowił poszukać zabawy w pamiętnych dlań miejscach wesołości i szału.

— Nudni są—mówił do siebie o towarzystwie wyborowém — ale tam odżyję i użyję.

Zaczął odwiedzać cyrki, teatrzyki, kulisy, bale i baliki, ale kobiéty młode i powabne, patrząc na jego twarz pożółkłą, sfałdowaną, zmęczoną, uśmiechały się zalotnie tylko wtedy, gdy wyciągał sakiewkę. Po każdém bezowocném poszukiwaniu zaspokojenia swych pragnień, znużony, pocieszał się nadzieją, że „jeszcze tam!" dozna może rozkoszy, szału, upojenia.

Na usilne i szczere dopytywania się doktora o życiu i zabawach, wśród mnóstwa poleceń gospodarskich, odpisał:

„......Z nudów poszedłem do „Maison d'or", sławnego z zabaw i piękności kobiét. Patrzałem z zadziwieniem na tę zapamiętałą gonitwę kobiét i mężczyn za użyciem błahych i nędznych rozkoszy. Nieustanne pożądania i zaspakajania przyjemności unoszą się tam w powietrzu, oddycha się niemi aż do mdłości. Było to dla mnie tak przykre, tak wstrętne, że przeszedłszy raz i drugi salony, wyszedłem. Jestem znudzony i zmęczony zagranicą, jednak z pewnych względów muszę czas jakiś zostać i dlatego chciałbym coś chcieć, czegoś pożądać, czémś się zabawić, ale Paryż nie może mi już nic dać..."

Zwolna wśród tego życia zaczęła nim owładać tęsknota do Wieszar, do własnego gabinetu, stajni, przyjmowania raportów gospodarczych, interesowania się sprawami służby i sąsiedztwa...

Odczytywał z przyjemnością listy szczegółowe doktora, czekał na nowe z upragnieniem.

I gdyby był posłuszny swéj szczeréj chęci, byłby rzucił Paryż, Francyę, a jechał do Wieszar — ale listy żony wzywały go do Biarritz.

Sława bogatéj i piękuéj Herty hrabianki Rugiwojskiéj, przebywającéj nad morzem, ściągała liczny zastęp starających się.

Herta była wielbiona, czczona, była królową zabaw, sprężyną wycieczek, celem uprzejmości wyborowego towarzystwa.

Jadąc do Biarritz cieszyła się wrażeniami, których miała doznać na widok oceanu, wspaniałych przypływów i odpływów, pragnęła wycieczki na dalekie morze i tam dopiéro spodziéwała się doznać prawdziwéj rozkoszy szerokich przestrzeni, ożywczych tchnień, blasku barw, muzyki fal.

Wkrótce po swym przyjeździe poszła nad morze i ocean wspaniały nie zawiódł jéj oczekiwań. Ale w miarę dłuższego pobytu ten sam potężny ocean malał w jéj oczach, zanikało upodobanie, zabrakło szczerych zachwytów. Sztuczne podniecanie się do prawdziwéj piękności natury nie działało przy zmienionych warunkach.

Dziś nie było, jak w ostatniéj podróży do Włoch, upokarzających konferencyi matki z ludźmi podejrzanych tytułów, nie było ceremonialnego przedstawiania obojętnych, ciekawych lub niemłodych ludzi o dziwnie brzmiących nazwiskach feudalnych zamków lub miasteczek; teraz dźwięczały nazwiska historyczne, cisnęły się korony książąt, markizów i hrabiów. Gdy jadąc powozem odkrytym, spotykała wytwornego młodzieńca, który nie witał jéj ukłonem, dziwiła się, jak niegdyś, gdy ją spotykał ukłon od człowieka, którego nazwiska nie pamiętała na razie.

W mniéjszym saloniku wspaniałéj willi „Diana", siedziała hrabina Rugardowa z córką. Przez okna otwarte widać było kawałek błękitnego nieba i ciemniejszego morza. Od czasu do czasu przesuwały się żaglowce rybackie, jak mewy białe lub plamę ciemniejszą rzucał dym parowca. Z powiewem wiatru płynęły wonie kwiatów zdobiących willę, świéże zapachy morza, echa gwaru miasta i portu lub ostry gwizd maszyny parowéj.

Herta spoglądała obojętnie na rozsnutą panoramę morza, słuchając listu ojca czytanego głośno przez matkę.

— Ojca nie bawi Paryż? — odezwała się córka po skończeniu listu z lekkiém żdziwieniem w głosie.

— Ojciec twój odwykł od gwaru, ludzi, życia — mówiła matka z uśmiechem ironicznym—tęskni do swoich Wieszar.

— I ja lubię Wieszary po męczącém życiu zagranicą — broniła Herta ojca.

— Chyba teraźniejsze życie ciebie już nie męczy. Tam idziemy, gdzie ty zechcesz... Zauważyłaś wczoraj markiza de Beaufremez?

— Pamiętam. Wyróżnia się trochę—odpowiedziała obojętnie.

— To bardzo dobra rodzina — zaczęła matka, szukając oczyma almanachu. Nie widząc, zwróciła się do córki: — Proszę cię, przynieś z mego pokoju almanach.

Herta wstała i wyszła. Matka, patrząc na jéj piękną, dumną postać, na wytworne przegięcia jéj kibici, na głowę, otoczoną złotemi włosami, jakby koroną—uśmiéchała się zadowolona.

Gdy przyniosła książkę, matka, któréj twarzy nie opuszczał uśmiéch, powiedziała łagodnie:

— Poszukaj, Herto, jego nazwiska.

Herta szybko przerzucała karty i zapytała:

— Przeczytać mamie?

— Przeczytaj, przecież to i ciebie interesuje.

Herta czytała głosem spokojnym, melodyjnym:

„*Arnould I-er de Neufville, écuyer, seigneur de Beaufremez en*

Artois, puîné de la maison de Neufville-Vitasse en Artois, epousa avant 1150 Marie, fille de Guillaume de Boubaix..."

Przeczytawszy dwie stronice dziejów małżeńskich i honorów tego rodu, złożyła książkę.

— Ród dobry—mówiła matka zwolna—a kto go rodzi?

Herta, zaglądając do książki, odpowiedziała:

— Hrabianka de Thiennes.

— Młodsza rodzina, ale także dobra... On starszy od ciebie o lat dwanaście, różnica lat właściwa.

— Nie jest zbyt ładny—rzekła Herta, przypominając sobie rzadkie blond włosy markiza, twarz matową, jednostajną; nikły zarost i oczy zmęczone.

— Ideałów nie ma—zaśmiała się matka—ale ród i nazwisko dobre. Wyszumiał za młodu, będzie stateczniejszy. Być może, że powitam cię jako markizę de Beaufremez.

— Ach, mamo! Jeszcze się nie oświadczył.

— To zależy tylko od nas.

W kilka tych tygodni później doniosły dzienniki o zaręczynach Herty hrabianki Rugiwojskiej z markizem de Beaufremez.

Hrabia Rugard był dumny, gdyż pozostał wierny zasadzie hrabiów Rugiwojskich, wypowiedzianéj niegdyś do doktora:

„Odświéżając krew szlachetną, zachowujemy czystość rasy!"



pełniéj nam wystarczy"; co zaś do prowincyi, to, zdaniem jego, jedno pismo na departament w sam raz odpowiada potrzebom. W epoce téj oczywiście nie możemy obserwować normalnego funkcyonowania dziennikarstwa. O tém, czy kraj odczuwa potrzebę jego, możemy poniekąd sądzić z wydawnictw importowanych, lecz tylko poniekąd. Może za ważniejszą wskazówkę posłużą imiona tych, których głos od czasu do czasu rozlegał się w dziennikarstwie, za każdym razem stanowiło to wypadek doniosłości publicznéj. Do tych należał Chateaubriand, Beniamin Constant. Za czasów Restauracyi prasie powodzi się z rozmaitém szczęściem: na ogół jednak daje się zauważyć jéj stopniowy, choć tamowany wzrost. W r. 1824 pewna statystyka urzędowa wykazuje, że z 12-tu pism, wychodzących w Paryżu, 6 należy do opozycyi i liczy 41,330 prenumeratorów; pozostałe pisma w tym samym czasie liczą 14,340. W r. 1827-ym liczba dzienników politycznych wzrasta już do 19, a jednocześnie wykluwa się coraz wyraźniéj niechęć ministeryum do prasy. W chwili zamachu stanu Polignac'a prasa jest cała po stronie opozycyi: od niéj idzie hasło walki. Członkowie późniejszego rządu, jak: Thiers, Guizot, Remusat, Carrel, Ledru-Rollin, Mignet, Martin — stoją na czele prasy i opozycyi, co w téj epoce znaczy mniéj więcéj to samo. A jest to epoka, w któréj ostatecznie krzepną i przenikają społeczeństwo nałogi parlamentaryzmu: parlamentaryzm, po przejściu paru okresów burzliwych, zakorzenia się w obyczajach publicznych na stałe i odtąd rządy będą odnosiły zwycięstwa tylko pod tém hasłem. Miejsce więc prasy, podobnie jak w owych okresach burzliwych, z konieczności będzie pierwszorzędne. I trzeba przyznać, że kierownicy prasy ówczesnéj rozumieją to i umieją wyzyskać.

„Zawód dziennikarski otwiéra drogę do wszystkiego, pod warunkiem, żeby z niego ustąpić"—powiedział ktoś w owéj epoce. Tymczasem dziennikarze dowiodą niejednokrotnie, że potęga prasy prowadzi istotnie „do wszystkiego" i to właśnie pod warunkiem nie wychodzenia, lecz pozostawania w roli dziennikarza. Nie potrzebuję tu przypominać, jaką rolę przez dzienniki i jako dziennikarze odgrywali Thiers, Guizot lub Lamartine, ale muszę szczegółowiéj przypomnieć znaczenie Emila de Girardin.

Emil de Girardin był właściwym twórcą typu dzisiejszego popularnego dziennika w pełnym rynsztunku jego godziwych i niegodziwych środków. Wpływ pisma, jakkolwiek już ogromny w sferach parlamentarnych, nie rozciągał się jeszcze w chwili, kiedy wystąpił Girardin, na szerokie masy publiczności. Cena pism była dość wysoka: około 80 fr. rocznie przeciętnie; treść pism, układ ich nie był całkiem przystosowany do potrzeb t. zw. szerokiéj publiczności. Tymczasem

owa szeroka publiczność stawała się coraz liczniejszą, coraz potężniejszą i miała wkrótce coraz stalszy wpływ wywierać na sprawy publiczne.

Łatwo się zgodzić, że w tym stanie rzeczy stworzenie pisma popularnego jest pewnego rodzaju epoką w życiu prasy. W pięć lat po nastaniu łaskawych dla dziennikarstwa z konieczności rządów Ludwika-Filipa, a więc w roku 1836, Emil de Girardin zakłada takie właśnie pismo p. t. *La Presse*. Przedewszystkiém *La Presse* kosztuje o połowę taniéj od innych pism, następnie wprowadza na wielką skalę romans fejletonowy.

Emil de Girardin jest również sprawcą tego, że odtąd czwarta strona pisma francuskiego otrzyma charakterystyczną nazwę: *le mur*. Jest to istotnie mur do rozlepiania ogłoszeń i reklam. „Ogłoszenia powinny opłacić całe wydawnictwo" — powiada Girardin. Zasada znana już od dawna w Anglii i Ameryce, we Francyi zaś nowa — zastosowaniu jéj wraz z obniżeniem ceny prenumeraty, na które pozwalała, i dodajmy, wraz z obniżeniem poziomu treści i formy pisma, dokonało cudów. Oto, gdy jak widzieliśmy na kilka lat przed tém, cała prasa opozycyjna miała trochę więcéj nad 40 tysięcy prenumeratorów, w r. 1836 sama *La Presse* liczy ich 40 — 50,000. W tym samym roku, na tych samych „popularnych" zasadach powstały, *Siècle* bije również od 30 do 40,000 egzemplarzy. Widzimy więc, że „reforma" Emila de Girardin jest istotnie początkiem nowéj epoki dla prasy francuskiéj. W r. 1846 liczba egzemplarzy ostemplowanych wynosi na ogół około 80 milionów — liczba zaś prenumeratorów (w samym Paryżu) około 200,000. Znana jest w historyi rola, jaką odegrała prasa wogóle i specyalnie *La Presse* w kwestyi wyborów księcia-prezydenta. Lwia część z 10,000,000 głosów, które padły na niego, zostały skaptowane przez agitacyę Emila de Girardin. *La Presse* zawieszona 25 czerwca 1848 roku, już 2 sierpnia wypowiada wojnę generałowi Cavaignac'owi. W dniu 31 grudnia 1848 r. biła *La Presse* 70,000 egzemplarzy i mimo 47-iodniowego zawieszenia dala 424,271 franków dochodu czystego, nie licząc wpływu, który wywarła na opinię publiczną.

Są to daty i cyfry zwiastujące najnowszy, tegoczesny okres dziennikarstwa francuskiego. Można powiedzieć, że jest to okres formowania się, rekrutowania się téj armii dzienników, która dzisiaj prowadzi opinię kraju. W r. 1860 Paryż liczy już 500 pism, w 1866 przeszło 800. Dzienniki polityczne biją razem 350,000 dziennie. Co zaś do rozkładu opinii tych dzienników, to ciekawą cyfrę podaje nam raport do Napoleona III-go w r. 1867. Dzienniki opozycyjne w roku tym biją 128,000 egzemplarzy, dzienniki rządowe 42,000. Jest to zjawisko po-

dobne do stanu rzeczy w r. 1824. Tym razem wódz opozycyi dziennikarskiej nazywa się Rochefort, ale rola jego kilkuletniéj polemiki, owego „pojedynku z cesarstwem", jest ta sama co rola opozycyonistów 1824—30 r. Obok *La Presse*, która się nie przestaje w tym czasie rozwijać, powstają nowe pisma, o tytułach pamiętnych w dziejach schyłku cesarstwa: *Lanterne*, *Nain Jaune*, *Rappel*, *Marseillaise* i wreszcie—*Eclipse* i *Faubourgs*. Znowu naczelnikami tych bateryi są przyszli członkowie rządu: Hugo, Rochefort, Louis Blanc, Lockroy. Świetna plejada polemistów jest awangardą wypadków 1870 — 71 r. W przededniu tych wypadków t. j. w r. 1869 Francya liczy ogółem 2,000 pism, z których na Paryż przypada 900.

Ażeby zrozumieć, jaki wpływ te tysiące pism, pomnożone przez setki tysięcy egzemplarzy, musiały wywierać na opinię, dość byłoby przytoczyć spis nazwisk ich współpracowników. Nie podobna mi zrobić tego, gdyż spis byłby zbyt długi; zresztą nie ma słynniejszego nazwiska z téj epoki, któreby pod pseudonimem czy jawnie nie ukazywało się na szpaltach ówczesnéj prasy. Ci, których można nazwać dziennikarzami zawodowymi, stawali się późniéj zawodowymi politykami niektórzy, jak Aurelien Scholl, Weiss, Vacquerie choć nie towarzyszyli przemianom Gambetty lub Rochefort'a na arenie politycznéj, odgrywali rolę nie mniejszą może w kształceniu opinii ogółu. — W tej to epoce (1854) powstaje istny typ dziennika paryskiego, *l'enfent terrible* czasów napoleonowskich—*Figaro*. Z razu tygodnik, wpiérany przez wydawcę Villemessant'a za pół darmo restauratorom i kawiarniom, wkrótce staje się *Figaro* tak potrzebny publiczności paryskiéj, jak dowcipny i złośliwy błazen na dworze królewskim. Pełni téż dość podobną rolę, nie pozbawioną doniosłości błaznów historycznych.

W r. 1861 powstaje pod redakcyą Nefftzer'a poważny *Temps* — pismo będące niejaką antytezą *Figara*, ale mające mimo swéj ciężkiéj powierzchowności, żywotne poczucie interesów czasu i wpływ ogromny. Powstaje wreszcie pismo odźwiernych i sklepikarzy całéj Francyi *Le Petit Journal*. Pismo to jest nowym krokiem na drodze wskazanéj przez Emila de Girardin. Jest to piérwszy susowy dziennik francuski — piérwszy téż dosięgnie cyfry miliona prenumeratorów. Za *Petit Journal*'em powstaje cały szereg pism susowych, a każde rozwija się z powodzeniem i zyskuje sobie specyalną klientelę. — Nie potrzebuję chyba dodawać, że obniżając cenę, prasa paryska popularna musiała również obniżać stopniowo poziom swój i przekształcić się tak, ażeby schlebiając i opanowując zarazem gusta szerokich tłumów, umieć je jednocześnie wyzyskać materyalnie i moralnie.

Jak widzimy, prasa z przed roku 1870 jest już niemal całkowicie prasą znaną nam z chwili obecnéj. Możemy więc w tém miejscu urwać ten szybki przegląd główniejszych dat jéj rozwoju. Co zaś do jéj charakteru i organizacyi, poznajmy je lepiéj na prasie współczesnéj.

II.

Jeżeli okres czasu między 1848 a 1870 słusznie można uważać za okres formowania się francuskiéj prasy współczesnéj, to okres od r. 1870 do dni naszych z równą słusznością można nazwać okresem jéj stałego, niczém nieprzerwanego rozwoju. Nigdy przed tym okresem prasa francuska nie zaznała tak długiego ciągu lat prawodawstwa przychylnego dla siebie. W r. 1789, w 1830, w 1848, na schyłku wreszcie 1869 zdarzały się chwile wyjątkowo sprzyjających jéj potędze okoliczności — ale od r. 1870 okoliczności, przedtém wyjątkowe, stają się właśnie trybem powszednim, stałym. Jeden zwłaszcza warunek staje się punktem oparcia rozwoju dziennikarstwa w tym okresie— a mianowicie głosowanie powszechne w połączeniu z samorządem lokalnym. Te dwa potężne czynniki, działając ustawicznie, sprawiają, że prasa—skutkiem własnego starcia opinii i partyjnych agitacyi—musi rozwijać się wraz z rozwojem świadomości społeczeństwa. Z drugiéj strony długotrwały pokój, potęgujący rozwój handlu, przemysłu, nauki—słowem kultury ekonomicznéj i moralnéj—działa nie mniéj głęboko i nieustannie. Sądzę, że dwa te czynniki, wzięte razem, wystarczają zupełnie dla wykazania, dla czego Francya pod względem rozwoju dziennikarstwa zajmuje dziś pierwsze na kontynencie miejsce. Należy wreszcie pamiętać, że w całym tym okresie Paryż nie przestawał być ogniskiem wszelkich ruchów, wszelkich odrodzeń kraju, że tradycya téj centralizacyi w kulturze francuskiéj jest bardzo zadawniona, że wreszcie stanowisko Paryża jest wyjątkowe nie tylko wobec saméj Francyi, lecz wobec całéj Europy współczesnéj. Ta rola Paryża odbija się z konieczności na stosunku prasy prowincyonalnéj do stołecznéj.

Około r. 1891 t. j. w 260-ym roku swego istnienia, dziennikarstwo francuskie jest (liczebnie przynajmniéj) pierwszém w Europie i liczy 5,178 pism peryodycznych. W roku bieżącym najświeższe obliczenia Avenel'a wzkazują, że Francya liczy 5,857 pism. Jest to trzy razy niemal większa liczba, niż w przededniu trzeciéj respubliki—przy niezmiennéj cyfrze ludności. W liczbie téj mieszczą się przedewszystkiém dzienniki polityczne, oddane celom partyjnym. Wyjątkowe stanowisko duchowieństwa we Francyi sprawia, że dzienniki kościelne są

tu ajenturami pewnych wpływów partyjnych, należy więc je zaliczyć do kategoryi dzienników politycznych. Kategorya ta zawiéra około 2,000 pism, nie licząc efemeryd przedwyborczych, które secinami zjawiają się na powierzchni życia publicznego w czasie agitacyi przedwyborczéj i natychmiast potém upadają. Do tych 2,000 tysięcy pism dodać by jeszcze należało kilkaset literackich i naukowych, nie obcych jednakże polityce. W każdym razie można przyjąć bez przesady, że życie polityczne Francyi utrzymuje najmniéj 40% jéj dziennikarstwa.

Reszta prasy służy przemysłowi, handlowi, rolnictwu, oświacie, literaturze, sztuce, sportom i t. d. Rolnictwo liczy około 400 pism, tyleż mniéj więcéj przemysł i handel, zawody wyzwolone od 200 do 300, literatura około 200—są to główne pozycye. Szczegółowe porównanie tych pozycyi jest zbyt zmudne i zawodne, ażebyśmy nużyli niemi czytelnika. Pouczającą jest natomiast statystyka porównawcza prasy Paryża i prowincyi. Od 1869 do ostatnich czasów rozwój prasy paryskiéj szedł zawsze przed prowincyą: wychodziło pism:

	r. 1869	1885	1891
W Paryżu	900	1540	1998
Na prowincyi	1100	2810	3180

Dopiéro w roku bieżącym stosunek ten uległ stanowczéj zmianie: oto, kiedy liczba pism w Paryżu zmniejszyła się w porównaniu do roku 1895 o 110 pism, na prowincyi wzrosła o 180. Na zjawisko to wpłynąć musiał przedewszystkiém rozwój idei decentralistycznych: życie departamentów, a raczéj życie dawnych prowincyi, przebywa obecnie okres odrodzenia. W Normandyi, w Bretanii, na południu Francyi potężnieje ruch kulturalny, tworzą się nowe ogniska kultury miejscowéj w Marsylii, Tulonie, Lille, Bordeaux. Miasta te, po przebyciu krytycznych cyfr stutysięcznéj ludności, stają się skupieniami półmilionowemi, w interesie których leży wytworzenie własnéj prasy. Jest to znowu przedewszystkiém interes polityczny i ekonomiczny—chodzi o podtrzymanie lokalnych interesów wobec hegemonii paryskiéj. Ale obok rozwijają się i tendencye literackie, powstają, a raczéj ustalają się, szkoły w rodzaju poetyckiéj szkoły Mistral'a na południu; zjawia się typ „bretonizującego się bretończyka" i inne pokrewne mu typy w innych prowincyach. Prasa jest pierwszém oparciem i głównym orężem propagandy kierunków tego rodzaju. Wszystko to jeszcze nie tłumaczyło by nam pewnéj nagłości, którą się proces rozwoju prasy na prowincyi cechuje. Jak widzieliśmy bowiem, przewaga prowincyi nad Paryżem wyraziła się z roku na rok, wprost niespodziewanie. Tu znowu trzeba się uciec do czynników politycznych. Naj-

wyższy przyrost w r. 1896 okazuje kategorya pism religijnych: one jedne zwiększyły się na prowincyi o 60! — Jest to cyfra bardzo znaczna, bez niéj prowincya nie tryumfowałaby w tak stanowczy sposób nad Paryżem. Otóż rok 1896 pamiętny zapewne będzie w dziejach duchowieństwa francuskiego, nadzwyczajną energią i wszechstronnością kampanii, którą prowadzi z rządem respubliki. Agitacya kleru (i monarchistów) na prowincyi wyraziła się w bieżącym roku politycznym zbyt stanowczo, ażebym potrzebował o tém szczegółowo przypominać.

Słówko jeszcze o prasie prowincyonalnéj. Zwycięstwo statystyczne prowincyi może jest nieco przyśpieszone przez agitacyę klerykalną—faktem jednakże pozostaje wszechstronny, a więc i dziennikarski rozwój Francyi prowincyonalnéj: wcześniéj czy późniéj fakt ten nastąpić musiał. W obecnéj chwili już cały szereg departamentów może się pochwalić prasą wcale pokaźną i to nie tylko polityczną lecz naukową i fachową również. W r. 1895 wychodziło w Bouches du Rhône 138 pism, w Gironde 125, w Nord 143, w Rhône 139 i t. d. Niektóre pisma prowincyonalne co do ilości prenumeratorów znacznie przewyższają *Figaro* paryskie. Tak *Le Petit Marseillais* rozchodzi się w 150,000 egzemplarzy; *Dépéche de Toulouse* w 160,000, tyleż bije *La Petite Gironde* w Bordeaux, która ma 7 odrębnych wydań dziennie, własny lokal (w po-arcybiskupim pałacu) i własną linię telefonu i telegrafu z Paryżem; w Lugdunie dwa pisma republikańskie *L'Express du Lyon* i *Lyon republicain* biją do 200,000 egz.; w Lille dziennik *L'Echo du Nord* bije 80,000... Rozwija się również prasa kolonialna—Algier np. liczył w roku zeszłym 127 pism. Cyfry te, w porównaniu z cyframi Paryża, zawsze jeszcze są drobne i nigdy drobnemi być nie przestaną wobec nagromadzonych bogactw kultury, z których długo jeszcze żyć będzie stolica. Ale ruch na prowincyi szerzy się z dnia na dzień i świadczy o samoistném życiu tych do niedawna uśpionych rywalek stolicy. Jest to nowy czynnik rozrostu i potęgi prasy.

Jeżeli pozwoliłem sobie tak długo rozszerzać się nad statystyką prasy francuskiéj, to najprzód dla tego, że cyfry te uważam za bardzo pouczające, powtóre zaś, że istotnie najznaczniejszą cechą prasy współczesnéj w porównaniu z dawną, jest jéj postęp ilościowy. Narzędzie spotężniało, baterya zwiększyła się o tysiące jednostek, ale sposób jéj działania pozostał w gruncie ten sam. Zasady dziennikarstwa, przeczute ongi przez Renaudot'a i ułożone w katechizm dziennikarski przez Girardin'a, nie zmieniły się w niczém. Świadkiem *Figaro*—arcy-dziennik paryski—jednaki dziś i przed laty trzydziestu, świadkiem *Temps* poważny, oportunistyczne *Debats*, w których najgłówniejszą zmianą jest zmiana formatu. Nowe pisma — takie, jak *Le Matin*,

L'Eclaire, *Le Journal*, *La Libre Parole* i t. d. są tylko znowu ilościowym rozwojem zasad dawniéj wypróbowanych. Girardin wypowiedział był zdanie prorocze, że dziennik musi być tanim, ażeby zdobyć prenumeratorów, prenumeratorów zaś musi zdobyć, chcąc mieć ogłoszenia. Pogląd ten jest zasadniczém prawem dziennikarstwa nowożytnego. Prasa angielska, niemiecka, amerykańska są dodatnią, prasa zaś francuska w znacznym stopniu ujemną manifestacyą tego prawa. W tém miejscu zastrzedz się muszę, że mam na względzie więcéj paryską niż prowincyonalną prasę i że wogóle mówię głównie o właściwém dziennikarstwie, a nie o peryodycznych wydawnictwach wogóle. Otóż podstawą materyalną dziennikarstwa nie jest prenumerata, lecz ogłoszenie. Prenumerata daje rozgłos i zwiększa liczbę egzemplarzy, ale, jakkolwiek może się to wydawać paradoksalném, nie daje funduszu wystarczającego na utrzymanie dziennika. Jest ona tylko warunkiem do zdobycia ogłoszeń, które dopiéro stanowią zysk właściwy. Obliczenia wszystkich poważnych wydawnictw dziennikarskich zgadzają się pod tym względem. Koszta np. numeru *Figaro* przewyższają zawsze cenę, za którą nakład tego numeru jest sprzedawany i to w stosunku 10—20% stałego deficytu. Jeszcze gorzéj dzieje się z kosztami takich olbrzymów dziennikarstwa jak *New York Herald*, lub *Daily News*, lub *Pall Mall Gazette*. A jednak i *Figaro*, i *New-York Herald* w Ameryce i *Neue Freie Presse* w Wiedniu nie tylko nie dają deficytów lecz ogromne zyski. *Figaro* np., którego 2,400 akcyi wypuszczonych w 1866 po nominalnéj cenie 500 fr. dziś warte są około 50 milionów franków, jest jak widzimy przedsiębiorstwem wielce zyskownèm. W r. 1882 dywidenda jednoroczna akcyonaryuszów *Figara* przewyższyła kapitał nominalny. Dochody te dają ogłoszenia. W Ameryce *Herald*, *World*, *Tribune* i wogóle prasa jednego tylko miasta New-Yorku ma rocznie z ogłoszeń około 60 milionów franków. *Herald* obliczył pewnéj niedzieli liczbę ogłoszeń, które podały dnia tego dzienniki: *Times* miał 22 kolumny czyli 505 ogłoszeń; *World* 18½ kolumn t. j. 525 ogłoszeń; sam zaś *Herald* miał 105 kolumn, liczących po 300 wierszy każda, razem 4437 ogłoszeń!... Pisma angielskie i niemieckie mają również po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt kart ogłoszeń w numerze. Ogłoszenia te pozwalają im np. wysyłać swoich podróżników dla badania głębin Afryki, lub utrzymywać własne telegrafy podwodne, lub wreszcie płacić za jedną wiadomość sensacyjną z teatru wojny 35,000 franków—i t. p. Pozwalają słowem konkurować z innemi pismami przez opłacanie swéj treści i przez obniżenie ceny numeru do kilku centów, za które czytelnik dostaje saméj bibuły, nie licząc tekstu, więcéj niż zapłacił. Taka jest konkurencya zasady, którą wygłosił pierw-

szy w prasie francuskiéj Girardin, którą jednak zastosowała prasa angielska, niemiecka i amerykańska. Prasa francuska przedstawia prawdziwy kontrast w porównaniu z niemi. Kilkanaście pism (*Figaro* w ich liczbie) korzysta rzeczywiście z ogłoszeń, jakkolwiek nigdy nie dosięgając cyfr nawet niemieckich. Reszta prasy z trudnością zdobywa garść ogłoszeń, która pozwala jéj łatać deficyty, nie dając zysków. Znaczna wreszcie ilość pism nie zna się wcale z ogłoszeniami, zastępując je niemal wyłącznie reklamą lub innemi środkami.

Gdybyśmy spróbowali naszkicować zarys budżetu dziennikarstwa francuskiego, tobyśmy obok pozycyi „ogłoszenie" zapisali utrzymanie i zysk dla nieznacznéj tylko liczby dzienników francuskich. Innemi słowy—budżet ten jest pozbawiony swéj podstawy, przynajmniéj tego, co jest podstawą jego w prasie całego świata. Jest to okoliczność niezmiernie ważna i głęboko odbijająca się na obyczajach dziennikarskich Paryża.

Czém że bowiem prasa paryska (prowincyonalna ma stosunkowo więcéj ogłoszeń) zastępuje tę pozycyę? Na to trudno odpowiedziéć w kilku słowach. Przedewszystkiém typ dziennika - przedsiębiorstwa, dziennika, który jest jak małe państwo samodzielny, niezależny, słowem dziennika na wzór angielski lub amerykański, typ taki we Francyi jest rzadkością. Natomiast ogromna ilość najpoważniejszych dzienników żyje z subsydyów. W wielu wypadkach subsydya te są całkiem godziwe: towarzystwo jakie, partya polityczna, kler utrzymuje swój organ. Niekiedy jednak źródła dochodów są już trochę wątpliwéj natury: zdarzają się zapomogi i subsydya, które raczéj przypominają mniéj lub więcéj systematyczne przekupstwo... W ten sposób znaczna ilość pism stoi w zależności od interesów natury nie - dziennikarskiéj, że tak powiem, które mogą paczyć i paczą kierunek pisma.

Daléj—w braku ogłoszeń—wciska się w tekst pisma zamaskowana reklama. Całe rubryki, wyglądające naukowo lub literacko, są niczém inném jak płatną reklamą. Tak się np. dzieje z rubryką wiadomości światowych w niektórych pismach. Pisma paryskie suto biorą za niewinny opis w tekście owych utytułowanych ślubów lub bankierskich jubileuszów, które nasze pisma przedrukowują z rozrzewniającą naiwnością dla saméj przyjemności wymieniania uhrabionych nazwisk...

Częste stosunkowo procesy o nadużycia finansowe w prasie paryskiéj odsłaniają nam jeszcze jedno źródło jéj dochodów. W roku ubiegłym redaktor *Evenement*, Magnard, miał proces za łapówki brane od akcyonaryuszów kolei południowych, za agitowanie w interesie towarzystwa. Współpracownik jednego ze znanych bardzo pism brał

udział w szantażach przeciwko Maksowi Lebaudy! Pelletan, redaktor *Le XIX siècle* uciekł zagranicę, wobec procesu o szantaż również... Wypadków takich w ciągu roku (nawet bez Panamy) bywa sporo—byłoby więcéj, gdyby dziennikarze paryscy byli mniéj sprytni. Tu również należy wymienić słynną operacyę z opcyami. Oto jakieś towarzystwo wypuszcza akcye np. na kopalnie złota. Kopalnie są mało co lepiéj niż fikcyjne—akcye nie idą, Wówczas towarzystwo zwraca się do popularnego pisma i ofiaruje mu za 50 lub 100 tysięcy tych akcyi (opcyi) bez wartości. Pismo robi wielką reklamę interesowi, kiedy zaś opcye dojdą pewnéj wartości, pismo je sprzedaje i nazajutrz już nic nie chce wiedzieć o interesie, który w przededniu jeszcze reklamowało na trzech szpaltach... Słynną jest również taktyka pism, posiadających t. z. *dossiers*. *Dossier*, czyli teka, jest to zbiór dokumentów, tyczących się prywatnego i publicznego życia danéj osobistości. Przy sposobności pismo zaczyna dokumenty te publikować. Osobistość poszkodowana rzadko wdaje się w polemikę, lecz częściéj taki *dossier* dla miłego spokoju wykupuje. Użytek *dossier* znany był również Girardin'owi. „Zwróciłem się — pisze w swych pamiętnikach Merson — do pana Girardin, który w bibliotece swéj posiadał zbiory dokumentów (*dossiers*), tyczące wszystkich osobistości, z którymi wchodził w stosunki..." i daléj: „Był to arsenał cenny i często straszliwy. Dokumenty mego „Jacka" znalazły się w tym arsenale: zawierały one dowód na piśmie, że mój przeciwnik praktykował w swoim czasie szantaż za pieniądze!.."

Właśnie to samo praktykują niekiedy wydawcy pism paryskich...

Nie będę więcéj doszukiwał się pozycyi budżetu prasy francuskiéj: budżet ten nie jest w porządku—nie jest w zgodzie z kardynalną zasadą samodzielnego, nieskrępowanego materyalnie i moralnie istnienia [1]. Rzecz ciekawa, że ogłoszenie wogóle nie przyjmuje się w obyczajach francuskich, a jak niektórzy twierdzą w obyczajach łacińskich wogóle. W Szwajcaryi np. prasa niemiecka ma ogłoszenia, prasa francuska i włoska—nie ma. We Francyi rozwinęło się bez liku towarzystw zajmujących się interesem ogłoszeniowym na własną rękę, bez pośrednictwa prasy, za pomocą plakatów, kart rozdawanych i rozsyła-

---

[1] Około r. 1840 pismo humorystyczne „Diogènes sans culotte" układa taki oto bilans pism współczesnych pod rubrykami polityka i sumienie: „Le Père Duchesne"—Politique: 65 fr. de capital—Conscience: 2,500 d'interet. „La Gazette de France"—Politique: blanche—Conscience—noire. „Le Siècle"—Politique: un portefeuil—Conscience: gauche. „Le National"—politique: machoir—Conscience: l'estomac. „Les Debats"—Politique: les fonds secrets—Conscience: le secret des fonds.

nych i t. p. Towarzystwa te szkodzą dziennikarstwu w wysokim stopniu. Być może, iż sama publiczność francuska zrozumie z biegiem czasu, że tylko ogłoszenie przez pisma jest pożyteczne dla kraju, służąc bowiem w równéj mierze, co każde inne ogłoszenie, celom handlowym, daje jednocześnie byt, środki, niezależność tak ważnéj kategoryi ludzi, jak dziennikarze.

Poznaliśmy więc ilościową potęgę prasy francuskiéj i słabą stronę jéj budżetu materyalnego. Jakie to może mieć znaczenie na budżet dorobków moralnych—nie potrzebuję objaśniać. Wchodzi tu jednak w grę nowy czynnik — mianowicie charakter, rodzaj pracy samych dziennikarzy, jako szerokiéj kategoryi pracowników publicznych. Poznajmy tę kategoryę, zanim wydamy sąd. Zgóry wreszcie zastrzegam się, że nie będzie mi chodziło o badania nad moralnością osobistą dziennikarzy francuskich. Sama niepewność budżetu finansowego prasy bynajmniéj nie jest dowodem, że świat dziennikarski ma być na ogół przekupny i zdemoralizowany: może bowiem dowodzić np. tego, że jest ruchliwszy i pomysłowszy od innych, lub że ma z konieczności niższą stopę życiową, albo że wreszcie dziennikarz często łączy dwie lub kilka czynności dla skompletowania zarobku. Zgoła wyjść i rozwiązań będzie tyle, ile różnych czynników wchodzi w grę, skoro mowa o moralności postępowania osobistego. Z drugiéj strony świat dziennikarski Ameryki, mimo potęgi budżetu prasy, bynajmniéj nie odznacza się potęgą moralną, gdy tymczasem prasa angielska ma wszechświatową i zdaje się, zasłużoną opinię uczciwości. Prasa niemiecka wreszcie, opierająca się na ogłoszeniach, ma jednak czarną księgę swoją w postaci funduszów gadzinowych. Bankier Bleichroeder, zapytany, dlaczego nie zakłada swego dziennika dla popierania swoich interesów, odpowiedział: „Ponieważ mogę mieć wszystkie, kiedy mi potrzeba...” Stan moralny dziennikarstwa zależy od tradycyi społeczeństwa i od charakteru klas, które reprezentuje — nie jest sam w sobie ni gorszy, ni lepszy od ogółu klas ucywilizowanych. Co do dziennikarstwa francuskiego zaznaczyć jeszcze wypada w kwestyi téj, że ma zupełną świadomość swych wad. To też wzmaga się ruch korporacyjny, dążący do wykluczenia „owiec parszywych”, a ideał prasy francuskiéj ma dużo wspólnego z angielskim: na każdym kroku, przy każdéj sposobności prasa francuska porównywa się, mierzy się z prasą angielską —nie pozostaje to bez dodatniego na nią wpływu... Na zjeździe dziennikarzy w Bordeaux, jeden z przedstawicieli prasy francuskiéj senator Hebrard wypowiedział następujące słowa, które warto zapamiętać: „Jacykolwiek jesteśmy, my-dziennikarze, każdy wzięty z osobna — razem stanowimy korporacyę, która niejednokrotnie w dziejach złożyła

dowody swéj siły moralnéj... W dziennikarstwie więcéj niż gdziekolwiek bądź znaczy duch ogółu—duch dziennikarzy francuskich nie jest prostą sumą usposobień pojedyńczych dziennikarzy — jest czémś lepszém, potężniejszém, wyższém" [1]).

III.

Podstawę pracy dziennikarskiéj stanowi informacya i agitacya: około tych dwu głównych czynności grupują się główne grupy pracowników prasy, począwszy od jéj *leader*'ów politycznych, naukowych lub literackich, skończywszy na t. z. naganiaczach, najniższéj kategoryi reporterów.

Pomiędzy jednym a drugim krańcem jest cała galerya typów pośrednich—jeżeli jednak mowa o dziennikarzu właściwym, czy jest fejletonistą, autorem artykułów wstępnych, sprawozdawcą, interwiewistą, zawsze musi być mniéj lub więcéj reporterem i mniéj lub więcéj agitatorem. Dziennikarstwo francuskie należy niewątpliwie do najbardziéj wyrobionych i przystosowanych do zadań, które spełnia. Nie ma ani jednéj formy literackiéj i artystycznéj, ani jednéj dziedziny życia, któréj by dziennikarstwo francuskie nie przystosowało w prasie do norm swoich, z któréj by nie wytworzyło pewnego r o d z a j u, pewnego procederu fachowego.

Potrzeba informacyi szybkiéj i dokładnéj jest niewątpliwie wspólną wszystkim wysoko rozwiniętym społeczeństwom. Pod tym względem konkurencya jest wszechświatowa i typ reportera, korespondenta, interwiewera jest również wszechświatowym typem. W każdym jednak kraju pewne właściwości życia i charakteru społeczeństwa określają rodzaj i formę informacyi najbardziéj w piśmie cenionych i wyrabiają pewną specyficzną, danemu krajowi właściwą, odmianę reporterów. Kler anglikański w r. 1888 wmurował pamiątkową tablicę w kościele św. Pawła (Westminster żołnierski) na cześć reporterów zmarłych podczas wyprawy Sudańskiéj. Jest to niezmiernie charakterystyczne dla prasy angielskiéj, która zrobiła sobie niejako specyalność z reporterki

---

[1]) Dotychczas, niestety, mimo rozwijającego się ruchu korporacyjnego, dziennikarze nie zdołali uregulować swéj pozycyi materyalnéj, od czego w wysokim stopniu zależało by i podniesienie się poziomu moralnego. Tak w stowarzyszeniu „Association des journalistes republicains“ na 372 członków — 134 jest bez zajęcia. To samo widzimy w stowarzyszeniu „Journalistes parisiens, gdzie na 296 stowarzyszonych—90 nie ma pracy,

wojennéj i podróżniczéj, oraz dyplomatycznéj. Reporter *Times'a* londyńskiego w 1848 r. konno i łodzią dotarł do Londynu dla dania wiadomości o rewolucyi. Archibald Forbes, korespondent *Daily News* z teatru wojny turecko-rosyjskiéj, zawiadomił Cesarza rosyjskiego o zwycięstwie pod Plewną pierwéj, niż kuryer sztabu. Crawford z pod Sedanu dotarł konno do Belgii, skąd umyślnym pociągiem, a następnie parowcem, wyprzedził wszystkich innych korespondentów o kilka godzin czasu. Te kilka godzin dały *Daily News* kilkanaście tysięcy funtów szterlingów. Treść dokładna traktatu berlińskiego została ogłoszona w *Timesie* londyńskim w chwili, kiedy traktat był w Berlinie podpisany przez ambasadorów. — Można by było przytoczyć tysiące faktów tego rodzaju o reporterce angielskiéj. Reporterka amerykańska nie ustępuje jéj. *New York Herald* wysyła np. swego reportera Stanleya do głębin Afryki za Liwingstonem. Ale Stany Zjednoczone nadają znów rys specyalny swojéj reporterce—mianowicie skłonność do humbugu, wyszukiwanie informacyi nie tyle ważnych, ile nadzwyczajnych. Reporterka amerykańska jest nie tylko pewnego rodzaju bohaterstwem, jak angielska, lecz zaczyna już wkraczać w sferę kuglarstwa. Jeżeli np. dziennik angielski zapłaci setki tysięcy za wiadomości z teatru wojny, to reporter amerykański gotów jest sam zrobić wojnę, wyprawę pod biegun lub trzęsienie ziemi. — Reporterka francuska nie przybiera nigdy tych heroicznych rozmiarów, jakkolwiek pod względem szybkości i wszechstronności informacyi krajowych nie wiele pozostawia do życzenia: gorzéj jest z informacyą międzynarodową, któréj Francuzi dotąd nie potrafili opanować... Za to w dziedzinie życia publicznego, sztuki, nauki, polityki francuskiéj — reporterka francuska jest bez zarzutu—jest, można powiedziéć, wprost wzorową. Pomijam kwestyę niesłychanéj łatwości z jaką reporter paryski robi wdzięczne c o ś z niewdzięcznego n i c: jestto wogóle przymiot plemienny. Ale co rzeczywiście uderza w reporterce francuskiéj, to pewna zdolność koordynacyjna, pewna, że tak powiem, jéj metodyczność. Słynne są np. roboty reporterskie Huret'a. Jest to specyalny typ reportera literackiego: jego książka o najnowszych prądach literackich we Francyi to swojego rodzaju arcydzieło. Inny reporter prowadzi poszukiwania w świecie anarchistów i wydaje znowu tom klasyczny w sztuce rozumnéj i ciekawéj koordynacyi wiadomości. W ten sposób reporterzy francuscy są niejako literatami i uczonymi swego fachu: o ile można coś zrobić ze zbioru luźnych wiadomości, o tyle reporter paryski za pomocą rozumnego planu, poprawnego języka, zajmującéj formy dopnie swego. Reporterka francuska wyspecyalizowała się tak, że mamy tu typ reportera literackiego, który już nigdy nie wchodzi w drogę reporterowi malar-

skiemu, mamy reportera muzycznego i reportera politycznego od t. z. pogłosek, mamy interwiewistę głów ukoronowanych i reportera od ambasadorów. Jeden np. z takich reporterów założył w swoim czasie pismo dziś najpopularniejsze z literackich gazet Francyi — *Le Journal*. Reporterka w Paryżu zwłaszcza uprawiana jest przez ludzi znacznych zdolności, którzy ze sprytem łączą często niemałą kulturę. Stąd ogólny jéj poziom literacki jest bardzo wysoki, a pod względem poprawności mowy reporterzy francuscy mogli by być mistrzami stylu literatów... innych społeczeństw. Być bardzo może, iż zależy to nie tylko od troski o formę, powszechnéj w całéj Francyi, ale również i od imienności rubryk nawet reporterskich w prasie francuskiéj. Reporter dba o swoją „markę" i wyrabia ją, — często się téż dorabia. Nazwiska: Woestyn, Montegut, Juliusz Huret, Calmette, Docqois, Xan, Le Roy, Henry, Chincholle, Formentin, Conte, Champion, Ginisty, Le Roux, Zeracco, Bois-Glavy, Rolle—znane są i w oczach publiczności francuskiéj posiadają odrębną fizyognomię i wartość—są to nazwiska reporterów; niektórzy z nich zresztą przeszli do innych dziedzin pracy dziennikarskiéj lub literackiéj. Reporterka wyrobiona, inteligentna i można powiedziéć, wytworna, obsługuje całą prasę francuską. W prasie paryskiéj, jak w *Figaro*, *Gil Blas*, *Gaulois*, *Temps*, *Journal des Debats*, można znaléźć co dzień jéj próbki najpoprawniejsze. Istnieją wreszcie pisma, których jedyném niemal zadaniem jest wszechstronna i ciekawa reporterka, jak np. *Matin* i *L'Eclaire*. *Matin*, założony w 1884 r. (na wzór angielski) nie ma programu politycznego: co dzień zabiera w nim głos jeden z *leaderów* jakiegoś stronnictwa. Czytelnik w ten sposób z jednego pisma ma obraz starcia głównych opinii. *Matin* wprowadził pierwszy rubrykę głosów prasy: każdy numer pisma zawiera przegląd najważniejszych artykułów i wiadomości w całéj prasie. Zwyczaj ten przyjął się obecnie we wszystkich pismach francuskich. *L'Eclair* podaje również artykuły wstępne różnych autorów (odcienia radykalnego)—pisuje w nim Tołstoj. Ale główną wartość pisma stanowią rubryki informacyjne, starające się o wyczerpujące oświetlenie wszystkich kwestyi dnia. Daje się zauważyć również w prasie francuskiéj pewna dążność do gruntowniejszego i wszechstronniejszego uwzględniania stosunków europejskich. Prasa paryska mogła by istotnie zajmować znacznie poważniejsze stanowisko międzynarodowe, gdyby pod tym względem przejęła się zasadami prasy angielskiéj. Niestety jednak dotąd zrobiono w tym kierunku mało; dla paryżanina świat zawsze jeszcze ma trzy części: Paryż—najgłówniejsza, Francya—druga i... reszta kuli ziemskiéj—trzecia i dodatkowa część świata.

Tak się przedstawia w prasie francuskiéj sprawa informacyi.

Temperament narodu—połączenie werwy i zmysłu krytycznego—ujawnił się w innéj dziedzinie dziennikarstwa, we wszystkiém, co trąci polemiką, propagandą, starciem celów i poglądów. Tutaj, wprost za mało wyrazów znajdę dla oddania rozmaitości odcieni i rodzajów typów polemisty dziennikarskiego, autora wstępnych artykułów, fejletonisty, humorysty. Werwa i krytyka nie jest to zaprawa tylko ich pracy—jest to raczéj istota jéj, rdzeń zalet i wad. Długi szereg przodków literackich mógłby wykazać publicysta francuski — przodków, poprzedzających epokę dziennikarstwa. Zmysł krytyczny, werwę, zacięcie polemiczne, poczucie aktualności, formę swych artykułów — wszystko to publicysta francuski dzisiejszy znalazł u Saint-Simon'a i u Rabelais'go, u Pascal'a i u Calvina, u Froissart'a i u kardynała Retza, La Rochefoucaud, pani de Sevigné i nieprzeliczonéj rzeszy tylu świetnych poligrafów, na których się kształcił od Erazma do Renana. Bayle, Voltaire, Diderot, Mirabeau, Barnave, Thiers, Guizot, Beniamin Constant, Remusat, Lamartine, Chateaubriand, Wiktor Hugo, Juliusz Simon, de Broglie, Raspail, Louis Blanc, Girardin, Fiorentino, Sainte-Beuve, Vacquerie, Dumas, Veuillot, Prevost-Paradol, Vallès, Gambetta, Say, de Vogüe, Renan, Taine — oto imiona ludzi, którzy brali czynny udział we właściwém już dziennikarstwie, wnosząc swój geniusz osobisty do form dziennikarskich, które kształtowali i tworzyli dla prasy francuskiéj. A wymieniałem nie przygodnych współpracowników dziennikarstwa, lecz pisarzy, którzy prowadzili przez długie lata pisma, zapełniali systematycznie ich rubryki, nie uchylając się od polemik i „zniżając się” nawet do roboty informacyjnéj. Ci są właściwymi twórcami tych form literatury dziennikarskiéj, które przywykliśmy dziś witać w piśmie jako jego stałe, konieczne rubryki, bez których nie moglibyśmy go sobie wprost wyobrazić. Dziś listy pani Sevigné, fikcye filozoficzne Voltaire'a lub postaci Taine'a (Graindorge) — służą za strój, za punkt wyjścia, za okrasę tuzinkowych kronik, co zresztą niekiedy stanowi jedyną ich zaletę. Słabe temperamenty czerpią żywotność u potężnego pełnią życia Rabelais'go, ospali elektryzują się i uczą się niepokoić, wątpić i myśléć u Pascal'a lub Voltaire'a. Veuillot i Vallès podtrzymują w zblazowanych piórach słabnący zapał wyznawców—szkołą, nabytkiem powszechnym staje się to, co przedtém było monopolem talentu. Taką jest rola tradycyi, stanowiąca jakby atmosferę, z któréj czerpie pierwiastki wyrobienia każde nowe pokolenie. Nigdy zresztą nie znało dziennikarstwo francuskie braku sił żywotnych, oryginalnych i, co jest ważne, umiejących pracować. W chwili obecnéj, jak zawsze, nie ustąpiły jeszcze z horyzontu dawne

sławy, a już w nowszych pokoleniach zarysowuje się cały szereg piór wybitnych.

Z dawniejszych, w pełni sił pracują jeszcze świetni kronikarze: Aureli Scholl, Henryk Bauer, Henryk Fouquier — publicyści: Meyer, Dietz, Ranc, Cornely, Cassagnac, Hervé, Rochefort. Artykuły Drumont'a, pani Severine, Clemenceau, Bergerat'a są czytane przez wszystkich, niezależnie od przekonań i sympatyi. Z całkiem młodych, coraz więcéj zwracają na siebie uwagi: Paweł Adam, Montorgeuil, Geffroy, Marx, Mirbeau, Clovis Hugues, Ajalbert, Renard, Arène, Barrucaud. Zresztą, niepodobna mi tu wyliczać najbardziéj nawet wybitnych, gdyż spis byłby zanadto długi, a zamało pouczający. Niepodobna również scharakteryzować téj plejady w jakiś sposób ogólny, któryby nie był ogólnikiem. Ich zaletę stanowi właśnie rys osobisty, rys z głębi duszy, którą każdy przynosi ze sobą. Jak np. określić ogólnie takiego Alfonsa Allais, humorystę, łączącego w sobie według czyjegoś określenia „fantazyę Hoffmana z humorem Twaine'a"? Takiego Pawła Adama, który w sferę sceptycyzmu i dyletantów wnosi ton głębokiéj, serdecznéj troski o duszę? Inny z młodych Barrucaud szpéra za pomysłami reform społecznych, któreby najmniéj urażając zachowawców, najradykalniéj wsparły wydziedziczonych. Geffroy, Marx, pisząc o sztuce, szukają przejść do niéj od życia codziennego i prowadzą temi przejściami demokratyczny tłum. Montorgeuil przypomina rozrzutnością i werwą stylu najświetniejsze karty publicystyki francuskiéj. Bergerat w nawałnicy paradoksów pławi i topi płytką filozofię oportunizmu. Pani Severine od lat wielu nie boi się śmieszności, pisząc w obronie wszelkiego biédactwa i kołacąc tak z „sentymentalną" propagandą do pozytywnie obwarowanych serc burżuazyi. Bauer, Scholl i Fouquier roztaczają codzień skarby inteligencyi, koordynując w satyrze lub lekcyach filozofii życiowéj zjawiska, których nie objąłby i nie ocenił bez téj pepsyny felietonów umysł współczesnych. Mirbeau przeraża raz na tydzień sytą publiczność, ukazując na bezlitosnym preparacie jéj zagrożone otłuszczeniem serce.

Każdy kierunek polityczny, każda opinia filozoficzna ma swoją falangę apostołów, walczących o nie satyrą, pieśnią, felietonem, polemiką, cyfrą, ołówkiem. I wobec bogactwa tych wysiłków, wobec różnorodności układów i natężenia pracy, do prawdy nie widzę powszechnego zblazowania, które ma być charakterystyką dziennikarstwa francuskiego, według niektórych. Widzę raczéj tłum ludzi zaprzątniętych pracą zmudną w warunkach powikłania życiowego niezrównanego, lecz tłum ten żyje intensywnie, pragnie, nienawidzi, czuje gorąco, choć często bezskutecznie... Ale to już nie wchodzi do zakre-

su publicystyki saméj. Tak mi się przynajmniéj przedstawia tłum, ogół publicystów francuskich. Oczywiście, że w tłumie tym zarysowują się pojedyńcze postaci, w których pewne rysy są rozwinięte nadmiernie, wyjątkowo lub karykaturalnie. Około *Figara* np. grupuje się cały świat lekkich felietonistów, których zadaniem jest współudział w zabijaniu czasu nudzącéj się publiczności. Tu nie brak okazów przedziwnéj nicości moralnéj, pustki i czczości. Tu króluje w nauce, sztuce i filozofii tych panów od zabijania czasu niezrównana banalność zwana „zdrowym sensem", oraz najwyższa zasada życiowa — „nie wypada". Wszystko to strojne w szych zręcznéj formy jest strawą bulwarowego paryżanina i... zagranicy. Dla próbki, jak ocenia ten rodzaj Paryż, radzę przeczytać szkic Lemaitre'a o Wolfie lub Blavet. W inném znów piśmie — do niedawna takim był *Gil Blas* — ogromna ilość talentu i pomysłowości autorów idzie z numeru na numer na wymyślenie najsprośniejszéj sytuacyi. Są tacy specyaliści, jak Pompon, Silvestre lub Mendes, którzy świat najchętniéj uważają za olbrzymi dom schadzek... Są zresztą pisma jak *Fin de Siècle*, przeznaczone dla klienteli całkiém — specyalnéj, ale te znów największy odbyt mają w haremach Turcyi. Są pisma, które zgorszyłyby nas mniéj słusznie, jak np. *La vie parisienne*, w któréj Gyp, Mab i szereg zamaskowanych autorów wyszydza bezlitośnie to, co słynie pod nazwą życia paryskiego. Temat sam w sobie nie jest purytański, ale trzeba ocenić całą finezyę krytyki, artyzm samooskarżenia się grzeszników.

Lekkość tych pism okupuje całkowicie solidne *Temps*, poważny *Gaulois*, surowe *Debats*, o których nie mówię dłużéj, bo są zbyt powszechnie znane.

Dwa pisma *Journal* i *Echo de Paris* grupują dokoła siebie kwiat dyletantyzmu paryskiego. Złączywszy dwa numery dwóch tych pism, otrzymamy jakby jeden zbiorowy felieton, miejscami dekadencki, gdzieindziéj pełen temperamentu niemal barbarzyńskiego, przeplatany świetną obserwacyą życia, czasem czarownem marzeniem, zawsze wytworny i często godny pamięci, jeżeli zwłaszcza fragmenty jego noszą podpisy Mirbeau, Clemenceau, Fouquier, Bauer, Bergerat, Prevost, Hervieu, Allais, Adam i t. d.

Z pośród publicystów paryskich, którzy się cieszą obecnie sławą szeroką, może najpowszechniejszą mają Rochefort, Drumont i Clemenceau.

Rochefort jest spotęgowaniem pewnéj zdolności paryskiéj, zwanéj blagą. Blaga jest to nicowanie na śmiéch życia, robienia operetki ze wszystkiego, szydzenia dla szydzenia. Niepodobna nie zgodzić się, że Rochefort tę blagę posuwa do granic wprost niedorzecznych. Co-

dzień *L'Intransigeant* drukuje jego wstępny artykuł, który jest jakby wylewem paradoksalnego śmiechu, kpin na temat dnia. I tak powtarza się od wielu, wielu lat: codzień paryżanin widuje tę dziwną twarz, wyzierającą z artykułu—twarz utytułowanego radykała, bladą z pohulanek bulwarowych, wykrzywioną w konwulsyjnym śmiechu. Markiz de Rochefort w ten sposób uprawia protest. Juliusz Lemaitre, zazwyczaj tak umiarkowany, wpada w pasyę zapytując siebie: „co jest pod tą maską clowna i Mefistofelesa?" — odpowiedź zawiera się w zdaniu, które sam gdzieindziéj wypowiada: „Rochefort jest skazany na powtarzanie *Lanterne* przez całe swe życie". Istotnie, rola czynna Rochefort'a przypadła przed laty bez mała trzydziestu, kiedy ta gryząca ironia, ten nieustający pamflet w postaci *Lanterne* był rzeczywiście orężem protestu. Od tego czasu ma Rochefort kredyt u szerokiéj publiczności, która lubi niekiedy odczytać tę blagę wstępnego artykułu, pamiętając o przeszłości i trochę myśląc o przyszłości.

Drumont robi seryo to, co Rochefort śmiejąc się. *La Libre Parole* wypowiedziała wojnę żywiołowi semickiemu we Francyi. Drumont od czterech lat pisze na szpaltach swego pisma pamflet anti-semicki. Zaprawą tego pamfletu jest żółć i chłosta sprawiana kierunkom wrogim; wartość jego stanowi istotnie olbrzymi podkład wiedzy, krytycyzm i zmysł filozoficzny autora.

Clemenceau nie cieszy się tak powszechną popularnością, jak dwaj poprzedni. Poziom jego artykułów jest za wysoki dla szerszéj publiczności. Za to wśród klas inteligentnych jego znaczenie, opinia, należą do prawdziwie wyjątkowych. Po wydaniu 2 tomów swych szkiców publicystycznych, Clemenceau ujrzał się nagle zaliczony w poczet najwybitniejszych pisarzy współczesnych. Polubiono jego filozofię doświadczenia, w któréj dźwięczy jakiś nieuchwytny ton przebaczenia, mimo że w walce o ideały nie znać tu kompromisów; męski język, umysł jasny, szeroka wiedza i szersze jeszcze doświadczenie potężnego ongi „grabarza gabinetów" przypadły do serca publiczności wytworniejszéj. Marzycieli nawet podbił ten polot szerszy i jakaś poezya życia i dobra, którą tchnie praca dziennikarska Clemenceau. I oto jesteśmy obecni przerodzeniu się sławy i wziętości człowieka, który upadł na jedném polu, żeby z nieznaną żywotnością podźwignąć się na inném.

Rochefort, Drumont i Clemenceau, zwyczajem dziennikarzy francuskich, łączą w tomy swe wybitniejsze felietony. Rochefort zresztą nie wychyla się po za to, co sam słusznie nazwał „awanturami" swego życia. Drumont ponury i fanatyczny pisze o „krwi i złocie" książkę prawdziwie złowróżbną. Clemenceau z mieszaniny doświadczeń spo-

łecznych wysnuwa wątek marzeń o odrodzeniu i myśl swą krzepi, rozpamiętując myt greckiego Pana, patrona pogodnéj pełni życia.

Wziąłem na próbę trzech dziennikarzy najwybitniejszych: każdy z nich, jak widzimy, jest typem krańcowo odmiennym. Rochefort — cyrkowy Mefisto radykalizmu, Drumont—fanatyk i uczony z zacięciem inkwizytorskiém, Clemenceau—Grek zmodernizowany; cóż mają ci ludzie wspólnego? Zapewne tylko ową osławioną „paryskość”, która z oddalenia raz bywa synonimem temperamentu, werwy, szczérości aż do wyuzdania, a innym znów razem obłudy, zblazowania, szablonu aż do martwoty. Źle jest bawić się w jednosylabowe określenia zjawisk skomplikowanych. Bogactwo życia rozsadza kazuistykę epitetów i gdybyśmy np. mogli choć w setnéj części odtworzyć defiladę charakterów i typów dziennikarstwa francuskiego, wszelkie ogólnikowe jego określenie musiałoby prysnąć, jak bańka mydlana. Trzebaż jeszcze pamiętać, że literatura, scena, sztuki piękne wyrobiły w dziennikarstwie francuskiém własne formy i przywileje. Istnieje tak samo typ dziennika-artysty, jak dziennikarza-polityka, jak dziennikarza-poety i dziennikarza-filozofa. Szkice Anatola France'a, Lemaitre'a, Barrès'a—szkice beletrystyczne, krytyczne, filozoficzne powstały i rozwinęły się w formach przystosowanych do potrzeb dziennikarstwa. Albumy Gyp'a, Lavedan'a, Marniego, cykle d'Esparbes'a, dyalogi, kartki pamiętników, listy, notatki impresyonistyczne, portrety błyskawiczne współczesnych, kroniki naukowe, kroniki rymowane, aforyzmy w kwestyach bieżących, kazania — wszystko to formy, jeśli nie stworzone do potrzeb dziennikarskich, to przystosowane i skoordynowane dziś ściśle z jego rozwojem. Jest do napisania ciekawy rozdział o wpływie dziennikarstwa na literaturę i o wpływie odwrotnym. Nietylko powieść-felieton jest rezultatem tego współdziałania. Taka np. cyklowa forma utworów literackich, któréj świetne przykłady dają albumy szkiców d'Esparbes'a lub zbiory dyalogów Lavedan'a, jest niewątpliwie wynikiem starcia się dwóch wpływów: rozpraszającego wpływu, który na twórczość literacką wywiera dziennik, i potrzeby syntezy, koordynacyi swéj pracy, jaką odczuwa każdy artysta.

Dziennikarstwo wogóle wpływa na literaturę rozpraszająco, — dziennikarstwo francuskie potrafiło tę swoją siłę rozkładową opanować i wytworzyć takie formy literackie, które zarazem odpowiadają technicznym warunkom prasy i zasadom twórczości artystycznéj. Po raz drugi powracam do literacko-artystycznéj strony dziennikarstwa francuskiego, sądzę bowiem, że pod względem stylu i kompozycyi literackiéj dziennikarstwo francuskie stanęło na bardzo wysokim poziomie. Dziennik francuski—mowa oczywiście nie o brukowcach — może być

uważany za pewien gatunek literacki, gatunek twórczości zbiorowéj, określony dziś w technice, kompozycyi, jak określona jest np. powieść lub utwór sceniczny. O tém jednakże należałoby mówić obszerniéj, nie krępując się ramami szkicu pobieżnego.

Trzeba nam wreszcie wybrnąć z trudności téj charakterystyki. Życie takich ognisk kultury, jak Francya, nie łatwe jest do opanowania nawet impresyonistycznego. To ono samo opanowuje i, że tak powiem, ponosi obserwatora; obserwacya bowiem dochodzi tu takich krańców wytężenia, że staje się wprost czynnym udziałem w téj fantasmagoryi i obserwując nawet, traci się równowagę i spokój. Niech i to będzie rysem w téj naszkicowanéj zaledwie podobiźnie mikrokosmosu życia, którym jest świat dziennikarski.

Pominąć muszę charakterystykę brukowców paryskich takich, jak *Petit Journal* i *Petit Parisien*, bijących razem $1^1/_2$ miliona egzemplarzy; pomijam również kategoryę przeglądów miesięcznych, wśród których zwykle jest jakiś tuzin t. zw. *revues jeunes*, będących pepinierą młodych sił, które późniéj przechodzą do dziennikarstwa właściwego; pomijam cisnące się pod pióro sylwetki dziennikarzy, skandaliczne mniéj lub więcéj pogłoski z tego świata, drobne i wielkie intrygi, historyczne kampanie i powszedni zbieg targowiska wszystkich interesów...

Pragnąłem dać nieco materyału dla rozstrzygnięcia ciekawego pytania, w jakim stosunku opinia dziennikarstwa francuskiego stoi do opinii francuskiego społeczeństwa? Przegląd historyczny rozwoju dziennikarstwa przypomniał nam, że zawsze odgrywało ono w dziejach rolę najwierniejszego odbicia opinii ogółu — przynajmniéj ogółu najczynniejszych i najruchliwszych w danym okresie klas.

Charakterystyka i statystyka stwierdzają, że w okresie obecnym nie dzieje się inaczéj. Dziennikarstwo jest istotnie z jednéj strony odbiciem, z drugiéj zaś — potężném narzędziem publicznéj opinii p a n u j ą c é j.

Wszystko to, co nurtuje kraj spodem, co tkwi bezwiedne i bezczynne jako energia potencyalna w jego głębiach, nie wyraża się zapewne we właściwym stosunku w prasie, ni wogóle w zorganizowaném życiu kulturalném. Gdyby jednakże energia potencyalna miała zamienić się na czynną—prasa byłaby pierwszą widownią tych objawów. Tak np. z pomiędzy paru tysięcy pism politycznych współczesnych nie mniéj jak półtora tysiąca wyznaje przekonania republikańskie. Dopóki stosunek ten trwa nienaruszony — trzecia rzeczpospolita może się nie obawiać orleanistycznych proroctw ni krucyat kleru...

Prasa więc jest wyrazem opinii panującéj, najruchliwszéj, najczynniejszéj. Dwa jednak zastrzeżenia należy miéć tu na względzie: po 1) to, cośmy mówili o ekonomiczném położeniu prasy francuskiéj, a co wpływa na większą zależność jéj od sfer kapitalistycznych np. i po 2) to, co wykazuje porównanie produkcyi dziennikarskiéj Paryża i prowincyi. Prasa francuska może w stopniu nie całkiem zgodnym z rzeczywistym stanem rzeczy odbija zbyt silnie opinie Paryża, zbyt słabo stosunkowo opinie Francyi.

Zgoła charakterystyka dziennikarstwa francuskiego doprowadza do podobnych wniosków, co charakterystyka świata parlamentarnego. To też dwa te światy zléwają się w jedną wielką oligarchię, skupiając najczynniejsze pierwiastki chwili bieżącéj.

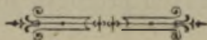
Regulatorem błędów dziennikarzy fachowych jest nadzwyczaj obfite i wszechstronne współpracownictwo w prasie ogółu ukształceńszych kategoryi społeczeństwa. O zjawisku tém miałem już sposobność napomknąć, omawiając samopomoc Francuzów na polu oświaty. Tu znowu dodać muszę, że świat uczony, literacki, artystyczny, parlamentarny zasilają prasę nieustanném współpracownictwem. Dopływ zaś opinii ogółu do prasy bywa tém większy, im doniośléjszą jest sprawa, która go wywołuje. Jest to niespożyta, zdaniem mojém, rękojmia żywotności prasy francuskiéj i, raz jeszcze, dowód jéj zgody z opinią panującą. Ta sprężystość, czynność obywatelska jednostki, nie wpadającéj nigdy w osłupienie kontemplacyjne wobec objawów życia, jest może tém, co ryczałtowo nazywamy „wyższą kulturą"...

Tak się przedstawia dziennikarstwo francuskie wzięte, jako jednostka zbiorowa, jednostka, że tak powiem, reprezentacyjna. W hierarchii ciał reprezentujących ogół opinii kraju przez swą ruchliwość, wszechstronność i wyrobienie pewnéj solidarności zbiorowéj, wyrażającéj się bardzo silnie we wszystkiém, co się tyczy zwłaszcza reprezentacyi kraju na zewnątrz, dziennikarstwo francuskie jest może ciałem o najwyższéj doniosłości i jako wyraz, i jako regulator prądów opinii panującéj [1]).

Jerzy Grot.

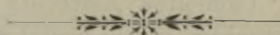
---

[1]) Eugène Hatin: „Histoire du journal en France 1631 — 1853" (1853); E. Dubieff: „Le Journalisme" (1892); J. Lemaitre: „Les Contemporains" (1896); „Revue encyclopedique": N. 65 „La Presse française" (15 juillet 1893); „Revue des Revues": Jean Finot, „Le journalisme et les journalistes" (1894); H. Avenel „L'Annuaire de la presse française" 1890 — 1896; Guillemin, Villafranche, Merson etc.



Kilka słów

O PAMIĘTNIKACH POLSKICH XVII WIEKU.



W toku dłuższych studyów nad dziejami XVII-go wieku, a więc w szczególności nad źródłami, do tychże czasów się odnoszącemi, nasunęło mi się dosyć dużo spostrzeżeń i uwag krytycznych, których na razie nie podawałem do wiadomości publicznéj ze względu na ich charakter luźny i dorywczy. Gdy mi się jednak z biegiem czasu nagromadziło takich danych tyle, że można je już podzielić na jakieś bardziéj pokaźne grupy o pokrewnéj treści, sądzę, że spełnię rzecz pożyteczną, jeśli z niektóremi wynikami moich dochodzeń podzielę się z szerszém kołem czytelników. Oczywiście, wywody moje przydadzą się głównie tym, którzy zamierzają sami przystąpić do samodzielnych badań źródłowych; niemniéj przeto ogłaszam artykuł niniejszy w piśmie, nie przeznaczoném dla specyalistów, właśnie dlatego, że chodzi mi o sprostowanie pewnych błędów i omyłek, popełnianych albo uznawanych przeważnie przez początkujących adeptów nauki historycznéj, jakoteż badaczy-dyletantów.

Na razie wybieram ze zbioru moich zapisek dane, dotyczące pamiętników polskich z XVII wieku. Mamy tych pamiętników wogóle bardzo niewiele: a i te, które mamy, prawie wszystkie znane są z jedynych wydań dawnych, niekrytycznych i opatrzonych przedmowami,

najczęściéj wcale nieodpowiadającemi dzisiejszym wymogom naukowym, niewolnemi tu i owdzie od rażących przeoczeń i niedokładności. Nie mam bynajmniéj zamiaru podawać tu wyczerpującego przeglądu całéj naszéj literatury pamiętniczéj z XVII stulecia ani nawet ścisłego rozbioru krytycznego któregokolwiek źródła historycznego z tego zakresu, lecz chciałbym jedynie zastanowić się nad kilku najważniejszemi w tym celu, aby sprostować to, co w przedmowach wydawców potrzebuje sprostowania, a wywody tychże nowemi szczegółami uzupełnić.

Pamiętniki nasze z XVII wieku, jak wszystkie wogóle, dają się podzielić na dwie kategorye: mianowicie napisane bezpośrednio po spełnieniu przedstawionych w nich wypadków albo niedługo po ich spełnieniu, dorywczo, od czasu do czasu, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc lub choćby z roku na rok,—to jest tak zwane dzienniki czyli dyaryusze; i na pamiętniki w szerszém, ale i powszedniejszém tego słowa znaczeniu—to jest wspomnienia z całego pewnego okresu życia, nakreślone w całości dopiéro po upływie rzeczonego okresu.

Do pierwszéj kategoryi należy z pewnością i zajmuje w niéj pierwszorzędne miejsce Pamiętnik Albrechta Stanisława Radziwiłła (1632—1655), którego przekład polski wydał w Poznaniu r. 1839 Edward Raczyński. Nie tylko słowa wstępne autora, ale cały układ dyaryusza, w którym nie ma żadnych aluzyi do czasów późniejszych, a wypadki są zwykle ściśle oznaczone datami dni lub miesięcy i przedstawione widocznie pod świéżém ich wrażeniem, — słowem, wszystkie cechy zewnętrzne i wewnętrzne przemawiają za tém, że Pamiętnik ten był pisany jako dyaryusz, postępował naprzód w ślad za wypadkami, często z dnia na dzień, niekiedy z miesiąca na miesiąc. Otóż o tym ważnym zabytku źródłowym wiadomo już od wydawcy, Raczyńskiego, że tekst polski, ogłoszony przezeń, to nie utwór pióra Albrechta Radziwiłła, lecz przekład Pamiętnika, spisanego przez autora w języku łacińskim, i to przekład, dokonany, zdaje się, dopiéro w początkach XVIII wieku przez wnuka kanclerza, Hieronima. Raczyński nie wyjaśnił wcale, czy był mu znany oryginalny tekst łaciński Pamiętnika: znać go zapewne musiał, skoro jeden odpis tego tekstu znajduje się obecnie w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, tam gdzie znajduje się i tekst przekładu, ogłoszonego przez hr. Edwarda. W każdym razie było to wiadome wielu badaczom czasów Władysława IV i Jana Kazimierza, że nie tylko biblioteka Raczyńskich, ale i trzy inne, mianowicie ks. Czartoryskich w Krakowie, Ossolińskich we Lwowie i biblioteka cesarska w Petersburgu posiadają rękopisy, zawierające teksty łacińskie Pamiętnika Radziwiłłowskiego. Mało kto natomiast, jak uważa-

łem, wié o tém, że na rękopisie biblioteki ks. Czartoryskich znajduje się napis: „oryginał ręką X. Albrychta Radziwiłła." Szajnocha i prof. Kubala powołują się w swoich dziełach na manuskrypt biblioteki Ossolińskich: nikt z uczonych, o ile mi wiadomo, dotąd rękopisu biblioteki ks. Czartoryskich nie używał. Natomiast jeszcze dotychczas zdarza się, że niektórzy historycy posługują się jedynie ogłoszonym drukiem przekładem polskim, jak gdyby o istnieniu autentycznych tekstów nie wiedzieli. Ażeby raz na zawsze położyć koniec téj anomalii, uważam za potrzebne zwrócić uwagę wszystkich nieoczytanych w rękopisach Radziwiłła na okoliczność, że przekład, wydany przez Raczyńskiego, jest w wysokim stopniu niedokładny, bo nie tylko tekst oryginalny został w wielu miejscach mylnie oddany, ale nadto tłómacz wiele ustępów oryginału wprost pominął, skracając dowolnie całe stronice. Przekład ten więc, jako nieścisłe, a niekiedy zupełnie spaczone odbicie myśli Radziwiłła, może niejednokrotnie w błąd wprowadzić czytelnika co do istotnych intencyi autora: a tém samém nigdy na téj przeróbce polegać nie można, nigdy nie wypada się na nią powoływać jako na wiarogodne świadectwo źródłowe. Z rzędu źródeł historycznych należy ją stanowczo wykluczyć: kto nie może dotrzéć do tekstów łacińskich, których jest aż cztery w różnych stronach, ten niech lepiéj obchodzi się bez świadectwa Radziwiłła, aniżeli by miał składać na karb jego wyznań czy wspomnień niedokładności i przekręcenia, popełnione przez tłómacza. Do wydania łacińskiego tekstu Pamiętnika ma przystąpić niebawem krakowska akademia umiejętności i zanim dzieło wyjdzie z druku, może niniejsze ostrzeżenie położy zaraz tamę wytkniętéj dopiéro co nieprawidłowości krytycznéj, która już niejednokrotnie przyniosła szkodę prawdzie historycznéj. Może się téż przyda i wyjaśnienie, że Pamiętnik Radziwiłła oryginalny, nie urywa się bynajmniéj na marcu r. 1653, jakby wnosić można z ogłoszonego drukiem przekładu, lecz doprowadzony został przez autora do końca stycznia r. 1655, i dopiéro pod tym rokiem znajduje się w odpisie, przechowanym w bibliotece Ossolińskich, to zakończenie, które w przekładzie zamyka dyaryusz wypadków z marca 1653. W rękopisie biblioteki Czartoryskich, niezupełnym, brak także kart końcowych, na których musiały się znajdować zapiski z lat 1653 — 5; brak w nim także owego zakończenia, jakie się znajduje w rękopisie biblioteki Ossolińskich i w przekładzie. Rękopis biblioteki Czartoryskich ma na pierwszéj karcie, jak wspomniałem, notatkę, objaśniającą, że jest autografem Radziwiłła. Notatka ta jednak wyszła z pod innéj ręki, widocznie znacznie późniejszéj aniżeli ręka pisarza całego zresztą manuskryptu: ponieważ nie znam dotychczas żadnego obszerniejszego autografu Albrechta

Radziwiłła, lecz tylko jego podpisy, nie udało mi się dotychczas stwierdzić na pewno, czy mamy w tym wypadku w istocie do czynienia z własnoręcznym rękopisem autora. Rękopis pochodzi z pewnością z XVII wieku, a tekst jego zawiéra dosyć liczne poprawki, poczynione tą samą ręką, którą jest pisany cały manuskrypt, co zdaje się potwierdzać treść umieszczonéj na nim notatki. Po bliższém zbadaniu wszystkich znanych rękopisów Albrechta Radziwiłła będzie można niezawodnie kwestyę tę wyjaśnić stanowczo.

Poza tym pamiętnikiem—jednym z najcenniejszych, jakie się zachowały po XVII wieku — do najbardziéj znanych i używanych należą Pamiętniki Paska, Łosia, Jemiołowskiego, Jerlicza, Chrapowickiego, Wydżgi i Odlanickiego. Z tych tylko dwa — Paska i Odlanickiego były przedmiotem bardziéj szczegółowego rozbioru; o pozostałych wiedziało się właściwie tylko tyle, ile o nich napisali sami wydawcy w przedmowach. Ale wydawcy ci wywiązywali się przeważnie dosyć niedbale ze swoich zadań. I tak co do Chrapowickiego i Jerlicza nie postarali się nawet stwierdzić, kiedy te pamiętniki powstały; co do Jemiołowskiego, Wydżgi i Łosia — zajmując się kwestyą ich powstania, albo nie wyjaśnili jéj tak, jak było można, albo téż nawet wprowadzili w błąd czytelników całkiem mylnemi twierdzeniami.

O dyaryuszu Chrapowickiego (1668 — 1672) można powiedziéć, że jestto dyaryusz w całém tego słowa znaczeniu, typowy. Czytając go ma się pewność, że był prowadzony z dnia na dzień, że szedł ciągle za świéżym śladem wypadków. Pod datą każdego prawie dnia znajdujemy obok wiadomości o zajściach z życia autora i o sprawach publicznych, zapiski o stanie pogody, często bardzo jednostajne. Niepodobna, aby następstwo zmian atmosferycznych zdołał ktokolwiek zapamiętać tak dokładnie, iżby po roku przebieg ich potrafił opowiedziéć z pamięci, przechodząc od dnia do dnia po kolei, Chrapowicki był owszem widocznie tak skrupulatny, że gdy wyjeżdżał z domu, woził księgę dyaryusza ze sobą. Jeśli ją zabrać zapomniał, zostawała w dyaryuszu luka. Jak np. w roczniku z r. 1672, po relacyi z 14 marca brak wiadomości z całego tygodnia; ale téż zaraz jest wyjaśnienie: „Dni kilka tu nie ma, bo dyaryuszu nie miałem przy sobie.” W całéj księdze nie ma téż ani jednéj wzmianki, któraby wskazywała, że autor kiedykolwiek się spóźnił z zapisaniem interesujących go szczegółów, żeby ogarniał od razu w relacyi większe okresy czasu.

Pamiętniki Jana Poczobuta Odlanickiego opracował w sposób wyczerpujący p. Menda w artykule, ogłoszonym w „Albumie uczącéj się młodzieży” (Lwów, 1879). Obok Odlanickiego jeden tylko Pasek doznał tego wyszczególnienia, iż nowsza nauka historyczna intereso-

wała się nim dosyć żywo i historyę jego życia i dzieła dosyć starannie wyjaśniła.

Inaczéj ma się rzecz z innemi pamiętnikami z XVII wieku. Kwestya powstania Latopisca Jerlicza jest dotychczas otwarta. Wydawca K. Wł. Wójcicki (w przedmowie do jedynego wydania z r. 1853) wcale nie zajmował się tą kwestyą. Wiadomo, że „Latopisiec albo Kroniczka” obejmuje okres czasu od r. 1620 — 1673 i że niedbałym i nieudolnym wogóle układem zbliża się więcéj do formy dyaryusza, niż pamiętnika, pisanego dopiéro po spełnieniu wszystkich opowiedzianych w nim wydarzeń. Pojedyńcze wypadki są w znacznéj części Latopisca zszeregowane pod datami pewnych dni; co prawda, w następstwie dat nie ma nigdy takiéj ciągłości, jak np. w dyaryuszu Chrapowickiego; przeciwnie, między relacyami, zawartemi w ustępach, bezpośrednio obok siebie umieszczonych, zachodzą najczęściéj dosyć znaczne luki chronologiczne. W części pierwszéj Latopisca, odnoszącéj się do rządów Zygmunta III i Władysława IV, brak nawet tu i owdzie wiadomości z całych kilkoletnich okresów; dopiéro od r. 1646 zaczynają się zapiski bardziéj szczegółowe i regularne, tak że odtąd już luk całorocznych nie spotykamy; co więcéj, począwszy od r. 1649 nie ma prawie rocznika, w którymby się nie znalazły wiadomości jeśli nie z wszystkich, to przynajmniéj z większéj części miesięcy. W roczniku np. z r. 1651 relacya z sierpnia ma już typową postać dyaryusza, bo mieści po kolei wiadomości z dni 2 do 6, potém z 17, 19, 20, 24 i 25 t. mies. Cała reszta Latopisca daje na pierwszy rzut oka to wrażenie, jakby autor wprawdzie nie regularnie, ale od czasu do czasu, w ciągu roku, więc wkrótce po dokonaniu interesujących go wypadków, dorywczo pamięć o nich utrwalał sobie w księdze. W całéj téj reszcie, i nawet już w poprzednich ustępach, począwszy od r. 1649, nie znalazłem téż żadnych aluzyi do późniejszych czasów, żadnych wzmianek ani uwag, wybiegających treścią swoją poza granice chronologiczne roku, pod którym odpowiednie ustępy są umieszczone.

Pierwsza atoli część Latopisca z czasu po rok 1646 nie ma tak wybitnych cech dyaryusza. Na pierwszych stronnicach znajdujemy wprawdzie wcale dokładny „Dyaryusz wojny chocimskiéj”, zawierający relacyę z czasu od 31 sierpnia do 8 października r. 1621; ale rzecz ta stanowi odrębną, zamkniętą w sobie całość i wygląda na odpis czy streszczenie jakiegoś dyaryusza, spisanego całkiem osobno, który widocznie późniéj dopiéro został wciągnięty przez Jerlicza do Latopisca. Po dosyć dokładnéj bowiem relacyi z dni jesiennych r. 1621, (t. I, str. 7—31); rozpoczyna Jerlicz (na str. 31) historyę swego życia, sięgając do lat dziecięcych, a więc do ostatnich lat XVI wieku, a potém, przeszedł-

szy do wypadków publicznych (str. 33), sięga do roku 1603 i podaje po kilka krótkich wiadomości z lat 1607, 1608, 1612, 1618 i t. d. Widocznie więc relacya o wojnie chocimskiéj jest jakimś dodatkiem późniejszym albo też wyciągiem z dyaryusza, jaki może sam Jerlicz nakréślił wkrótce po wojnie, ale którego daléj nie kontynuował. Zapiski z lat 1603—1629, wszystkie tylko kilkowierszowe, bardzo wogóle pobieżne, mogły więc być nakréślone z pamięci, dopiéro w późniejszych czasach, po roku 1630-ym. Są w tych zapiskach obok kilku wspomnień osobistych Jerlicza, oznaczonych dokładnemi datami, niektóre inne, odnoszące się do spraw publicznych, a wśród nich pod r. 1607 wiadomość o śmierci Jana Zamoyskiego, hetmana i kanclerza. Tak gruba omyłka co do daty śmierci Zamoyskiego przemawia także za tém, że pierwsze ustępy Latopisca spisane zostały późniéj od razu, a nie narastały z roku na rok, w miarę rozwoju wydarzeń.

Popiérają poniekąd ten domysł słowa Jerlicza, którémi rozpoczyna swoje opowiadanie: „Nie litując pracy, a wziąwszy Pana Boga na pomoc, który mnie raczył na tym świecie w dobrém zdrowiu chować, nie pomnąc na ciężkie występki i grzechy moje ...... umyśliłem to sobie ja, Joachim Jerlicz, wiadomość każdemu chcącemu wiedziéć napisać do czytania.” Jest nad temi słowy u góry, na czele Latopisca, data: „roku Bożego 1620 miesiąca Augusta dnia 26.” Daty téj nie należy odnosić do słów dopiéro co przytoczonych, lecz do umieszczonéj cokolwiek niżéj relacyi o wojnie chocimskiéj: gdyż w r. 1620 Jerlicz miał zaledwie lat 23 i wątpić można, aby już wtedy ciężar jakichś występków i grzechów zbytnio mu dolegał, wątpić wolno tém bardziéj, że w opowiedzianéj poniżéj historyi życia z lat 1603—1620 nie ma żadnego wyznania jakiegokolwiek grzechu czy występku. Są natomiast liczne osobiste szczegóły z życia Jerlicza dopiéro w dalszych opowiadaniach z czasu po roku 1640. Słowa więc początkowe Latopisca świadczą za tém, że Jerlicz dopiéro w starszych nieco latach, po pewnym okresie życia, wedle jego własnego poczucia grzesznym i występnym, zabrał się do spisywania wspomnień, niby do publicznéj spowiedzi.

Jeszcze silniéj umacnia mnie w tém przypuszczeniu treść innego ustępu Latopisca, znajdującego się na str. 75 — 93 tomu pierwszego, wśród historyi wypadków z lat 1648 — 1649. Ustęp ten ma napis: „Wypisanie przodków moich etc....... przezemnie, Joachima Jerlicza, spisanych w r. 1648 dnia 3 sierpnia w te słowa.” I oto zarazem początkowe słowa tego „Wypisania”: „Zdało mi się za rzecz słuszną, przeżywszy po łasce Pana Boga mego lat 50 i rok jeden, gdyżem się rodził w r. 1598 dnia 19 maja w niedzielę zrana do dnia we wsi Kolenku pod Ostrogiem, a jako wiek mój prowadziłem w młodości lat

swoich, wyszedłszy ze szkoły, aby potomkowie moi wiedzieli." W ustępie tym podaje Jerlicz wiele szczegółów, które już poprzednio opowiedziane były w części pierwszéj Latopisca z lat 1603 — 1648. Czyżby je tu powtarzał ponownie, gdyby był miał spisaną historyę tych lat, gotową, na poprzednich stronicach? Niezawodnie nie; ograniczyłby się w takim razie prawdopodobnie podaniem tych szczegółów, które w poprzednich ustępach pominął. Powstanie téj całéj części Latopisca aż po stronicę 93 wyobrażam sobie tak: Jerlicz przystąpił naprzód do ułożenia owego „Wypisania", t. j. historyi swojéj rodziny, całego pięćdziesięciolecia swego własnego życia — w roku 1648; a następnie powziął zamiar pisania dyaryusza wydarzeń publicznych. Wówczas dopiéro dorobił całą pierwszą część Latopisca, przyczém mogło mu się zdarzyć niekiedy (co już łatwiéj sobie wytłómaczyć), że przy omawianiu wypadków, w których sam brał udział, powtórzył ten lub ów szczegół osobisty; a od roku 1649 prowadził już dyaryusz bardziéj regularnie, z roku na rok, czasem z miesiąca na miesiąc, i nawet z dnia na dzień, kiedy była ochota i o ile bardziéj interesujący temat pobudzał do utrwalenia pamięci o nim na piśmie. Przeciw spółczesności drugiéj części Latopisca, z czasu od r. 1649 do 1673 mogłyby wprawdzie przemawiać bardzo liczne niedokładności, zwłaszcza co do cyfr, nazwisk i t. d., których pełno w opowiadaniach Jerlicza; ale niedokładności te zdarzają się równie często w ostatnich ustępach Latopisca z lat 1670 — 1673, jak i we wcześniejszych. Dlatego sądzę, iż nie można się niemi posługiwać jako dowodem, że Latopisiec musiał powstać w całości w późniejszych czasach np. dopiéro po roku 1673-im, lecz trzeba je złożyć raczéj na karb niedbalstwa, słabéj inteligencyi, płytkiéj wiedzy i łatwowierności Jerlicza, który zapisywał wszystko, co zasłyszał i tak jak zasłyszał. [1] Pisywał on często o sprawach i rzeczach, na które własnemi oczyma nie patrzał: a z usposobienia widocznie porywczy i zrzęda, nie liczył się zbytnio ze słowami ani téż z faktami. Błędy więc, jakie popełnia, a czesto nawet tendencyjne przekręcenia faktów, mogły powstać nawet bezpośrednio po wydarzeniach, do których się odnoszą. Słowem, wedle wszelkich danych, jakich dostarcza sam Latopisiec, do spisywania onego przystąpił Jerlicz najprawdopodobniéj w r. 1648, t. j. po pięćdziesiątym roku życia — i odtąd prowadził go już z roku na rok, jako dyaryusz dorywczy, uzupełniany tylko od czasu do czasu, co kilka tygodni lub miesięcy.

Przechodzę z kolei do małego pamiętniczka, przypisywanego Wydżdze. Stefan Wydżga—to, jak wiadomo, jedna z wybitniejszych postaci w czasach Jana Kazimierza i Sobieskiego. Sekretarz i refe-

rendarz koronny przed r. 1655, wstępuje w r. 1655 na katedrę łucką, w r. 1659 zostaje biskupem warmińskim, a wreszcie w r. 1678 osiąga najwyższą godność w Rzeczypospolitéj, mianowany arcybiskupem gnieźnieńskim. Zaszczytem tym cieszył się przez lat ośm, zmarł w r. 1686. Sławny mówca i kaznodzieja, pisywał wogóle niewiele. Zostawił nieco pism w manuskryptach; a tylko jedno, treści historycznéj, miał ogłosić drukiem za swego życia. Bibliografowie przypisują mu mianowicie dziełko p. t. „Historya abo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiéj w królestwie Polskiém od roku Pańskiego 1655-go w miesiącu lipcu aż do roku 1660 w miesiącu maju trwającéj, w sobie zamykające i do wiadomości potomnym wiekom podane.” Druk ten wyszedł z pewnością w XVII-ym wieku, ale bezimiennie i, o ile wiadomo, bez oznaczenia daty i miejsca wydania. Powiadam: o ile wiadomo; bo w jedynym znanym mi egzemplarzu pierwodruku, znajdującym się w bibliotece Akademii krakowskiéj, nie ma w istocie ani osobnéj kartki tytułowéj, ani daty miejsca, ani wreszcie daty roku. Wójcicki, który się specyalnie tym drukiem zajmował, zapewnia, że broszura „Historyi” wyszła bez karty tytułowéj i bez daty. Załuski natomiast w dziele swojém p. t. „Biblioteka historyków, prawników i polityków polskich” (Kraków, 1832) na str. 69, wspominając o „Historyi” przy przytoczonym w tekście tytule, dodaje na marginesie: „*sine loco*, 1660, 4-to”, skąd wnosićby można, że widział jakiś egzemplarz, opatrzony datą roku 1660. Załuski powołuje się nadtą na nieznaną nam także broszurę p. t. „*Exercitatio ad Nicolai Chwalkovii Jus publicum Regni Poloniae*” (bez daty), co do któréj nie mogłem nawet dojść, kiedy wyszła z druku, ale w któréj wedle Załuskiego znajduje się na str. 10 wiadomość, że „Historya” Wydżgi to broszura bardzo rzadka, „ponieważ tylko 80 egzemplarzy jéj odbito i te rozdane zostały między magnatów polskich na cześć królowéj Ludwiki Maryi” [1]).

„Historya” zawiéra wprawdzie ogólny przegląd dziejów wojny szwedzko-polskiéj z lat 1655—1660, ale jest właściwie głównie biografią królowéj Ludwiki Maryi, obejmującą cały okres jéj pobytu w Polsce w czasie od r. 1646 — 1660, i to biografią o pokroju panegiryku, pełnego słów podziwu dla osoby téj monarchini i dla jéj działalności publicznéj. Autor nie wspomina o sobie nigdzie wyraźnie, nie zdradza się nawet żadném bardziéj przejrzystém napomknieniem. Raz jeden tylko mówi o sobie szerzéj, ale ogólnikowo, a to w czwartym ustępie dziełka (str. 60 wyd. Wójcickiego) temi słowy: „Imienia moje-

---

[1]) Por. przypisek w przytoczoném wyżéj dziele Załuskiego u dołu str. 69.

go przy tak małéj mojéj robocie nie kładę, bo wiem, że Konstantyn Wielki wielkiego *alias* człowieka, Izajasza, stąd urągał i ganił, że wszędzie na murach, na drzwiach, na bramach i choć na małych budynkach kłaść imię swe kazał, nazywał go Konstantyn *herbam parietariam.* Ba i do tego *tegi volo, non legi:* bo dla siebiem to i dla dobrych przyjaciół *raptim* napisał, nie myśląc nigdy tak lichą moją pracą ani pras drukarskich, ani oczu ludzkich pofatygować." Tłómaczy się następnie, dlaczego używa w piśmie polskiém łacińskich makaronizmów, i zapewnia w końcu, że pochlebstw nie pisze ani nie „ugania się za wiatrem ambicyi", ale „żyje sobie *procul negotiis,* kochając kącik domowy, a prawdę po staropolsku." Ze słów tych nie można, rzecz prosta, wyrozumiéć, kto jest autorem „Historyi", bo autor usiłuje właśnie zapomocą nich zatrzéć rysy własnéj osobistości. Z całéj zresztą treści dziełka wywnioskować można tylko tyle, że był nim jakiś świadek naoczny rządów Jana Kazimierza i Ludwiki Maryi, i to ktoś taki, co się tym rządom przyglądał zbliska i zwłaszcza w ciągu wojny szwedzkiéj przebywał niedaleko od dworu. Tyle, ale nie więcéj. Na jakiéj podstawie Janocki i Załuski przypisują „Historyę" całkiem stanowczo Stefanowi Wydżdze, wyjaśnić nie umiem, bo żaden z nich dowodów, uzasadniających powyższe twierdzenie, nie podaje [1]). Być może, że sumienny Janocki znalazł w źródłach jakąś wzmiankę współczesną, wskazującą Wydżgę jako autora. Co do mnie, żadnych tego rodzaju niezbitych dowodów dotąd nie znalazłem: na podstawie zaś treści dziełka mogę stwierdzić to tylko, że w istocie nie ma w téj treści nic, coby autorstwo Wydżgi wykluczało, a przemawia za niém okoliczność, że Wydżga w istocie bawił dłuższy czas przy boku królowéj jako jéj sekretarz i należał do wielbicieli jéj działalności politycznéj, jak to widać z jego mowy, wygłoszonéj na pogrzebie Ludwiki Maryi. Kwestya autorstwa „Historyi" w oczach moich jest kwestyą jeszcze nierozstrzygniętą; to téż zwracam na nią uwagę czytelników starszych druków w nadziei, że może w toku lektury uda im się natrafić na jakąś wskazówkę, przydatną do usunięcia wszelkich wątpliwości.

---

[1]) Załuski w dziele wyżéj przytoczoném. Janocki w dziele p. t. „Nachricht von den raren polnischen Buechern". Dresden, 1753, III Theil, str. 44, 8-vo. Leugnich w dziele p. t. „Geschichte preussischer Lande polnischen Antheils", t. VIII, str. 266, wspomina tylko krótko o śmierci Wydżgi, a o dziełach jego wcale nic nie wié. Treter w obszerném dziele p. t. „De episcopatu et episcopis ecclesiae Varmiensis", Cracoviae, 1685, a więc wydanéj przed samą śmiercią Wydżgi, wié wprawdzie o mowie tego biskupa, wygłoszonéj na pogrzebie Ludwiki Maryi, ale nie o jego autorstwie dziełka historycznego (por. biografię Wydżgi na str. 163 — 172).

Niewyjaśnioną, a raczéj błędnie zagmatwaną była także dotychczas kwestya czasu wydania „Historyi”. Jedyny znany mi egzemplarz pierwodruku nie ma, jak zaznaczyłem, daty wydania, ale brak w nim téż karty tytułowéj (egzemplarz oprawny); Wójcicki twierdzi, że broszura wyszła bez oznaczenia daty. Jedyny Załuski notuje datę r. 1660. Czy widział jaki egzemplarz, oznaczony wyraźnie taką datą, czy tylko z tytułu, przytoczonego wyżéj, i z treści opowiadania, doprowadzonego tylko do r. 1660, wysnuł przypuszczenie, że książka powstała w tym ostatnim roku, — rozstrzygnąć trudno, bo Załuski żadnych wyjaśnień nie podaje: ten drugi domysł wydaje mi się najbliższym prawdy.

Wójcicki, który w przedmowie do ponownego wydania „Historyi” zajmował się bliżéj tą kwestyą chronologiczną, uważa za niewątpliwe, że broszura wyszła z pod pióra autora za życia Ludwiki Maryi (to jest przed 10 maja r. 1667); ale usiłuje zarazem podtrzymać twierdzenie, że drukiem wydano ją znacznie później, co najmniéj w dziesięć lat po śmierci Ludwiki Maryi, około r. 1678. Twierdzenie to opiéra głównie na wzmiance, zawartéj w „Historyi” (na str. 122 jego wydania), następującéj osnowy: „Ksiądz biskup warmiński, który dziś jest arcybiskupem gnieźnieńskim etc.” Wójcickiemu wydawało się, że w ustępie tym Wydżga, uważany za autora, mówi o samym sobie: a że został on arcybiskupem gnieźnieńskim dopiéro w r. 1678, więc rękopis „Historyi”, istniejący oddawna, nie mógł się zdaniem wydawcy dostać pod prasę drukarską prędzéj, niż w r. 1678. Otóż zaraz na tém miejscu muszę uprzedzić, że ten jedyny właściwie argument, którym Wójcicki umiał poprzéć swoje twierdzenie, jest z gruntu błędny, oparty na nieporozumieniu: bo owszem szczegół, dopiéro co przytoczony, stanowi właśnie jeden z najsilniejszych dowodów, przemawiających za tém, iż broszura nie mogła być wydana ani około r. 1678, ani po tym roku, lecz wyszła z druku o kilkanaście lat wcześniéj. Błędu, popełnionego przez Wójcickiego, dotychczas, o ile wiadomo, nikt nie sprostował: czas go raz wreszcie wykréślić z naszéj literatury historyograficznéj.

Wójcicki sam nie przeczy, jak wspomniałem wyżéj, że „Historya” została napisaną jeszcze za życia Ludwiki Maryi. Autor mówi w istocie ciągle o obojgu królestwie jako o żyjących i panujących. W ostatnich ustępach „Historyi”, naprzykład, wyraża radość, że codzień przybywa chwalebnych dzieł, spraw i rad królowéj i dziękuje Bogu, „że nam właśnie naraz takie państwo z nieba obmyślono, bo kto inszy nie barzoby strzymał ster w takiéj nawałności, aboby był zażył tego odmętu na swój połów...” Jeżeli tego rodzaju ustępy znajdują się w „Historyi”, to już wielce dziwićby się należało, żeby je był autor

zostawił bez zmiany w broszurze, gdyby był rękopis swój oddał do druku już po śmierci obojga królestwa. Wójcicki usiłuje wprawdzie usunąć tę sprzeczność między treścią opowiadania a swojém twierdzeniem, nasuwając domysł, że nie sam Wydżga ogłosił drukiem rękopis w r. 1678, lecz za życia Wydżgi któryś z jego przyjaciół. Możnaby uwierzyć w prawdopodobieństwo tego przypuszczenia, gdyby omówione wyżéj ustępy zawierały jedyny ślad ścisłéj współczesności broszury z czasami Jana Kazimierza. Ale tak nie jest: bo nie brak i innych tego rodzaju danych w licznych szegółach. I tak, żeby zacząć od owéj przytoczonéj także wyżéj wzmianki o „księdzu biskupie warmińskim, który dziś jest arcybiskupem gnieźnieńskim", odczytanie dokładne ustępu, zawierającego rzeczone słowa, daje pewność, że odnoszą się one bynajmniéj nie do Wydżgi, lecz do całkiem innéj osobistości, zmarłéj jeszcze za czasów ostatniego Wazy. W ustępie na str. 122 (wydania Wójcickiego) mówi autor o układach, nawiązanych między rządem Rzeczypospolitéj a elektorem brandeburskim w r. 1657-ym o przymierze przeciw Szwedom, i wskazuje właśnie ówczesnego biskupa warmińskiego, jako prowadzącego układy. Ze znanéj historyi tych układów wiadomo z pewnością, że przedstawicielem tym Rzeczypospolitéj był w istocie biskup warmiński, — ale zarazem, że biskupem warmińskim w r. 1657-ym był nie Wydżga, lecz Wacław Leszczyński [1]). O tym Leszczyńskim wiadomo także daléj, że został on późniéj, w roku 1659, arcybiskupem gnieźnieńskim i godność prymasa piastował do 1 kwietnia 1666 r., w którym to czasie umarł. Czy podobna, aby ktokolwiek, wydając rękopis „Historyi" dopiéro w r. 1678, nie spostrzegł się na tém, że w broszurze mowa jest o Wacławie Leszczyńskim, dawno zmarłym, jako o żyjącym jeszcze prymasie, i nie sprostował takiego błędu? Sprostowanie było w tym wypadku nader łatwe, bo nie wymagało przerabiania całego ustępu, lecz tylko przemienienia kilku wyrazów. Dziwić się należy, że taki erudyt, jak Wójcicki, mógł powyższą wzmiankę odnieść do Wydżgi zamiast do Leszczyńskiego i używać jéj jako argumentu na poparcie twierdzenia, że broszura została wydaną— około r. 1678-go! Wzmianka ta dostarcza właśnie najsilniejszego dowodu, iż „Historya" powstała i wyszła z druku przed śmiercią Wacława Leszczyńskiego, to jest przed 1-ym kwietnia 1666 roku. Wzmianek, popierających ten ostatni wniosek, jest w broszurze jeszcze więcéj. Na str. 78, 82, 102 i 123, a więc czterokrotnie, wspo-

---

[1]) Por. Walewskiego: „Historyę wyzwolenia Rzeczypospolitéj", tom II, str. 152 i następne; nadto w wydaniu Pribrama: „Berichte Lisola's", relacye z letnich miesięcy 1657 r.

mina autor o Janie Leszczyńskim jako o wojewodzie poznańskim a dzisiejszym podkanclerzym koronnym. Jan Leszczyński był podkanclerzym między r. 1660 a 1666; w roku 1667 objął już kanclerstwo wielkie koronne. I oto cztery dalsze dowody, że książka musiała wyjść z druku najpóźniéj w r. 1666. Datę wydania można posunąć jeszcze daléj wstecz przy pomocy wzmianki, znajdującéj się na str. 87. W toku opowiadania dziejów wojny szwedzkiéj napomyka autor o generale Wolffie, jako staroście dynaburskim i teraźniejszym magistrze artyleryi. Otóż Frombold a Ludinghausen Wolff, o którym mowa, żył tylko do 17 listopada 1665 r.; jeżeli więc w powyższym ustępie jest mowa o nim jako o żyjącym, broszura nie mogła być wydana późniéj, jak w listopadzie 1665 r. Ostatecznie zatém choćby się okazało nieprawdziwém, że istnieje jakiś drukowany egzemplarz „Historyi", opatrzony wyraźnie datą wydania r. 1660, — to wedle mego przekonania nie może ulegać żadnéj wątpliwości, że „Historya" została nietylko napisaną, ale także i wydaną drukiem między r. 1660 a 1665-ym. Domysł Wójcickiego co do rzekomego wydania broszury około r. 1678 jest pozbawiony wszelkiéj podstawy. Wydawcy chodziło widocznie o to, aby przez wyrobienie uznania dla przypuszczenia, iż panegiryk na cześć królowéj został wydany dopiéro po jéj śmierci, podnieść wartość źródłową „Historyi". Tendencya zamąciła równowagę zmysłu krytycznego. Jeśli Wydżga jest w istocie autorem panegiryku, to nie można go uwolnić od podejrzenia, iż pisał tendencyjnie, w celu przysłużenia się Ludwice Maryi: wskazuje to i szczegół, zawarty w anonimowym druku p. t. „*Exercitatio ad Nicolai Chwalcovii Jus publicum regni Poloniae*", którego autor, jak już przytaczałem, utrzymuje, że „Historya" wyszła tylko w 80 egzemplarzach i była rozdawana magnatom „*ex gratia reginae Ludovicae...*"

Najwięcéj znany i czytywany obok Pamiętników Paska jest Pamiętnik współczesnego mu Mikołaja Jemiołowskiego, obejmujący czasy od r. 1648 do 1679. Rękopis wykrył i ogłosił August Bielowski we Lwowie, w r. 1850. Nie było w rękopisie nazwiska autora: ale uczony wydawca bardzo zręcznym sposobem doszedł do pewności, że rzecz wyszła z pod pióra ziemianina województwa bełzkiego, Jemiołowskiego. Uznając, że wywód autorstwa jest trafny i ścisły, mam natomiast do zarzucenia wydawcy, że nie postarał się o dokładniejsze określenie czasu powstania Pamiętnika. Bielowski ogranicza się w przedmowie (str. VI) ogólnikowém twierdzeniem, że autor spisał swoje wswomnienia za panowania Jana III-go. Pamiętnik urywa się na r. 1679, Jemiołowski umarł zaś w r. 1693: od Bielowskiego można się zatém dowiedzieć tylko tyle, że Pamiętnik powstał między rokiem

1679 a 1693-im. Czy nie można by tych granic chronologicznych ścieśnić? Bliższy rozgląd w treści Pamiętnika okazuje, że można. Najbardziéj pomocnemi będą nam wzmianki, znajdujące się na str. 229, 266 i 283.

Na str. 229, pod r. 1673, po wzmiance o śmierci prymasa Prażmowskiego, czytamy: „Arcybiskupstwo zaraz księciu Czartoryskiemu konferowano, a biskupstwo kujawskie Żegockiemu, ale on go ani skosztował, nominatem w tymże roku umarł, a Gębickiego sukcesorem zostawił. Ale i ten dla pewnych przyczyn sakry w Rzymie otrzymać nie mogąc, tegoż biskupstwa ani powąchał, ale prędko zmarłszy, Madalińskiego płockim, na którym sam był, a Sarnowskiego biskupa przemyskiego miał sukcesora. Znowu Madaliński po Sarnowskim na kujawskie nastąpił, a płockie Dolski (mylnie w rękopisie, faktycznie: Dąbski) po Żegockim chełmski, a po Lityńskim (mylnie w rękopisie, faktycznie: po Leżeńskim) łuckie otrzymał." W ustępie tym, niejasno wystylizowanym, mowa jest pod r. 1673 o zmianach, jakie zachodziły w rządach kilku dyecezyi o wiele późniéj, po roku 1673, w czasach aż po rok 1680. Wymieniony naprzód Gębicki umarł jako biskup kujawski w r. 1675; po nim był biskupem kujawskim w istocie Sarnowski do r. 1680, po Sarnowskim do r. 1691 Bonawentura Madaliński. Biskupem łuckim był do r. 1675 Tomasz Leżeński, a po nim do r. 1681 Stanisław Dąbski. Biskupstwo płockie trzymał do r. 1674 Gębicki, po nim do r. 1680 Madaliński, a wreszcie od r. 1680—1691 Stanisław Dąbski [1]). W chwili więc, kiedy autor spisywał wspomnienia z roku 1673-go, wiedział już o zmianach, jakie zaszły dopiéro w r. 1680-ym. Stąd wniosek, że pisał swój pamiętnik, przynajmniéj tę jego część, która odnosi się do czasów Sobieskiego, najwcześniéj w r. 1680.

Na str. 266 i 283 mówi autor znowuż o losach ordynacyi Ostrogskiej i jéj dziedziców w czasie między r. 1673 a 1683. Wspominając w pierwszym ze wskazanych ustępów o ks. Dymitrze Wiśniowieckim, wojewodzie krakowskim i hetmanie, dodaje takie szczegóły: „Więc i pustoszenie książę Wiśniowiecki dóbr swoich na Podolu, na Wołyniu alegował, i tak przy tych ordynackich dobrach imieniem małżonki swéj został i aż do śmierci one trzymał, po którego zaś zejściu taż księżna Ostrowska za synowca tegoż kawalera maltańskiego za mąż poszła i dóbr tych onego społecz-

---

[1]) Szczegółowe i po części źródłowo uzasadnione tabele dygnitarzy duchownych z drugiéj połowy XVII wieku sporządził Kluczycki i ogłosił je na końcu 2-éj części I tomu wydawnictwa: „Aktów do czasów Sobieskiego" (wyd. krak. Akad. Umiej.).

nikiem uczyniła. Ale się to późniejszych działo czasów etc." Znajdujemy w tym ustępie rocznika z r. 1677 szczegóły o śmierci Dymitra Wiśniowieckiego i o małżeństwie wdowy po nim, Teofili z Zasławskich z Józefem Karolem Lubomirskim. Otóż skądinąd wiadomo na pewno, że Dymitr Wiśniowiecki zmarł w r. 1682, a wdowa po nim zaślubiła marszałka w. kor. Lubomirskiego w r. 1683 [1]. Stąd znowuż wniosek, że rocznik z r. 1677 nie mógł powstać wcześniéj, jak w r. 1683. A ponieważ całość ma formę jednolitą, robi wrażenie rzeczy napisanéj jednym ciągiem, w krótkim przeciągu czasu, przeto nie popełnimy prawdopodobnie błędu, jeżeli powyższy wniosek, odnoszący się do rocznika z r. 1677, rozciągniemy na cały Pamiętnik. Dowody, przytoczone powyżéj, przemawiają za tém, że Jemiołowski zabrał się do pisania swego Pamiętnika najwcześniéj w r. 1683; a że umarł w r. 1693, przeto czas powstania Pamiętnika można ująć w granice chronologiczne lat 1683 i 1693.

Trzecim, więcéj znanym i czytywanym pamiętnikiem z czasów Jana Kazimierza i Sobieskiego jest Pamiętnik tak zwany Łosia, znacznie mniejszy od omówionego wyżéj, ale cenny szczególniéj dlatego, że autor był świadkiem wszystkich prawie tych samych wydarzeń, które opisywał Pasek, a więc relacye jego doskonale się przydają do kontrolowania i prostowania nieścisłych opowiadań tamtego. Pamiętnik t. zw. Łosia obejmuje okres czasu od r. 1646 do r. 1667. Wydawca, Żegota Pauli, który znalazł i ogłosił w r. 1858 rękopis anonimowy, wyraził w przedmowie do tego wydania przypuszczenie, że autorstwo pamiętniczka „najprędzéj jeszcze" możnaby przypisać Władysławowi z Krzywonogi Łosiowi, stolnikowi płockiemu za czasów Jana Kazimierza, a późniejszemu wojewodzie pomorskiemu i wreszcie malborskiemu. Przypuszczenia tego nie uzasadnił jednak Pauli żadnym innym argumentem, jak tylko ogólnikowém wskazaniem na fakt, że zarówno autor pamiętnika, jak Władysław Łoś brali udział w wojnie szwedzkiéj i że obydwaj byli najwidoczniéj gorliwymi stronnikami Jerzego Lubomirskiego. Po za temi danemi, wysnutemi z treści opowiadania, chce wydawca upatrywać dowód, popiérający jego domysł, w téj jeszcze okoliczności, iż przy rękopisie Pamiętnika znalazły się notaty genealogiczne rodu Łosiów, obejmujące okres czasu od r. 1695 po r. 1712, spisane ręką Jacka z Grotkowa Łosia, podczaszego i sędziego bełzkiego: wydało się Paulemu bardzo prawdopodobném, że nietylko te notaty,

---

[1] Por. panegiryk weselny na cześć Józefa Lubomirskiego p. t. „Catena hellesponto Josephi Lubomirski etc.", wydany w Warszawie 1683 r.

ale cały rękopis należał do rodziny Łosiów i wyszedł z pod pióra któregoś z jéj członków.

Już pierwszy recenzent wydawnictwa, Julian Bartoszewicz, omawiając Pamiętnik [1]), nie mógł się wstrzymać od zarzutu, że wydawca niedostatecznie uzasadnił swój domysł, — a raczéj nie uzasadnił go wcale. Bartoszewicz ograniczył się tém twierdzeniem negatywném: sam kwestyą autorstwa pamiętniczka nie zajmował się wcale. Nie zajmował się tą kwestyą i żaden z późniejszych badaczy po czasy Szajnochy. Co do Szajnochy, wnoszę z umieszczonéj w bibliografiach Estreichera i Finkla (przy tytule Pamiętnika t. zw. Łosia) krótkiéj notatki, iż historyk ten nie wierzył w autorstwo Władysława Łosia. Widoczne to jest i w „Szkicach" Szajnochy, że zawsze przytacza on omawiany właśnie Pamiętnik z dodatkiem słów: „tak zwany Łosia." Niestety jednak ani od bibliografów naszych ani téż z dzieł Szajnochy, uwzględnionych w zbiorowém wydaniu, nie udało mi się dowiedzieć, na jakich podstawach znakomity ten pisarz opierał swoje wątpliwości. W żadnym ze „Szkiców" nie znalazłem nawet drobnego ekskursu, poświęconego téj kwestyi. Być może, że Szajnocha zajmował się nią w jakim artykule, ogłoszonym osobno, a nie objętym zbiorowém wydaniem; ale o istnieniu takiego artykułu nie mam żadnéj wiadomości.

Nie mogąc korzystać z cudzych dochodzeń, próbowałem samodzielnie zbadać kwestyę. Oczywiście, wypadło przedewszystkiém oznaczyć, ile możności, jak najdokładniéj czas powstania Pamiętnika. Żegota Pauli wystąpił w przedmowie (str. XV) z twierdzeniem, że autor „zajął się spisywaniem" onego „około r. 1670." Po bliższém rozpatrzeniu opowiadania okazało się, że określenie to jest mylném. Dosyć liczne napomknienia o osobach i ich godnościach, znajdujące się w Pamiętniku, wskazują, że nie mógł on powstać tak wcześnie. Do ustalenia granic chronologicznych, wśród których został niezawodnie spisany Pamiętnik, przydać się mogą następujące dane. Na str. 42—3 znajduje się najpierw wzmianka o Andrzeju Morsztynie jako o „dzisiejszym" podskarbim koronnym (w roczniku z r. 1659); wiadomo zaś, że ten był podskarbim od r. 1668 do 1683. Daléj (str. 47) wspomina autor o Stanisławie Jabłonowskim jako „teraźniejszym" hetmanie polnym (w tymże roczniku). St. Jabłonowski dowodził wojskiem jako hetman polny od r. 1676 do 1682. Wreszcie na str. 59 czytamy o Michale Pacu jako o hetmanie „dzisiejszym" i wojewodzie wileńskim: a wiadomo z pracy Wolffa, że Pac był hetmanem od r. 1667 a 4 kwietnia 1682 r. umarł.

---

[1]) Por. artykuł w „Bibliotece Warszawskiéj" z roku 1859-go, tom II, str. 807 — 14.

Jest w Pamiętniku i parę innych wzmianek o różnych osobistościach z ich tytułami późniejszemi; ale jedne z nich nie przydają się do ściślejszego oznaczenia granicznych terminów, drugie na razie przydać się nie mogą wobec braku dokładnych dat z życia odnośnych osób. Ale trzy zestawione wyżéj dane wystarczają do stwierdzenia faktu, że Pamiętnik musiał powstać między r. 1676 (t. j. kiedy Jabłonowski został hetmanem polnym) a r. 1682 (t. j. kiedy Pac żyć przestał), — to jest w obrębie dokładnie oznaczonego sześciolecia w czasach Jana Sobieskiego, a zatém nie za Wiśniowieckiego, około r. 1670, jak utrzymywał Pauli.

Kwestya autorstwa nie łatwa jest do wyjaśnienia, gdyż autor, jak widać z jego opowiadań, wiódł wprawdzie życie czynne, ale nie odegrał żadnéj wybitnéj roli w dziejach: był tylko jakby zwyczajnym pionkiem na widowni historycznéj. Brał udział w wojnie szwedzkiéj, w wojnach moskiewskich i wreszcie w rokoszu Lubomirskiego po stronie rokoszanina, ale nie jako dowódca, jeno jako prosty towarzysz pancerny. O sobie wspomina wprawdzie dosyć często w Pamiętniku, ale zwykle tak ogólnikowo, że trudno z tych wzmianek wyłuszczyć indywidualność autora. Dwa tylko znajdują się w opowiadaniu jego ustępy, które mogą przy pomocy nowych źródeł historycznych doprowadzić do wykrycia nazwiska autora. W opisie bitwy pod Połonką z czerwca r. 1660 (str. 51) mianowicie opowiada nasz towarzysz pancerny, że przed samą walką przypadła na chorągiew rotmistrza jego, Wacława Leszczyńskiego, straż placowa, a w jéj „fortropie” dostała się jemu samemu komenda nad piętnastą towarzystwa. Otóż należałoby dojść przy pomocy innych relacyi o bitwie, jak się nazywał dowódca owego „fortropu” z chorągwi Leszczyńskiego. Niestety, w żadnéj ze znanych relacyi drukowanych ani rękopiśmiennych (których czytałem nie mało, gdym pisał monografię wojny z r. 1660) nie znalazłem żadnéj dokładniejszéj wzmianki ani o owym „fortropie” ani tém mniéj o nazwisku jego dowódcy. Łatwo jednak być może, że w niezliczoném mnóstwie niezbadanych jeszcze i przez nikogo nieużywanych rękopisów znajdzie się jakaś tak wyczerpująca relacya, że dostarczy i wyjaśnienia owego szczegółu, o który nam chodzi. Drugie napomknienie, przydatne do rozwiązania kwestyi autorstwa, zawiéra historya wydarzeń z r. 1663. Na str. 77, mówiąc o związkach wojskowych i o układach związkowych z rządem Rzeczypospolitéj, zaznacza autor, że był sam deputatem od chorągwi krajczego koronnego, Wacława Leszczyńskiego. Wystarczyłoby więc odnaléść nazwisko deputata wymienionéj chorągwi, aby posiąść zarazem wiadomość, kto napisał nasz Pamiętnik. Ale i co do tego szczegółu poszukiwania były dotąd bezo-

wocne. Przeszło przez moje ręce mnóstwo materyałów drukowanych i rękopiśmiennych, odnoszących się do dziejów związków wojskowych za Jana Kazimierza (przejrzałem między innymi szczegółowo rękopis bibl. Czartoryskich nr. 1655, w całości dotyczący wyłącznie tego przedmiotu); ale nie zdarzyło mi się dotychczas zauważyć nazwiska deputata od chorągwi Wacł. Leszczyńskiego. Jednakże, co się dotychczas nie powiodło, może się powieść w przyszłości: bo w mnóstwie niezbadanych materyałów, o których mamy wiadomość, może się w toku dalszych poszukiwań znaléść łatwo pożądana wzmianka.

Poza dwoma powyższymi ustępami zresztą mówi autor o sobie tylko ogólnikowo. Dowiadujemy się odeń, że karyerę swoją wojenną rozpoczął gdzieś około czasów najazdu szwedzkiego; że służył w wojsku koronném, zawsze jako towarzysz pancerny, do r. 1664; że jako taki brał udział w wyprawie duńskiéj Czarnieckiego z lat 1658—1659 i następnie pod tymże Czarnieckim walczył na Litwie w r. 1660; że daléj w latach 1661 — 1664 należał do związków wojskowych i działał w toku układów z rządem jako deputat; że wreszcie w r. 1665 i 6 stawał gorliwie po stronie rokoszanina Jerzego Lubomirskiego i walczył pod jego dowództwem przynajmniéj w bitwie pod Częstochową. Na tém koniec wiadomości autobiograficznych; zresztą Pamiętnik urywa się właśnie na r. 1666, bo rocznik z r. 1667 zawiéra zaledwie dwa krótkie zdania o pięciu wierszach druku. Z całego pamiętnika widać, jak powtarzam, że autor żadnéj znaczącéj roli nie odegrał; nie osiągnął w ciągu dłuższéj służby wojskowéj żadnéj rangi, lecz zwykłym towarzyszem pozostał do końca, a największego względnie odznaczenia doznał w r. 1663, gdy go mianowano deputatem od chorągwi.

Gdy mamy na oku kwestyę autorstwa, narzuca się oczywiście naprzód pytanie, czy wszystkie powyższe dane autobiograficzne przystają do postaci Władysława Łosia, z którą je usiłował związać wydawca Pauli? Postać Władysława Łosia należy do bardziéj wybitnych w czasach Jana Kazimierza i Sobieskiego. Spotyka go się w źródłach od r. 1662 już jako stolnika płockiego, którym był co najmniéj do r. 1674. Za czasów Jana III osiągnął krzesło senatorskie: bo od r. 1681 występuje jako kasztelan chełmiński, od r. 1683 jako wojewoda pomorski, w r. 1694 jako wojewoda malborski — już tylko bardzo krótko, bo w tym samym roku zakończył życie. Ze źródeł, odnoszących się do wcześniejszego okresu życia Władysława Łosia, dowiadujemy się, że w styczniu r. 1662 jako stolnik płocki marszałkował na sejmiku ziemi dobrzyńskiéj w Lipnie, bo nazwisko jego znajdujemy umieszczone pod instrukcyą, daną posłom ziemi dobrzyńskiéj na sejm walny warszaw-

ski z r. 1662 [1]); dowiadujemy się daléj, że został w r. 1665 (19 lutego) obrany przez obywateli tejże ziemi dobrzyńskiéj, na sejmiku w Lipnie, posłem na sejm dwuniedzielny, zwołany na 12-ty marca r. 1665 [2]); dowiadujemy się, co więcéj, od świadków naocznych, że jako poseł oddziałał on decydująco na przebieg rzeczonego sejmu; gdyż zerwał jego obrady jako partyzant Lubomirskiego [3]); że nadto późniéj trzymał stronę tegoż Lubomirskiego w ciągu całego dwulecia rokoszowego, należał do najbardziéj poważanych i cenionych przyjaciół politycznych marszałka-banity, który go używał jako zaufanego powiernika nawet do misyi dyplomatycznych, np. w tajném poselstwie do elektora brandenburskiego, jak to się zdarzyło mianowicie we wrześniu i październiku r. 1666 [4]). Jedném słowem Władysław Łoś, późniejszy senator, już za czasów Jana Kazimierza zajmował stanowisko wpływowe w królestwie i jako stronnik Lubomirskiego zwłaszcza, należał do tych niewielu jednostek, z któremi się liczono i na które się oglądano jako na zdolne i wielmożne. Otóż jakkolwiek wskutek ogólnikowego sposobu wyrażania się o sobie autora Pamiętnika nie da się ani razu wykazać całkiem ściśle *alibi* Wład. Łosia w miejscach, gdzie przebywał autor tegoż Pamiętnika, a nawet są pewne podobieństwa między postaciami Wł. Łosia a tegoż autora, głównie z powodu, że oba należeli najwidoczniéj do gorliwych stronników Lubomirskiego, — to jednak zestawienie znanych szczegółów z życia Wł. Łosia z treścią Pamiętnika narzuca przekonanie, że dwie te osobistości nie mogły być identycznemi. Niepodobna, aby ten Wł. Łoś, stolnik płocki już co najmniéj w r. 1662, marszałek semiku w tymże r. 1662, a potém poseł na sejm i wysłannik dyplomatyczny Lubomirskiego, mógł służyć w wojsku po rok 1665

---

[1]) Kluczycki: Lauda ziemi dobrzyńskiéj, str. 32—34.

[2]) Tamże, str. 42—44.

[3]) Kochowski: Annal. Polon. Clim. III, str. 171. Por. nadto relacyę Hoverbecka, posła brandeb. z datą: „Warschau, d. 31 Martii 1665“ (Król. taj. archiwum państwa prus. Rep. 6, nr. 52, str. 482—5, oryg.), który dokładnie potwierdza opowiadanie Kochowskiego.

[4]) Kochowski: Ann. Pol. Clim. III, str. 171. Por. w liście Jerz. Lubomirskiego do Fryderyka Wilh., eleks. brand. z datą: „Vratislaviae, d. 14 Septemb. 1666“ (Prus. taj. arch. pań. Rep. 9, nr 16a, k. z rzędu 73) słowa: „Uti ex binis litteris meis constat iam Ser-ti V-rae destinatum meum propositum mittendi aliquem ad Ser-tem V-ram, ita mitto D-num Dapiferum Plocensem, per quem humillimum devotionis meae defero cultum etc.“ W tymże foliale archiwalnym znajduje się odpowiédź elektora na list Lubomirskiego z datą: „in arce Clivensi d. 17 Octobris 1666“, w któréj Fryderyk Wilh. poświadcza, że Łoś wywiązał się ze swojéj misyi „copiose et dextre.“

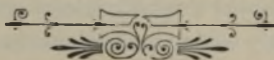
jako prosty towarzysz pancerny, jakim był faktycznie do tego czasu autor Pamiętnika; nie podobna dalej, aby autor Pamiętnika, jeśliby był w istocie Wł. Łosiem, nie wspomniał był ani słowem o roli politycznej, jaką odegrał w latach 1662—6, nie podobna zwłaszcza, żeby był nie wspomniał o marszałkowaniu na sejmiku r. 1662 ani o spowodowaném przez się zerwaniu sejmu r. 1665, fakcie bądź co bądź pierwszorzędnego znaczenia, który przecież w rozumieniu jego jako stronnika Lubomirskiego mógł uchodzić za wielką zasługę. Dziwnemby też było niesłychanie, żeby taki przyjaciel Lubomirskiego mógł służyć w wojsku onego jako zwyczajny towarzysz pancerny [1]. A tém samém nie podobna, aby autorem Pamiętnika mógł być Wład. Łoś, późniejszy kasztelan i wojewoda.

Na razie musimy się zadowolić tym rezultatem negatywnym. Kto jest autorem Pamiętnika, dotychczas wykryć się mi nie udało: do wykrycia nieznajomego mogą się przydać dane, które wyżej przytoczyłem. Jest możliwém i nawet bardzo prawdopodobném, że Pamiętnik wyszedł z pod pióra jakiegoś innego Łosia, może krewniaka Władysława, człowieka mniej znaczącego i zasłużonego, słowem, jak się to mówi, „przeciętnego," — albo może jakiegoś sługi szlacheckiego w domu Łosiów: bo za tym domysłem przemawia poniekąd okoliczność, że przy rękopisie Pamiętnika znalazły się notaty genealogiczne rodu Łosiów. Zbyt mało mamy danych biograficznych z życia innych Łosiów—poza Władysławem—z drugiéj połowy XVII wieku, abyśmy się mogli obecnie pokusić o poszukiwanie wśród innych przedstawicieli téj rodziny twórcy Pamiętnika; ale podobno w archiwach prywatnych przechowują się bardzo obfite materyały do dziejów rodu Łosiów: więc gdy powstanie z nich kiedyś wyczerpująca monografia familii, wówczas rozwiązanie téj także części zadania będzie znacznie ułatwione.

Wiktor Czermak.

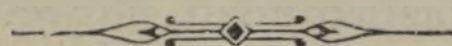
---

[1]) Że autor Pamiętnika był prostaczkiem, człowiekiem bez wybitnego stanowiska, wnosić można także ze sposobu jego wyrażenia się o własnych zwierzchnikach wojskowych. W Pamiętniku, napisanym, jak stwierdziłem, po roku 1683, wspominając fakt śmierci swego pierwszego rotmistrza pod r. 1658 (str. 33), wyraża się autor: „W tym roku rotmistrz mój jaśnie wielmożny jmp. Władysław na Mirowie, margrabia wojewoda krakowski umarł w poście." Władysław Łoś w r. 1683 sam już był wojewodą: wątpić można, aby w Pamiętniku wspominał swego rówieśnika co do stanowiska z taką rewerencyą w doborze tytułów. Wzmianka powyższa dowodzi owszem, że Pamiętnik pisał ktoś, stojący na tak niskiém stanowisku w hierarchii godności, że wojewoda był dlań „jaśnie wielmożnym," — a więc ktoś, co w r. 1683 sam w senacie ani na żadnym wybitnym urzędzie nie zasiadał.



PRZESILENIE PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE

W ANGLII.



Stopniowo tylko i powoli odbywają się zmiany w ekonomicznêm położeniu mocarstw europejskich. Zdobyte stanowiska utrzymują się zazwyczaj przez szereg stuleci i trzeba wielkich kataklizmów, potężnych przewrotów, aby hegemonia przeszła od jednego narodu do drugiego. Od dwóch wieków pierwszeństwo w przemyśle i pierwszeństwo w handlu międzynarodowym znajduje się w rękach Wielkiéj Brytanii. Był to fakt normalny, nie ulegający wątpliwości. Świat współczesny starał się wprawdzie, każde państwo u siebie, o wytworzenie miejscowego przemysłu i rękodzielnictwa, o znalezienie dla nich korzystnych targowisk i o rozwinięcie stosunków handlowych, ale chociaż działalność taka była i powszechną i energiczną, to nikomu nie wydawało się możliwêm otrząsnąć się z pod wpływu angielskiego i zająć względem przemysłu i handlu Wielkiéj Brytanii stanowisko równego z równym. Utorowane drogi, nagromadzone kapitały, tradycya zarówno jak zdolności indywidualne i społeczne zdawały się zapewniać Anglikom na długo, na długo jeszcze uprzywilejowane stanowisko.

Najmniéj o konieczności takiego stanu rzeczy powątpiewali sami Anglicy. Wzrośli i wychowali się w przeświadczeniu, że tak było, tak jest i tak być musi. Fabryki i rękodzielnie stałego lądu wytworzyły się były wprawdzie na ich wzór i podobieństwo, ale nie mogły rywali-

zować z nimi, nie posiadając ani tak udoskonalonych machin, ani węgla na miejscu w tak nieprzebranéj obfitości, ani zawodowego wykształcenia tak doskonałego: spoglądali téż na nie z politowaniem, a w najlepszym razie z obojętnością. *De minimis non curat praetor.* Będąc władczynią mórz i oceanów, widząc swe okręty rozwożące wyroby krajowe, a nawet i obce do wszystkich zakątków świata, posiadając kolonie na każdym jego punkcie, Anglicy nie podawali w wątpliwość swojego monopolu handlowego. Polityka ich ekonomiczna szła odpowiednio temu celowi. Otworzyli swe porty dla dowozu surowych materyałów z obcych krajów bez cła wchodowego, a kiedy cały świat jeżył się basztami protekcyi handlowéj, oni jedni pozostawali niezłomnie wierni zasadzie wolnego dowozu i wywozu. System wolnohandlowy okazywał się dla nich wysoce korzystnym, i oddawna przestali uważać za zbawczą prawdę ów bilans handlowy, pokazujący zwyżkę wywozu nad dowozem. Od 35-ciu lat bez wyjątku bilans ich pokazywał zwyżkę dowozu; zdarzały się lata, jak rok 1859, że wprowadzono obcych towarów o 24,000,000 funtów szt. więcéj, niż ich wywieziono, a były nawet i takie, jak rok 1877, że przewyżka ta wyraziła się w cyfrze 142,000,000 f. szt., ale oni upatrywali w tém właśnie dowód swéj potęgi przemysłowéj. I nie mogli dostrzedz, ażeby ich siły słabnęły. Dwa miliardy funtów umieścili w papiérach wartościowych zagranicznych i otrzymywali z tego źródła 75 milionów funtów rocznego procentu. Nie było granic dla wzrostu ich sił ekonomicznych, — tak się wydawało przynajmniéj każdemu przeciętnemu Anglikowi.

Od niejakiego wszakże czasu ten optymizm chmurzyć się zaczął. Pokazywały się plamy na słońcu. Wytwórczość fabryczna w téj lub owéj gałęzi stawała się trudniejszą, mniéj podajną. Na rynkach dawniéj wyłącznie opanowanych, przez dostawców angielskich, pojawiać się zaczęły towary innych narodów i, o zgrozo, bywały one i tańsze, i lepsze, i bardziéj odpowiadające smakowi miejscowemu. Dowóz angielski ograniczał się, ścieśniał wobec tych współzawodników. Cła protekcyjne wielu państw europejskich utrudniły towarom angielskim możność zbytu. Tam, gdzie przedtém bez wysiłku zbiérano złote żniwo, trzeba było zadawalniać się srebrném, ba, nawet miedzianém. Narzekania i utyskiwania przemysłowców i kupców lekceważono, dopóki nie stały się powszechnemi. Przyszła nakoniec chwila, kiedy zrozumiano, że stan rzeczy się zmienił, i że należy go zbadać. Wszystkie narody, ale przedewszystkiém Japończycy i Niemcy, okazali się niebezpiecznymi współzawodnikami handlowymi. Ale rozmiary dokonywającéj się ewolucyi zrozumiano w Anglii wtedy dopiéro, gdy stwier-

dzono, że u siebie, na własnych krajowych rynkach towary niemieckie znajdują większy zbyt od swojskich.

Z wielu stron naraz uderzono na trwogę. Dane statystyczne posypały się gradem: z wszystkich dał się wyciągnąć jeden i ten sam wniosek, że fala angielska znajduje się w odpływie, a niemiecka natomiast zaléwa świat. Delegaci metalurgii angielskiéj, wysłani na zwiady do Niemiec, sprawdzili na miejscu, że rzeczy źle dla nich stoją i że wytwórczość niemiecka produkuje i lepiéj i taniéj. Wrażenie potęgowało się z dniem każdym i ze sfer specyalnych przechodziło do szerokich warstw narodu, które się zazwyczaj o tego rodzaju zagadnienia nie troszczą, a dosięgło szczytu wskutek ogłoszenia książki p. Edwarda Edwina Williams'a: *Made in Germany*. Niewielka ta książeczka, wydana u W. Heineman'a, wyszła w przeciągu trzech miesięcy już w kilku wydaniach. Czytają ją wszyscy i rozbiérają. Ministrowie, mężowie stanu, politycy obrali ją za temat do mów publicznych; w niezliczone komentarze zaopatrzyły ją artykuły dziennikarskie, oraz studya w przeglądach tygodniowych i miesięcznych. Jedni potwierdzają, drudzy obalają jéj wywody; przeciwko jéj cyfrom i jéj metodzie stawiają inne. Obszerne plany reform, cała agitacya narodowa, zawdzięcza byt swój téj książce.

Chociaż w przekonaniu naszém obawy są przesadzone i chociaż położeniu przemysłowo-handlowemu Wielkiéj Brytanii nie grozi żadna natychmiastowa katastrofa, to zaprzeczyć się nie da, iż organizm ekonomiczny angielski zdradza tu i owdzie brak dawniejszéj czerstwości i siły. W budowie pokazują się szczerby. Nie ma jeszcze powodu mówić o upadku Wielkiéj Brytanii, ale można słusznie wykazać przesilenie, jakie istnieje i które jest zwiastunem ewolucyi głębszéj, aniżeli niedawno jeszcze przypuszczać było można. W każdym razie oddać należy hołd społeczeństwu angielskiemu za odwagę cywilną, z jaką przedsiębierze ankietę, za otwartość i szczerość bezwzględną, z jaką ją prowadzi, za energię z jaką poszukuje środków zbawczych. Tylko społeczność wykształcona, dziarska i swéj roli wszechświatowéj świadoma potrafi spojrzéć prawdzie oko w oko, i bez lęku, bez wahania zakréślić sobie nowe drogi. Ci, co jéj *requiem* śpiéwają, biorą swe własne życzenia za fakty: przyjdzie im na ich spełnienie czekać.

Zanim się przyjrzymy przesileniu przemysłowo-ekonomicznemu angielskiemu w jaskrawém świetle, jaki na nie rzuca p. E. E. Williams, nie zawadzi przypomniéć, choćby w najgłówniejszych rysach, kolei, jakiemi Wielka Brytania wzbiła się na te wyżyny, z których zepchnąć ją usiłują dzisiaj Niemcy. Jeżeli się nie mylimy, ten

rzut oka w przeszłość przyczyni się wielce do zrozumienia teraźniejszości i da klucz do otwarcia furty przyszłości.

Potęga przemysłowa i handlowa Wielkiéj Brytanii jest stosunkowo świéża. Prof. W. Cunningham w klasyczném dziele „Wzrost angielskiego przemysłu i handlu" [1]) przyznaje, że w chwili gdy Elżbieta na tron angielski wstępowała, jéj naród był wyprzedzony przez inne Europy zachodniéj pod względem działalności przemysłowéj i przedsiębiorstw handlowych. Pierwszą potęgą była wówczas Hiszpania,. dzierżąca monopol handlowy na Wschodzie i Zachodzie, a gdy kupcy angielscy szukać zaczęli rynków targowych dla zbytu rodzącego się przemysłu fabrycznego, musieli wejść w kolizyę z Hiszpanią. Znalazłszy sojusznika w Holandyi, pragnącéj zrzucić z siebie jarzmo hiszpańskie, Anglia rzuciła się z energią do owéj wojny, któréj szczęśliwym dla niéj rezultatem było, po zniweczeniu armady, odebranie Hiszpanii wszechświatowego zwierzchnictwa, otworzenie sobie drogi do Indyi i całego Wschodu. Powstają niebawem wielkie kompanie handlowe, działające jako pionierowie i jako organy wpływu angielskiego, a jednocześnie w Anglii rodzi się przemysł i powstają fabryki i rękodzielnictwo. Prześladowani w Holandyi i we Francyi protestanci przenoszą je na grunt angielski i szczepią gałązkę, która niebawem głębokie zapuszcza korzenie. Nie potrzeba przypominać, jak, dzięki systemowi merkantylnemu i monopolom udzielanym przez koronę towarzystwom i jednostkom, handel angielski wspiérał i rozkrzewiał ów rodzący się przemysł narodowy. Przewrotowa rewolucya co do tego ostatniego nastąpiła dopiéro w połowie zeszłego stulecia, pomiędzy 1750 a 1770 rokiem. Na miejscu rzemieślniczych warsztatów i pracy po domach powstają fabryki prowadzone przez maszyny. James Watt, James Hargraves, Arkwright, Crompton, Cartwright: oto dobrze znane imiona wielkich wynalazców, którzy otwarli przed przemysłem fabrycznym angielskim niezmierzone pola. Po upływie kilkunastu lat przędzalnie angielskie pracowały już dla całego świata. Maszyny coraz liczniejsze i coraz bardziéj skomplikowane zapotrzebowały żelaza, stali i węgla i zrodziła się metalurgia i wytwórczość kopalniana. Anglia przerznięta została drogami wodnemi i lądowemi dla transportu tych różnorodnych produktów: jeden wynalazek, jedno ulepszenie wywołuje drugie i na barkach karłów rozpiérają się olbrzymy. Przed końcem stulecia Wielka Brytania zepchnęła nietylko Hiszpanię, ale i Francyę z ich kolonialnych wyżyn i zajęła ich miejsce, zaćmiła handel związku hanzea-

---

[1]) Growth of English Industry and Commerce,—Cambridge, 1890—92, 2 vol. in 8-vo.

tyckiego i Holandyi. Chociaż Anglia traci Stany Zjednoczone w tym czasie, to handel jéj już wówczas na tak silnych stoi podwalinach, że się podwaja w ciągu dziesięciolecia pomiędzy 1782 a 1792 rokiem i przywóz podnosi się z 10 do 19, a wywóz z 13 do 24 milionów funtów. Wojna z Francyą i system kontynentalny Napoleona I-go nie sprowadziły na Wielką Brytanię klęsk przewidywanych przez jéj wroga, lecz przeciwnie stały się punktem wyjścia rozwoju kolonialnego i poszukiwania nowych rynków zbytu dla produkcyi. W téj to epoce Anglia obejmuje w swe posiadanie Australię i ów przylądek Dobréj Nadziei, który miał stać się zarodem jéj afrykańskiéj potęgi i wielu innych kolonialnych zdobyczy; ustala także swą władzę w Indyach. Pomimo wojny morskiéj, handel jéj rozwijał się i utrwalał. W ciągu dwudziestolecia pomiędzy 1790 a 1810 r. całość dowozu i wywozu wzniosła się z 34 do 87 milionów funtów szt. Otwarcie rynków południowéj Ameryki było jedną z przyczyn tak nadzwyczajnego rozwoju. Chociaż wojna z Napoleonem kosztowała Anglię nie mniéj jak 831 milionów funtów i powiększyła jéj dług państwowy o 600 milonów f. szt., chociaż przesilenie pieniężne naprężyło cały organizm narodowy do ostatnich granic, to był już nagromadzony taki zasób społeczny, a przemysł fabryczny stał już na tak silnych podwalinach, iż Wielka Brytania potrzebowała jedynie kilku lat pokoju, aby dać nowy popęd swojéj wytwórczości rękodzielniczéj i swym obrotom handlowym.

Przełomową epokę w téj sferze sprowadził wolny handel, który stał się zasadą kierowniczą angielskiego świata ekonomicznego, coraz jawniéj i coraz wszechstronniéj od pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia. W swéj „Historyi handlu brytańskiego” [1]) prof. Leona Levi przypomina, że w r. 1820, Wielka Brytania ze swemi 19,000,000 mieszkańców wwiozła produktów zagranicznych za 32, a wywiozła za 36 milionów f. szt. na okrętach, których zawartość wynosiła 4,000,000 beczek. Cały handel owéj epoki, w przededniu pierwszych kroków ku obniżeniu ceł i wprowadzeniu wolnego handlu, przedstawia jednak tylko $^1/_9$ część tego, jaki znajdujemy w ostatnim dziesiątku naszego stulecia. Istotnie, owe 68 mil. ówczesnych dawało na głowę mieszkańca, przeciętnie 4 funty szt., kiedy suma 749 milionów f. szt., do któréj obroty handlowe Wielkiéj Brytanii wzniosły się w r. 1890 dają już 20 funtów na mieszkańca. Gdy się wszczął, dzięki początkowaniu izb handlowych, ruch za zniesieniem ceł i formalności, krępujących dowóz i wywóz towarów, nie można było przewidzieć olbrzymich rezultatów, jakie miały być osiągnięte. Jeżeli dobrze jest znana heroiczna kampania

---

[1]) History of British Commerce from 1763—1878 — 2 ed. Murray 1880.

Cobdena i ligi przeciwzbożowéj wraz z jéj tryumfalną apoteozą, to zapominane bywa nieraz, że daleko pierwéj, bo już w r. 1823, zniesiony został monopol okrętów angielskich i że porty angielskie stanęły otworem dla dowozu towarów i produktów z krajów, które nie przestawały nakładać wysokich ceł wchodowych na angielskie. Zniesienie ceł zbożowych w r. 1846, a w trzy lata późniéj odwołanie aktu żeglugi, są pamiętnemi datami w życiu ekonomiczném Wielkiéj Brytanii. Poprzedziły je wielkie wynalazki i zastosowania pary i elektryczności do komunikacyi lądowéj i wodnéj. Drogi żelazne od r. 1830, statki parowe od r. 1838, reformy pocztowe od r. 1840, telegrafy elektryczne od r. 1846 — oto organy główne téj rewolucyi, jaka się dokonała w ustroju przemysłowo-handlowym Anglii i pozwoliła jéj wyprzedzić raz jeszcze swych współzawodników. Olbrzymie zawieruchy i przesilenia w dziedzinie przemysłu i w stanie finansowym kraju, wojna w Indyach, wojna domowa w Stanach Zjednoczonych i kryzys bawełniany co wskutek niéj wybuchł, oraz wiele innych niebezpieczeństw, grożących dalszemu rozwojowi ekonomicznemu Wielkiéj Brytanii w ciągu ostatnich lat 40-tu, nie zdołały wykoleić jéj, ani strącić jéj z piedestału, na którym stojąc górowała ponad resztą świata. Aż do chwili obecnéj wełna, bawełna, żelazo, stal, miedź z jednéj strony zasilały fabryki angielskie surowym materyałem, dawały zatrudnienie milionom ludności robotniczéj, a z drugiéj były w przerobionéj swéj formie materyałem dla handlu z całym światem i powodem wytworzenia owéj marynarki handlowéj, jakiéj nigdy przedtém nie było równéj. Dowóz zboża i artykułów żywności wszelkiego rodzaju na coraz większą skalę czynił możliwém utrzymanie w bezprzestannym ruchu téj przemysłowéj wytwórczości i téj działalności handlowéj, nie ustającéj ani na chwilę, nie wykazującéj ani wyczerpania, ani słabnącéj energii. Przy coraz szerszym obrębie swych posiadłości kolonialnych, Wielka Brytania mogła lekceważyć utratę tego lub owego europejskiego rynku handlowego: azaliż nie stały jéj otworem inne, coraz nowe, na wschodzie i zachodzie, na pustyniach i skalistych archipelagach, na ziemiach wchodzących stopniowo w krąg cywilizacyi! Jakiekolwiek trudności wewnętrzne mogła napotykać w wytwórczości przez podwyższenie ceny pracy, przez zmowy robotnicze, przez podniesienie ceny materyałów, naród angielski był przekonany, iż nie przestanie być fabrykantem i dostawcą wszystkich, niezbędnych dla świata przedmiotów i że żadna inna społeczność nie potrafi go z tego stanowiska wyprzéć. Przeświadczenie to, opierające się świadomości rozwoju historycznego w ciągu dwóch ostatnich stuleci, na zdobytém doświadczeniu i praktyce, nie zdawało się zarozumiałością, lecz tylko istotném swych sił po-

czuciem. A przecież, jak powiedziano już wyżéj, nadeszła chwila, w któréj świat angielski zadać sobie musi pytanie, czy utrzyma nadal hegemonię ekonomiczną.

Gdyby się miało dawać nieograniczoną wiarę dokumentom urzędowym, położenie Wielkiéj Brytanii, nawet obecnie, nie zostawia nic do życzenia. Ale wiadomo, że świat urzędowy jest zawsze i wszędzie usposobiony optymistycznie, a dane statystyczne, któremi rozporządza, są w stanie, szczególniéj gdy niemi manipuluje taki mistrz, jak sir Robert Giffen, dają się łatwo ugrupować w duchu odpowiadającym potrzebie chwili. Jeśli szło rządowi o uspokojenie opinii zatrwożonéj, zgorączkowanéj, zrozpaczonéj nieledwie wynikami obrazu, skréślonego w książce p. E. E. Williamsa, to celu tego stanął blisko, ogłaszając *Blue Book* przez biuro statystyczne ministeryum handlu. Dochodzi ona piszącego podczas obecnego sprawozdania. Nie wdając się w rozmaite szczegóły nieocenionéj wartości dla badacza ekonomicznego, wystarczy streścić tablice synoptyczne, porównywające wywóz i obrót cesarstwa Niemieckiego i Wielkiéj Brytanii. Porównawcze to zestawienie zaczyna się od r. 1871, t. j. od epoki utworzenia cesarstwa Niemieckiego, a raczéj od pierwszego pięcioletniego peryodu, na który te obliczenia się dzielą, t. j. od r. 1875. Pomiędzy r. 1875 a 1879 przywóz i wywóz angielski dawał przeciętnie na głowę każdego mieszkańca Wielkiéj Brytanii po 15 funt. 10 szyl. i 4 pensy. W następnych peryodach pięcioletnich wzniósł się on raz do 16 i spadł raz do 14 funtów szt., ale w ostatnim, od r. 1890 do 1894, stoi on jeszcze zupełnie prawie tak, jak przed dwudziestu laty, gdyż daje przeciętną na każdego mieszkańca 15 funt. 10 szyl. i 2 pensy: zmniejszył się tedy wszystkiego o 2 pensy. Całość obrotów handlowych za rok 1895-ty wynosi 703 mil. funtów, która to suma jest wyższa od wielu poprzedzających, z wyjątkiem r. 1890, kiedy wzniosła się do fenomenalnéj cyfry 743 milionów. Gdy przejdziemy do obrazu nakréślonego przez E. E. Williamsa, gdy wykażemy przesadę jego wniosków, brak metody jednolitéj w jego obliczeniach, to nie będziemy jednakże mogli zapomnieć o tym ubytku 40-milionowym, którego nawet dyrektor statystycznego biura, sir Robert Giffen, nie mógł pominąć. Prowadzi ona do wniosku, że na wielu punktach obawy narodowe są uzasadnione.

Przeciwstawione powyższym cyfrom cyfry niemieckiego przywozu i wywozu handlowego, wskazują mniéj rozwinięte życie ekonomiczne. W peryodzie pomiędzy r. 1875 a 1879 obrót całkowity niemieckiego handlu zagranicznego daje przeciętnie na głowę mieszkańca 7 funt. 9 szyl. i 1 pensa; w dwóch następnych pięcioletnich okresach zniża się do 6 funtów, a w ostatnim, pomiędzy r. 1890 a 1894, daje 7 funtów

4 szyl. i 11 pensów, Jest to zatém mniéj niż połowa obrotu angielskiego 15 funtów 10 szyl. i 2 pensy. Upłynie nie mało czasu, zanim Niemcy będą w stanie wznieść się do poziomu Anglików. Trzeba jeszcze dodać ten ważny punkt, że w wykazach niemieckich wywóz jest ciągle większy od przywozu: zadawalnia to protekcyonistów niemieckich, ale przez Anglików byłoby uważane za najstraszniejszą klęskę ekonomiczną. Wogóle obrót handlowy Niemiec podniósł się od roku 1884 tylko o 50 tysięcy funtów. Można dodać nawiasowo, że handel Francyi obliczony jest przeciętnie na głowę mieszkańca na 8 funtów 7 szyl. i 4 pensy, a zatém, że jest także o połowę mniejszy od angielskiego, chociaż prześciga Niemców.

Nakoniec musimy uznać słuszność spostrzeżenia sir Roberta Giffen utrzymującego, że jeżeli ogólna cyfra obrotów handlowych Wielkiéj Brytanii przestała wzrastać i nie przedstawia już tak znacznego podnoszenia się wartości, jak w okresach dawniejszych, to nie pochodzi to ani ze zmiejszonéj wytwórczości, ani ze zmniejszonéj spożywczości, ale poprostu ze zniżki w cenach. Z powodu, że towary staniały, nawet przy zwiększonym ich obrocie, nie można się pochlubić tak pokaźnemi sumami, jak dawniéj. Skoro jednak taniość towarów jest korzystną dla wielkich mas narodowych, zatém nie uskarżać się na nią, ale przyklaskiwać jéj należy.

Zaraz z pierwszych słów, jakiemi p. E. E. Williams rozpoczyna swą książkę, *Made in Germany*, poznać można ducha, co ją ożywia, a raczéj tezę, któréj bronić zamierza. „Przemysłowa wielkość Anglii zanika, a Anglia nie zna tego stanu rzeczy.” Jest to jeden z tych efektowych frazesów, które pozyskały autorowi jeszcze, gdy jego praca drukowana była w miesięczniku *New Review*, szeroki rozgłos. Sam tytuł obrany został wybornie, ale attycką jego sól zrozumiéć mogą tylko mieszkańcy Anglii. Przemysłowcy angielscy, chcąc odróżnić wytwarzane przez nich artykuły handlowe od niemieckich, wyjednali u rządu rozporządzenie, ażeby kupcy, którzy sprzedawają towary niemieckie, byli obowiązani zaopatrzyć każdy z tych artykułów cudzoziemskich etykietą lub stemplem z napisem: „produkt niemiecki”. Ostrzeżenie takie nie przyniosło dotąd, chociaż jest ściśle przestrzegane, żadnych następstw widocznych. Zdaniem p. Williamsa, może ono służyć za znamienną cechę całego obrotu handlowego dzisiejszéj Anglii. Żałować należy, że autor, wiedziony chęcią wywarcia silnego wrażenia, dbał raczéj o wymierzanie ciosów silnych, aniżeli słusznych. Na wielu punktach okazuje on powierzchowną tylko znajomość prawd ekonomicznych. Ów upadek wartości, wyrażający się zniżeniem cen, nie został przezeń należycie wyświetlony, a przecież oczywiście, że nie

dotknęła ta okoliczność saméj tylko Anglii ale i wszystkie inne kraje przemysłowe. Inną dotkliwą wadą pracy p. Williamsa jest brak ściśléj metody statystycznéj. Wyrywanie cyfr raz z téj, drugi raz z innéj epoki, porównywanie różnych gałęzi wytwórczości w niejednakowych odstępach czasu sprawiają, iż czytelnik zamiast miéć jasno przedstawiony obraz faktów wyrażających się w danych statystycznych, sam sobie torować musi drogę wśród chaotycznie nagromadzonych informacyi i szczegółów.

Są to niezaprzeczone usterki, ale jeżeli naukowo pozbawiają pracę téj wartości, którą posiadać by mogła, to praktycznie nie przyniosły jéj szwanku. Przezorna krytyka oświadczyła, że gdyby wypadło przyjąć za prawdę choćby połowę tego, co autor za taką podaje, to i tak otwarłby oczy swemu narodowi na wielkie niebezpieczeństwa, o których ten zapominał, i że się dobrze sprawie publicznéj zasłużył.

Trzy punkta zasadnicze, które autor w ciągu swéj pracy rozmaitémi szczegółami rozświeca i dopełnia, można streścić w następnych danych.

Kiedy ludność W. Brytanii w ciągu ostatnich 23 lat wzrosła o 7,000,000, wartość wywozu spadła o 30,000,000 f. szt., tak że przeciętna wartość towarów wywiezionych, która w 1872 r. dawała po 8 funt. i 1 szyllingu na głowę mieszkańca, wynosi w 1894 już tylko 5 funtów, 11 szyl. i 3 pensy.

Kiedy wartość wywozu angielskiego zmniejszała się w epoce pomiędzy r. 1883 a 1894, wartość niemieckich wyrobów przemysłowych wprowadzonych do Anglii powiększyła się o 5,000,000 f. szt. czyli o 30%.

Kiedy w tém samém dziesięcioleciu Anglia wprowadza artykułów fabrycznych z zagranicy, wartujących o 13,000,000 funtów więcéj, całość zagranicznego dowozu spada o 22,000,000 funtów. Ta ostatnia cyfra najwięcéj daje do myślenia, bo jeżeli istotnie dowóz surowych materyałów zmniejszył się tak dalece, to wniosek stąd jasny, iż fabryki i rękodzielnie angielskie ograniczyły swą wytwórczość. Ogólna zniżka wywozu, która dotknęła wszystkie kraje w ciągu kilku lat ostatnich, nie odbiła się także w taki sam sposób na wszystkich: pomiędzy 92 a 94 r. Stany Zjednoczone obniżyły swój wywóz wprawdzie o 6% a Wielka Brytania tylko o 4%. Ale Niemcy widocznie mniéj ucierpiały na tém przesileniu, skoro ich wywóz obniżył się tylko w stosunku 3%. Wynika stąd wniosek, że stosunki przemysłowe są korzystniéj ukształtowane w Niemczech. W Anglii wiele gałęzi wytwórczości zaczyna dopiéro dawać oznaki powracającéj energii, a w Niemczech właśnie te same znajdują się w pełnym rozwoju.

Jeżeli nie ulega wątpliwości, że w wielu działach wytwórczości fabrycznéj niemiecka dostawa znalazła w Anglii szerokie pole zbytu, to autor przesadza twierdząc, że 9/10 przedmiotów codziennego użytku w domach angielskich są pochodzenia niemieckiego. W ostatnim, 1895 roku, zadeklarowana wartość towarów niemieckich, sprowadzonych do Anglii, była następująca:

wyroby ze stali i żelaza	1,220,000	f. szt.
„ wełniane	1.016,694	
„ papierowe	586,835	
instrumenta muzyczne	563,018	
wyroby bawełniane	536,471	
zabawki dziecinne	459,944	
porcelana i fajans	216,876	
druki, fotografie, litografie	111,825	
wyroby lniane	91,237	

Obok téj tablicy, któréj pewne pozycye są istotnie niespodziane i wysoce zadziwiające, postawić należy następującą, wykazującą jak współzawodnictwo niemieckie oddziaływa na wywóz wyrobów angielskich. Kiedy wywóz angielski zmniejsza się, niemiecki wzrasta bez przerwy. I tak porównywając rok 1884 z 1894, Niemcy wywiozły:

		w r. 1884	w 1894
do Stanów Zjednoczonych	za	8,750,000 f. szt.	za 14,500,000
„ Australii	za	315,000	890,000
„ Brazylii	za	800,000	3,175,000

Wywóz niemiecki do Japonii, który w 1869 r. wynosił zaledwie 30,000 f. szt., w 1895 r. przedstawia już 1.300,000 f. szt.

Znaczenie tego, dokonywającego się przewrotu w świecie fabrycznym zrozumiéć się da należycie dopiéro, gdy się specyalnym gałęziom ważniejszym bliżéj przyjrzymy. Nie może być lepszego przykładu jak stal i żelazo, ta gałąź przemysłu, którą z dawien dawna Anglicy uważali za narodową i która zdawało się, że jest nią istotnie ze względu na obfitość rudy i węgla, na uznaną doskonałość fabrykacyi Birminghamu, Sheffieldu i wielu innych miejscowości sąsiednich, na wyrobioną klientelę po wszem świecie. A przecież właśnie tutaj przesilenie jest widoczne. Produkcya angielska się zmniejsza, niemiecka rośnie. Pomiędzy r. 1882 a 94, t. j. w ciągu lat jedenastu, produkcya surowego żelaza w Anglii spadła z 8,500,000 do 7,365,000 beczek, kiedy w ciągu siedmiu lat od 1878 do 1885 produkcya niemiecka podskoczyła z 2,147,000 do 5,788,000 beczek: wzrost istotnie bezprzykładny. W r. 1880 W. Brytania spotrzebowała 18 mil. beczek rudy żelaznéj a Niemcy tylko 7 mil. W 1892 r. oba narody wyprodukowały je-

dnakową ilość 11 mil. beczek. Co do stali w 1894 Niemcy wyrobiły 3,617,000 beczek a W. Brytania tylko 1,535,000. To samo dzieje się z wyrobami żelaznemi i stalowemi, co z surowém żelazem. Wywóz ich do Niemiec spadł pomiędzy 1890 a 95 r. z 374,000 do 298,000. Druty telegraficzne, których wywieziono w 1891 za 196,000 f. szt., spadły w 1895 r. aż do 22,000. Narzędzia i naczynia żelazne spadły jednocześnie z 68 do 55,000 funtów szt., machiny parowe z 396 do 146,000. Temu ogólnemu upadkowi wywozu żelastwa angielskiego należy przeciwstawić równie ogólny wzrost przywozu niemieckiego. W r. 1891 wyroby żelazne niemieckie wprowadzone do Anglii obejmowały 110,000 beczek, angielskie zaś wysłane do Niemiec tylko 32,000 beczek. Ażeby nie przeciążać uwagi czytelnika cyframi, pomijamy te, które wykazują przywóz żelastwa niemieckiego do kolonii brytańskich; są one równie dosadne. Można powiedzieć, że przemysł niemiecki wyrugował tam, a przedewszystkiém w Australii dowóz z Anglii. Rynek indyjski także emancypuje się od wyrobów angielskich: obok Niemców górujące stanowisko zajęła tam także Belgia. W Kanadzie 50% dowozu przysyłają także Niemcy. W Europie także zmniejszenie zbytu jest uderzające. Rosya, która w 1893 sprowadziła 78,000 beczek żelaza niemieckiego a 59,000 angielskiego, w dwa lata potém więcéj niż podwoiła swoje zakupy w Niemczech, bo wzrosły one do 161,000 beczek a jeszcze bardziéj zmniejszyła swe zakupy w Anglii do 50,000 beczek. To samo zjawisko powtarza się na bliższym i dalszym wschodzie. Anglia straciła rynek targowy w Tunetanii, na półwyspie bałkańskim, w Japonii. Nożownictwo téj ostatniéj, pośledniego wprawdzie gatunku, szerzy się na całym azyatyckim Wschodzie i rujnuje fabryki Sheffieldu.

Te dane statystyczne, któreśmy przywiedli z książki p. Williamsa, grzeszą wprawdzie nieładem, ale nie pozwalają powątpiewać, że przemysł żelaźniany angielski poniósł klęskę i że głównym jego rywalem stał się niemiecki. Pod tym względem istotny stan rzeczy był już i dawniéj znany w kołach zainteresowanych. Sprawozdanie komisyi angielskiéj z wystawy r. 1894 w Antwerpii podało fakt ten jako ekonomiczny pewnik. Od lat kilku fabrykanci angielscy zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa i zaczęli badać sposób fabrykacyi niemieckiéj. Posłyszeli może czytelnicy o niedawnym skandalu, jaki powstał w Niemczech, gdy spostrzeżono, że delegaci na zjazd górników i hut żelaznych skorzystali z okazyi, aby podstępnie odkraść Niemcom ich w tajemnicy trzymane ulepszenia przy fabrykacyi. Nawet gdyby skargi te były przesadzone, pokazują one, że w chwili obecnéj już nie Anglia ale młody przemysł niemiecki przoduje w téj gałęzi.

To co szczegółowo powiedziano o żelazie, daje się, *mutatis mutandis* powiedzieć i o innych rodzajach przemysłowéj działalności angielskiéj. Lancashire, ta kolebka i główne ognisko przędzalni wełny i bawełny, cierpi tak samo, jak stojący obok niéj Yorkshire. Lniany przemysł Ulsteru, przędza juty, która w krótkim czasie tak potężnie rozwinęła się w całéj środkowéj Anglii, okazują takie same symptomy chorobliwe. Nie ma tu jeszcze mowy o upadku, ale gdy nie ma już dawniejszego przyrostu, to i ów jest już za górą prawdopodobnie. Tém więcéj można się tego obawiać, że Niemcy zupełnie już zagarnęli i zmonopolizowali przemysł i handel artykułów chemicznych, z któremi tak nieodłącznie związana jest wytwórczość fabryczna we wszystkich nieledwie gałęziach.

Napróżno zraniona miłość własna narodowa albo sofistyczna kazuistyka silić by się starały na zaprzeczenie takiemu mnóstwu faktów jednogatunkowych: najwyżéj uda się im osłabić wrażenie, jakie one wywarły na społeczności. Nie tém się téż ona zajmuje istotnie, a przyjąwszy fakta same za prawdziwe, nie podając dłużéj w wątpliwość że hegemonia przemysłowo-handlowa Anglii chwieje się w swych posadach, zwraca się do zbadania przyczyn, które tę chorobę sprowadziły. Ta analiza, sumiennie i wszechstronnie dokonana, musi poprzedzić zastosowanie środków zaradczych, jeżeli te istnieją.

Żółw prześcignął chyżego zająca. Jak się to stać mogło? Naturalną rzeczy koleją. Bez chwili odpoczynku świat ekonomiczny organizował się, wytwarzał u siebie ogniska rękodzielnicze, szukał wylania się na zewnątrz, a przemysł angielski, przeświadczony o swéj wyższości, wiedząc że swych współzawodników o wiele wyprzedził, zależał pola. Wielka Brytania była zbyt bogata, ażeby uczuwała potrzebę do takich samych jak dawniéj energicznych wysiłków: tłuszcz czynił jéj ruchy powolniejszemi.

Jeżeli organizm ekonomiczny znajduje się w niekorzystném dla siebie środowisku, to wpłynęły na to, jak utrzymują ci którzy się pozornemi zadawalniają przyczynami, dwa czynniki: wysokość zarobku pobieranego przez robotnika angielskiego, powiększająca koszta wytwórczości i brak ceł ochronnych. Nie trudno zgadnąć z jakiego obozu rozległy się te skargi, między któremi istnieje bliskie powinowactwo. Rękodzielnik angielski przedstawiany jest jako kozioł ofiarny, a zguba jego ma być nieuchronną, skoro robotnik jest tak zuchwały, iż chce wysokiego zarobku przy coraz mniejszéj ilości godzin pracy. Robotnik niemiecki ma pracować jak wół w jarzmie od rana do nocy za małe pieniądze. Gdyby istotnie tak rzeczy stały, to nie byłoby lekarstwa na cierpienia przemysłowców angielskich. Robotnik angiel-

ski nie zgodzi się nigdy na utratę już zdobytego stanowiska, i zgodzić się na nią nie może. Ma po swéj stronie słuszność, prawo, jest organem cywilizacyi i jego aspiracye do wyższego poziomu są zbyt ściśle skojarzone z rozwojem postępowym ludzkości, ażeby cofnięcie się wstecz było do przypuszczenia. Przemysłowcy angielscy będą zmuszeni szukać na innéj drodze oszczędności: nie uda się im uczynić ich na zarobku robotników.

Ale samo twierdzenie o drożyźnie pracy w Anglii nie wytrzymuje krytyki, a porównanie z Niemcami nie jest bynajmniéj tak stanowczém jak powierzchowni spostrzegacze utrzymują. Zostając w sferze żelastwa, istnieją dokumenta urzędowe, a mianowicie raport delegatów *British Iron Trade Association* wysłanych do Niemiec dla zbadania organizacyi tego przemysłu. Wniknęli oni we wszystkie szczegóły, nawet najdrobniejsze a wnioski ich są dalekie od tych oklepanek, któremi się posługują orędownicy zmniejszenia zarobku robotników angielskich. Robotnicy niemieccy otrzymują przeciętnie taką samą płacę co angielscy, a miejscami nawet wyższą. Pracują wprawdzie o godzinę dłużéj, ale i w Niemczech niebawem godziny pracy będą zmniejszone. Ci z robotników niemieckich, którzy pracowali w fabrykach angielskich Middlesborough i Darlingtonu, zeznali nawet przed delegatami, że położenie ich pod względem płacy jest korzystniejsze niż w Anglii. Gdy się daléj weźmie na uwagę, że w Belgli robotnik jest gorzéj płacony i że pracuje dłużéj w kopalniach i hutach żelaznych aniżeli w Niemczech, a że Belgijczycy nie są w stanie wytrzymać konkurencyi niemieckiéj, to płynie stąd nieomylny wniosek, iż upadek żeleźnictwa angielskiego nie może być kładziony na karb wysokości zarobku robotników. Powód leży gdzieindziéj a mianowicie w lepszéj fabrykacyi.

Nie potrzeba rozszerzać się długo nad drugim argumentem dotyczącym ceł protekcyjnych, które rzekomo miały by postawić przemysł angielski na dawniejszéj świetnéj stopie. P. Williams jest rzecznikiem téj teoryi i mniema, że przemysłowiec niemiecki jest w stanie sprzedawać swych wyrobów taniéj aniżeli angielski za granicą, gdyż wewnętrzne jego targowisko jest zabezpieczone cłami ochronnemi przed obcém współzawodnictwem. Olbrzymi rozgłos, jaki sobie jego praca pozyskała, przypisany być musi w znacznéj części temu, że stronnictwo protekcyjne angielskie, czyli *Fair-trade*, jak się lubią zwać sami, zamierza się, posługiwać nią dla narzucenia krajowi ceł ochronnych. Rozumié się, że do takiéj rewolucyi daleko jeszcze i że się na nią nie zanosi. Anglia sama sobie takiego patentu niedołęstwa nie wyda. Nawet najgorliwsi zwolennicy protekcyi nie uważają jéj za idealną, dobrą samą

przez się instytucyę; ale przyznają, że ma to być tylko środek przejściowy, nadający się do wzmocnienia niemowlęcego, mało jeszcze rozwiniętego przemysłu: gdy naród dojrzeje, wzmoże się na siłach ekonomicznych, zrzucić ma z siebie te więzy. Otóż W. Brytania od stu lat stale wzięła rozbrat z cłami ochronnemi i ogłosiła się pełnoletnią. Twierdzić, że obecnie o własnych siłach stać nie może, byłoby abdykacyą, więcéj nawet, byłoby samobójstwem. Nic nie pozwala przypuszczać, ażeby Anglia ten skok w ciemnię uczynić zamierzała.

Gdzieindziéj tedy szukać należy środków skutecznego współzawodnictwa a przyczyn upadku nie składać na prawodawstwo albo na robotników: leżą one na własném podwórku.

Na pierwszém miejscu rzuca się w oczy różnica ogólnego nastroju u Niemców i u.Anglików. Niemcy niedawno jeszcze kraj ubogi i wyłącznie rolniczy, postanowił się zbogacić i zaprowadziwszy u siebie gospodarstwo przemysłowe, zawiązać stosunki handlowe ze światem postronnym. Raz sobie cel taki wytknąwszy, kraj ten nie spuścił go z oka i zdążał do jego urzeczywistnienia z tą samą żelazną wytrwałością, z jaką nazajutrz po bitwie jeneńskiéj przedsięwziął uorganizować armię narodową. Na tém polu przeciwnikiem ich była Fracya i wiadomo jak sobie z nią poradziły. Na polu przemysłu i handlu szło o pokonanie W. Brytanii: częściowy rezultat i tu jest już dotykalny. Dla pokonania jéj, u niéj saméj Niemcy zapożyczyli broni. W angielskich fabrykach, biurach i portach nauczyła się młodzież niemiecka przemysłu i handlu. W wybornie prowadzonych szkołach technicznych kształcili ludzi fachowych. Kapitaliści zadawalniali się małym zyskiem, kupcy stosowali się do wymagań i stosunków klienteli. O ile Anglicy byli poniewierający, nadęci, o tyle Niemcy byli uprzejmi, układni. I obecnie już pokazują się owoce tych dwóch metod działalności. Trudniéj będzie Anglikom wyzuć się z zadawnionego sposobu akcyi względem obcych społeczeństw, aniżeli Niemcom wytrwać w swoim: w tém niebezpieczeństwo dla W. Brytanii.

Nie można dość silnego położyć nacisku na ową metodę naukową, z jaką Niemcy rozwinęli u siebie wiele gałęzi przemysłowych. Zaczęli od ślepego naśladownictwa Anglików. Uorganizowali fabryki podług ich modły, sprowadzali z Anglii nie tylko machiny ale robotników, dozorców, inżenierów. Od razu zaczęli ciągnąć zyski dzięki większéj oszczędności w obchodzeniu się z surowym materyałem i ściślejszéj kontroli. Niemiecka fabryka nie marnuje niczego, nie pogardza żadnym drobiazgiem: inaczéj w wielko-pańskiéj Anglii. Ale Niemcy okazali się bardziéj postępowymi na wielu punktach. U Anglików panuje rutyna i fabryka idzie podług stałych przepisów. Nie bawią się w do-

świadczenia, nie szukają nowych zdobyczy naukowych. P. Williams przytacza fabrykę w Elberfeldzie, która płaci stałe pensye sześćdziesięciu chemikom prowadzącym doświadczenia w laboratoryach, a zakłady aniliny i sody w Manheimie mają takich chemików siedmdziesięciu ośmiu. W Anglii nikomuby na myśl nie przyszło czynić taki wydatek, uważany za rozrzutność. Rezultat pokazuje jednak, że przedsiębiorca niemiecki płaci 25% rocznéj dywidendy, że jego wyroby chemiczne wyparły wszystkie inne z rynków targowych świata. Ta pogarda wiedzy teoretycznéj, którą praktyczny (!) przemysłowiec angielski wykazuje na każdym kroku, mści się na nim dotkliwie. Niemcy dzięki doskonałym szkołom, dzięki poszukiwaniom naukowym, oświecającym i przewodniczącym bez ustanku produkcyi fabrycznéj, idą naprzód olbrzymiemi kroki.

Przez długie czasy opinia w Anglii zwykła była charakteryzować niemieckie wyroby fabryczne epitetami *cheap and nasty*, t. j. tani i pośledni. Obecnie przekonywuje się, że tak nie jest. Wyroby niemieckie są tańsze, to prawda, raz dlatego, że idzie o pochwycenie klienteli, a potém dlatego, że kupiec niemiecki zadawalnia się mniejszym zyskiem, ale co do pośledniości, pospolitości, to rzeczywistość nie odpowiada takiéj stronniczéj ocenie. Wydawcy pism londyńskich sprowadzają już teraz machiny drukarskie z Niemiec, jako doskonalsze od miejscowych. Wyższość chromolitografii, litografii, druków, introligatorstwa niemieckiego została stwierdzona. Wiele szpitali angielskich używa już wyłącznie butelek niemieckich w swych aptekach, jako lepiéj wykończonych i daleko troskliwiéj wysortowanych i upakowanych. Tam, gdzie Anglicy nie dbają i okazują lekceważenie, Niemcy umieją dopilnować i dać wyrób nieposzlakowany. Jeżeli brakuje im smaku artystycznego i oryginalności, to potrafią wybornie naśladować, wcielić się w myśl twórczą i zadowolnić wymagania klienteli.

Ten ostatni wzgląd ma wielkie znaczenie. Fabrykant angielski przywykł do narzucania swego wyrobu takim, jaki jest, i nie myśli czynić ustępstw, stosować się do miejscowych potrzeb. Niemiec, przeciwnie, uprzedza wymagania i podejmuje się dostarczać takich przedmiotów, jakich dana społeczność potrzebuje i w jakich sobie podoba. P. Williams przytacza wymowny przykład, dotyczący Rosyi. Sprowadzano tam z fabryk Lancashire'a czerwone chustki, któremi wieśniaczki rosyjskie stroją swe głowy. Były one kwadratowe, mimo życzeń wyrażanych, ażeby je robiono podłużnemi. Ponieważ wymagałaby taka zmiana nowych machin, fabrykant angielski upiérał się przy kwadratowych chustkach. Tymczasem przyszedł Niemiec, który bez chwili

wahania wyrabiać je począł podłużne. I zamiast z Manchesteru cały ten towar idzie dziś do Rosyi z Niemiec. To samo stało się w Serbii z narzędziami żelaznemi, których fabrykant z Sheffieldu nie chciał wyrabiać podług nawyknień tradycyonalnych wieśniaka serbskiego: Niemcy okazali gotowość natomiast i wyparli angielskie żelastwo. Nie potrzeba przypominać strat, jakie poniosły przędzalnie Lancashiru, nie zadawalniające wymagań indyjskiéj swéj klienteli: fabryki, które zrodziły się w Indyach, dały im pod tym względem niezapomnianą naukę.

Możnaby iść krok w krok daléj jeszcze za przykładami przytaczanemi przez p. Williamsa, wykazującemi odmienne sposoby działalności handlowéj dwóch współzawodniczących narodów. Kładzie on nacisk na gotowość Niemców do przyjmowania drobnych obstalunków, któremi Anglik pogardza, a które z biegiem czasu wzmagają się i rosną; na znajomość obcych języków, przez którą podróżnik niemiecki pozyskuje klientelę, na sprzedawanie towarów na miary i w monecie istniejącéj w danym kraju, na czujność i zabiegliwość konsulatów niemieckich, które są istotnie biurami handlowemi dla kupców i t. d. Nie ma jednak potrzeby wchodzić tutaj w większą ilość szczegółów. Powyższe mogły wykazać przyczyny nadzwyczajnego postępu Niemiec, a stopniowego upadku Anglików.

Jak powiedziano wyżéj, ci ostatni zbudzili się ze swego odrętwienia i poznali rozmiary grożącego im niebezpieczeństwa. Rozpoczęła się wielostronna agitacya ku odzyskaniu straconych pozycyi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wielu dawniejszych ministrów, jak lord Rosebery, lord Spencer, p. Asquith, oraz będących u steru rządu, jak książę Devonshire, lord Jerzy Hamilton, sir W. Hart-Dyke i wielu wybitnych mężów stanu zabiérało głos w téj sprawie. Wszyscy kładą nacisk na nieodzowną potrzebę organizacy szkoły średniéj i techniczenéj, wszyscy się zgadzają na to, że Niemcy przez systematyczne, doskonałe kształcenie jednych pokoleń po drugich wznieśli się na wyżyny. Anglicy tą samą drogą iść winni. Nie ma dwóch dróg do téj mety, lecz jedna tylko. Ale łudzić się nie można, aby taka reforma — a miałoby się prawo mówić nie o reformie, ale o całkiem nowéj organizacyi szkolnictwa — przyniosła natychmiastowe owoce. Trzeba będzie na nie czekać całe lat dziesiątki. Energia rasy anglo-saskiéj przyjdzie tu w pomoc, a zasób ekonomiczny kraju, jego bogactwo, już posiadane stanowisko pozwolą przetrwać ten okres przechodni bez nowych strat i porażek.

Ale nie wszystko zależy od szkoły. Przedsiębiorcy, fabrykanci i kupcy angielscy mają szerokie pole do ulepszeń, przeistoczeń i do

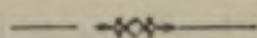
postępu każdy w swéj sferze działalności. Bodziec konieczności zaostrzy i spotęguje takową. Spostrzedz już można okazy ruchliwości dotąd za zbyteczną uznawanéj.

Przyszłość pokaże, czy uda się Wielkiéj Brytanii tak długo posiadaną hegemonię przemysłowo-handlową utrzymać. Zadanie będzie twarde, bo u całéj ludzkości coraz silniéj wyrabia się poczucie niezależności ekonomicznéj, twarde — ale Anglicy nie tracą nadziei, że mu podołać potrafią. Taka wiara w siebie jest już początkiem powodzenia.



SUFLER.

NOWELA.



Pomimo jesiennie słotnego października, szedł Marceli Czekajski w przetartéj cienkiéj zarzutce i w cieńszém jeszcze letniém ubraniu, wydętém wiatrem i przesyconém wilgocią ulicznéj deszczówki. Skrzywione jego kamaszki zachowały wprawdzie ślady zgrabnéj formy, przepuszczały jednak przez szpary podzelowań krople wody. Zatrzymał się przed parterowym domkiem, poczernionym godłami kręgielni, bilardu i napisami różnemi i rzewnie przez chwilę spoglądał na garść ludzi, rozmodlonych naprzeciw przy framudze kościelnéj, wyobrażającéj świętą Magdalenę, klęczącą u rozkrwawionych stóp Chrystusa. Ofiarne świeczki chwiały się na kamiennéj balustradzie, krople dżdżu skośnie padały, ale lud śpiewał i śpiewał, choć mu wiatr głos porywał, zanim przetworzył się w melodyą. Czekajski z wahaniem nacisnął klamkę szynkowni.

— Pięćdziesiąt reńskich na tablicy, szkoda próbować...

Trzech ludzi siedzących przy cératowym stole między odrapaną ścianą a żółto pokostowaną ladą krzyknęło równocześnie:

— Panu dyrektorowi !...

Przetarł zamglone szkła „cwikiera" i zwrócił się do kobiéty, spartéj o kasę, mającéj niewymownie smutne spojrzenie, rozplątane na długiéj rzęsie.

— Chodźże pan do pracy, wołał jeden z grających w mundurze listonosza, z przepaską na rozbitém oku.

Ale Marceli Czekajski nie dał się nakłonić.

— Nie mogę dziś, mam próbę, za momencik zniknę.

Potém półgłosem prosił kobiétę:

— Paniunciu za osiem centów kiełbasy z kapustą i kawalątkiem chleba. Specyfik ta kapusta, jak najlepsza konfiturka.

Zjadł prędko, pożądliwie, poczém ośródkę zawinął w chustkę i znowu przystanął przed ladą:

— Paniunciu dzisiejsze po raz ostatni na tablicę. Czybym nie mógł także skredytować kiełbasy za dziesięć centów dla kotka, prze-ślicznego białego kotka...

Podeszła milcząco do wieszadła nad szynkfasem, odcięła pręt mięsa, pokryła go ćwiartką słomianego papiéru i doręczyła Czekajskiemu.

— Dziękuję, stokrotnie dziękuję, — szepnął prawie ze łzami w oczach i wysunął się na ulicę.

Kobiéta zaś zbliżyła się do tablicy i zaczęła poprawiać pozycye dłużnika. Za lekkiém pociągnięciem gąbki i nakreśleniem przedziałki sumującéj, dawna cyfra zamiast się zwiększyć zmalała o kilka dziesiątaków. Z poza stołu grających wyskoczyła z kartami wzniesionemi nad łysą, rudawą głową postać gospodarza, któréj twarz ułożona w grymas złości, groziła wybuchem.

— Znowu dobrał, ja się go postaram pozbyć, takiego gościa. Ustanie to, ustanie, niesłychana rzecz, co się u mnie dzieje! Ty go karmisz...

Ona zawstydzona, z niewzruszonym spokojem odparła:

— Dał na rachunek guldena i dzisiejsze spłacił...

Tymczasem wdrapał się Czekajski po kojcowatéj, zakrętnéj klatce schodowéj na drugie piętro oficyny i uchylił drzwi małą lampką oświetlonéj izby. Pisk dziecięcy i kwilenie niemowlęcia powitały go u progu.

— Tatuś! tatuś! zostaniesz z nami malutki, tam ziuziu, brrr!

Kawałek kiełbasy rozdzielił na pięć równych części między dzieciarnię. Popatrzał na kobiétę tulącą w powijakach niemowlę do piersi.

— Paulinko, brakło mléka do karmu?

— Nie, jest aż nadto.

Na kuchni spostrzegł duży dzban, napełniony po brzegi białym płynem.

— A to skąd?

— Od Mroczkowskich... Sami odprowadzili Jasia i Helenkę i zaopatrzyli nam spiżarkę. Powiedzieli, że na pewne jutro rozstrzygnie się nasza sprawa koło czwartéj.

— Tak papuś,—dowodziła Helenka,—jakie oni mają tam ciastka, jakie cukry! Chlebuś z masłem, nie jak u nas suchy. I szynka była i klekoty duże z ciencieliny... Dlaczego mamuś nie robisz takich samych? Jaś aż pokryjomu chował w kieszeń karmelki...

Ciemny szkarłat okrył gromniczno żółtą twarz Czekajskiego.

— Jakże, jakże,—potwierdzał Jaś—tam wszystkiego dotąd. Dlaczego tatuś u nich tyle, u nas nie?...

Czekajski wpadł do alkowy, zapalił łojówkę i do płomyka przyłożył stary numer gazety.

— Żebranina i kradzież,... kradzież i żebranina... W piątek był dwunasty, dziś osiemnasty, jutro dziewiętnasty. Dziewiętnastka składa się z ósemki i jedynki, niezdradliwych cyfr. Co téż ta najbliższa doba przyniesie.

Palcem zdusił knot i zwrócił się ku wyjściu.

— I odpuść nam nasze winy...

Dzieci odmawiały paciérz przed figurką Matki Boskiéj, umieszczonéj pod olejną lampką na jesionowéj podstawce.

— I odpuść nam nasze winy.. Jakie nasze? szepnął Czekajski. Rodzimy się gołębiem, wzrastamy orłem, giniemy... szakalem. Dlaczego? Gdyby duszę samotną, w puszczy błądzącą rzucono nagle w rojowisko świata, uschłaby uczciwości nawet spoglądnąwszy w oczy...

Przesunął się koło klęczących dzieci i rzekł do żony:

— Wychodzę na ulicę, wrócę przed bramą, do widzenia Paulinko.

— O zdrowie mamy, taty, cię błagamy...

Rozrzewniony zbiegłszy przed próg kamienicy, zaczął wiercić bezmyślnie skówką laski w płycie pokrytéj wklęsłemi półkolami, przeznaczonemi niegdyś do gaszenia głowni. Ktoś trącił go w ramię poufale.

— Kochany pan stale na świeżém powietrzu, nie ma nic nad artystyczny żywot. Dobranoc kochanemu panu, dobranoc!...

Skrobał ciągle skówką i gniewał się, że twarda powłoka piaskowca nie rozpada się pod naciskiew uderzeń nerwowych. Słyszał znowu głos, czuł szarpnięcie dłoni i koniecznie wyobrażał sobie, że kłaniał się i składał jakieś zapewnienia.

— Spróbuję mu może powierzyć... W starym teatrze miał rękopis już numer biblioteczny i ołówkiem wyznaczone role. Jak mi się nie powiedzie na gładkiéj drodze, pchnę przez wyższe wpływy. Pan to

rozumié?... Francuz prawi, że co kobiéta chce, Bóg chce... Zamawiam pomoc pańską do dobrego grupowania. Ale, ale czy to pan będzie suflować, bo ciekawe płyną kaczki... Sługa uniżony...

Czy ten sam, czy ktoś inny kordyalnie ściskał go, chwytał za guzik od surduta i chrząkał alkoholem przegryzioną krtanią:

— Zrobi klapę aż reduta spadnie. Dawną gwardyą ten mamin synek wygania, a spędza baletników i baletniczki. Słuchajno Marcel, masz oléj w głowie i nie trap się. Jestem dokoratorem i poradzę sobie, a jemu i tak reduta spadnie. Czego ty się do czego innego nie weźmiesz?

— Czego ty się do czego innego nie weźmiesz? — powtórzył już przytomnie Czekajski. Dlaczego? dlaczego?

Zbiérał w pamięci minione dzieje i zastanawiał się, czy jest dlań gdzieindziéj deska ratunku. Niechętnie szeregował daty i z szaréj, zamroczonéj mgłą spłynionych chwil przeszłości wydobywał niby z pordzewiałego arsenału oderwane wspomnienia. Snuły się one wiotką nicią pajęczą, czarną, szarpaną dłonią nieubłaganego losu.

Stanęła mu przed oczami przytulona do pagórków wioszczyna nad Sanem, kryjąca grób rodziców i garść szczegółów, które przylgnąwszy do umysłu dziecka, towarzyszą potém mężczyźnie do mogiły. Najżywiéj tkwił mu w umyśle moment, gdy stryj i opiekun zarazem, niezamożny dzierżawca z Tłumackiego, przyjechawszy do Sącza wezwał go do zakamarka hotelowego i wzruszonego garnął do piersi.

— Marcel, tyś już wielkie chłopczysko.

— W piątéj klasie stryju.

— To i lepiéj. A cobyś Marcel powiedział, gdybyś stracił guldena, niby zgubił...

— Zbiérałbym drugiego.

— A gdyby dwa, trzy, cztery...

— Nie wiem stryju... Możeby potrzebujący znalazł...

— A gdyby ci Marcel wydarto kawał ziemi, wody trochę szemrzącéj w rzece i dworek rodziców, cobyś uczynił?

— Martwiłbym się bardzo i płakał...

Stryj położył drżące ręce na pochyloną głowę chłopca i wpił w nią wargi pobladłe. Wnet poczuł Marceli we włosach wilgoć i łzy z nich spadające na jego skronie. Udzieliło mu się stryjowskie rozrzewnienie i niepokój, szukający w mroku jasnéj drogi.

— Dlaczego tulisz mię stryju? czy co niedobrego zawisło nad nami?

— Czekajka od tygodnia poszła na subhastę.

Poczém tłómaczył mu stryj, co to jest subhasta, jak Aron Grajower przez wyzysk i spekulacyą zagrabił jego ojcowiznę i jak mu nic nie zostało prócz żalu za dworkiem, do którego nie wróci. Odtąd zaczęła się tułaczka ze stancyi na stancyą, z poddasza do suteren, praca nocą i pogoń za lekcyami. Mimo to górował pilnością, inteligencyą nad innymi uczniami, a oczytanie w rzeczach literatury i historyi posiadał tak znaczne, że profesorzy mawiali między sobą:

— Ten pójdzie na literata...

Raz przed godziną języka polskiego odmówił pacierz w imieniu klasy. Zaledwie „amen" przebrzmiało, oznajmił nauczyciel uroczyście:

— Czekajskiego dramacik będzie przedstawiony na wieczorku Mickiewicza.

W izbie panowało milczenie i trzydzieści par oczu, napełnionych podziwem, ciekawością, zazdrością, zawisło na bladéj, zmizerowanéj, ale dziwnie promiennéj twarzy chłopca, który oszołomiony niespodzianą wieścią podchwytywał ostatnie, jeszcze w powietrzu drgające szepty modlitwy:

— Amen, amen...

Tak wzrosło jego poważanie między towarzyszami szkolnymi, a wraz z niém zyskiwał pewien rodzaj hegemonii w pozagimnazyalnych sprawach młodzieży.

Dopiéro noc dawała mu wytchnienie.

Wówczas przestrzeń ciemno-szafirowa, zacieśniona budynkami miasteczka rozpalała młodą jego głowę tysiącem nadziei i unosiła poetyczną naturę w sfery, gdzie wolna od kłopotów codziennych, rozpostartém jak żagiel skrzydłem bujała po świecie wytworzonych fantazyi i uważała ich ściągnięcie na ziemię za bawidełko łatwe do spełnienia. Śnił o pojęciu nieokreśloném, które istotę jego zachwytem i dreszczami rozkosznemi przejmowało.

Śnił o niéj, o sławie...

I sięgał jak do gwiazd złotych, do tych orlich marzeń i zdawało mu się, że jak gwiazdy po promieniach, ściągnie te ideały po tkance własnego uczucia, zbierze i urzeczywistni.

W szóstéj klasie, z początkiem wiosny została mu jedna, jedyna lekcya.

Wstydził się nie zapłacić za skrytkę swoję miesięcznéj drobnostki stolarzowi u którego mieszkał i trwożył się o upadek sił, podtrzymywanych bułką moczoną w wodzie i garnuszkami mléka. Zbiédzony odwiedził po przybyciu ze szkoły majstra Bułata.

— Panie Bułat, podobno potrzebny terminator do lakierowania?

Zapytany skinął głową.

— Ja się też nadam do tego, tylko nie zaprzeczaj...

— Pan Marceli, fi, fi, zapozwoleniem, jakby się kura imała pisania. Każdy niech chodzi wedle swego fachu. Fach jest zaś podobniusieńki du buta. Ten w nim dobrze drepce, kto ma nogę zdatną i jest przyuczony. Inteligent chce warsztatu? Fi, fi. Te inteligenty wszędzie wąchają i sieją biédę. Co twoje, to moje, co moje to twoje...

— Kiedy nikogo nie zbuntuję i zabiorę robotę do siebie.

Stolarz się wahał i liczył.

— A jak pan Marceli popsuje?

— Spróbuję...

— Ano niech będzie. Bo majster skrobiący trumny pożyteczniejszy jest od stawiającego domy. Trumna idzie do ziemi na wieki, — a tamto czas zgryzie. Wziąłem właśnie miarę z kilku nieboszczyków na jutro. Mateusz! metr sześćdziesiąt sześć...

Chłopak przyniósł białe, dębowe wieko i położył u nóg majstra.

— Dębowa z fugowanemi kantami i wygięciami. Trzeba wytrzéć drzewo glaspapiérem i pociągnąć szelakiem. Za trzy godziny zobaczę, czy może iść na paradę.

I wnoszono do klateczki Czekajskiego trumny świéżo ostrugane, wyheblowane, rozpościerające zapach surowicy dęba. Wiosną i latem płynęły przez otwarte okienko po ciemnych płatach przestrzeni złote promienie gwiazd do izdebki i rzucały pęk światła na skuloną nad trumną figurkę chłopaka, chwytającego kiedyniekiedy lichtarzyk dla skontrolowania linii politury. Gdy krzyż przytwierdzał gwoździkami na wieku i patrzał w puste, czekające na zwłoki wnętrze, ogarniało go zobojętnienie i pożądanie tego snu martwego, kładącego na królewskiéj i chłopskiéj zarazem twarzy niemość bez granic i spokój bez końca. Cisza nocy rozkołysanéj szmerami drzew, zamyślenie zawieszone w powietrzu i wonie oddychających kwiatów odrywały go od farb i trumien i przenosiły w niebiańską światłość, pozbawioną męki i goryczy. Wówczas wybiegało mu z piersi westchnienie duszy młodéj, a przecież biednéj i samotnéj:

— Chryste! weź mię do matki, do ojca!..

Ale mu się wnet włos jeżył i ognie wielkie buchały z serca. Nie, nie, owszem czuł fibry życia i wyciągał ramiona przed siebie, w dal przyszłości.

— Boże, bodaj jednego jeszcze doczekać wieczorku Mickiewicza!

Pewnego wieczora zastał go przy lakierowaniu kolega szkolny. Młodzik się cofnął i zdziwiony wybełkotał:

— Ty Czekajski przy trumnie!...

Przezwano go karawaniarzem, a chłopaki przez wstręt do nieboszczyków zaczęli go unikać i obchodzić. Gdy który suknie otarł o jego odzież obwąchiwał je natychmiast, czy nie poczuje trupiego odoru i wyrzucał z poza zaciśniętych złością warg:

— Karawaniarz!..

On zaś cierpiał, dręczył się i wypłakiwał oczy po nocach i Bóg wié kiedy bólu jego nadszedłby kres, gdyby nie wypadek, który całe miasto zainteresował.

Afisze rozlepione po rogach ulic oznajmiały przybycie teatru z prowincyi.

Czekajski zaniedbywał szkołę, natomiast kręcił się gorliwie koło prowizorycznego przybytku Melpomeny, przepisywał role aktorom i patrzał na ich grę jak na dzieła olimpijskich bogów. Dramat, sztuka, zajmowały go oddawna w książce,—teraz widział to wszystko na scenie. Czarowała go nadewszystko urokiem gry pierwsza tragiczka personelu, dziewczę młode, nadzwyczaj skromne. Czekajski nie wiedział jak i skąd się wzięły, — ale czuł niezwykłe niepokoje i nieznane utęsknienia. Gdy nie mógł powiek domknąć, gdy go prąd marzeń rozzmysławiał, widział postać ładnéj dziewczyny, płynącą z cieniów letniéj nocy jak mgła i ginącą gdzieś za bożym światem.

— To ona, niezawodnie ona...

Im zaś bardziéj burza go nurtowała, tém więcéj chmurniał i milczał i pozornie stronił od przedmiotu swego ubóstwienia. I doświadczył tego na sobie, czego wiele młodych żywiołową siłą pierwszego uczucia kochających serc doświadcza, że to kochanie wkłada w usta nieśmiałość i milczenie, umiejące za sobą mówić tylko rumieńcem twarzy i zwilgotnieniem źrenic.

Czekajski po raz ostatni odniósł rolę Paulince.

Stała na środku pokoju zarożowiona, wesoła, a z jéj oczu biło zadowolenie. Opowiedziała mu o otrzymaniu posady w teatrze krakowskim na skromnych wprawdzie i ledwie na życie starczących warunkach, lecz cóż znaczy ograniczenie się nawet do ostateczności wobec występów na porządnéj scenie i zarzucenia koczowiska od miasteczka do miasteczka. Wysłuchał spokojnie, pozornie obojętnie i rzekł:

— Pewnie i ja tam pojadę, bo mi tu źle.

— Panu tu źle?...

Nie mogła skończyć, albowiem chłopak wybiegł, raczéj uciekł rozdrażniony. Co mu się stać mogło?

Czekajskiego zaś martwiło i rozstanie i skarga, jaka mu się nieopatrznie z ust wyśliznęła. Co prawda, nie miał z kim żalem swoim się podzielić i im więcéj niepowodzenie go przytłaczało, tém bardziéj był zamknięty. I choć rozumowo tego nie pojmował, jednak doskonale odczuwał, że wraz z pomnażaniem się biéd, wraz z rozpraszaniem się ułud i nagromadzonych nadziei, dusza jego zwolna odrzyna się od zgiełku świata, chowa własną niedolę jak wstyd grzechu przed okiem ludzkiém i chętnieby ją uniosła gdzieś na krańce zapadłych pustyń, byle posiąść chwilę wytchnienia i drugą słodyczy. Ale jakiém prawem narzekał, że mu źle? Czyż nieszczęścia mają rozmiary i granice? Czyż wobec każdego bólu nie ma potężniejszego morza goryczy i rozpaczy? Gdzieś w wypisach na siódmą klasę czytał, jak świetny monarcha lamentował nad zerwaniem sejmu: wielkie bóle milczą, małe tylko krzyczą... On téż krzyczał przed nią... jego troski są drobne... Prawda, są drobne, tylko to karawaniarstwo i omijanie go jak zarażonego jest nieznośnie dokuczliwém. Zaszarpała nim zgryzota gwałtownie i zatargała wszystkie struny duszy. W uszach miał szum, a z chaosu tonów wydobywał się zgrzyt, przygłuszający wszystko:

— Karawaniarz!...

Wicher wahań i wątpliwości przewalił się po jego myślach.

— Jakto? będąc bliskim kresu, miałby nie dotrwać? A co potém na uniwersytecie?

Potém będzie łatwiéj i śmieléj spojrzy ideałom swoim w oczy. Kto wié? kto wié? I znowu prześladowało go przezwisko:

— Karawaniarz!...

Stanął na progu swéj celki. Usunął wieko trumny, zagradzające na poprzek drogę, i ucałował Chrystusa, przeznaczonego do przybicia na wierzch. Był pogodny i pełen niewzruszonego postanowienia. Do walizki zgarnął trochę marnéj przyodziewy, kilka książczyn, zeszytów i sięgnął po skrzypce, zawieszone na ścianie. Wnet rozkwilił się instrument jak pieszczony dzieciak, a grajek to podnosił się na palcach stopy, to kurczył i całe natchnienie więził w strunach. Skradający się zmrok majowy zabiérał na fali powietrznéj akord pieśni serdecznéj i niósł ją między wonie pachnących akacyi i czeremch. Kiedy przerwał, drgało jeszcze muzyką powietrze i zdawało się rozbrzmiewać refrenem pocieszenia:

— Idziesz od trumien, karawaniarzu, do nowego życia, do nowych dróg...

To nowe życie zaczęło się w większém mieście od troski o chléb. Miał ochotę kończyć gimnazyum, ale nie było sposobu. Okrążał znowu teatr i zarabiał nędznie na przepisywaniu ról. Nie zwracał się do

nikogo, wszyscy go jednak lubili siłą zdawkowego przyzwyczajenia, obiecywali nim się zająć, lecz na razie zniechęcali do konkretnego zawodu.

— To panie czysta nędza, jaka przyszłość? — Tam zapchane, szkoda czasu i hałasu, ani mysz nie przelézie. Lepiéj skończyć szkoły, a potém stoi świat otworem!...

Był sam na ziemi i nie miał nikogo, ktoby naprawdę mógł, umiał i chciał go poprzéć na tym wielkim rynku gorączkowych zabiegów o byt i przelicytować innych spółzawodników. Ot, nędzarz zwyczajny.

Raz w czasie jesiennie dżdżystego popołudnia udał się do miasta. Spotkał wlokący się pomału pogrzéb i mimowoli rzucił okiem na duże koła karawanu. Jakieś myśli i uczucia dotychczas nieznane poplątały mu mózg i dotkliwém przejęły cierpieniem. Dręczyć poczęła go rozpacz za utratą czegoś, z czego nie mógł na razie sprawy sobie zdać, ani resztką przytomności uchwycić. Nagle rozwidniło się, odzyskał trzeźwość i wyłoniła się myśl nowonarodzona, myśl pierwiosnka zwątpienia:

— Czyż życie nie wygląda jak to koło?... Toczy się i toczy, rzuca ludzką istotą z jednéj sprychy na drugą, aż ginie zmiażdżona na gościńcu czasu i tam w środek ją kładą i wiozą na ostatnie odpoczywanie.

Żachnął się i błędnie przeprowadził wzrokiem kondukt.

— Boże! Boże! jak to przykro gubić po drodze woniejące kwiaty młodości...

Jak zwykle, kiedy był bardzo zgnębionym, pobiegł do Pauliny, mieszkającéj wraz z matką niedaleko teatru. Kobiéty zaraz na wstępie z niezwykłém powitały go ożywieniem:

— Panie, teraz właśnie musi być pogrzéb suflera naszego, starajże się o opróżnione miejsce...

Wzdrygnął się na wspomnienie pogrzebu, ale przyrzekł robić zabiegi, dlatego że Paulina tak sobie życzyła i biéda nie pozostawiała mu wyboru. Po kilku dniach zainstalował się już w budce. Za pierwszego guldena kupił zwój róż i zaniósł go Paulince. Podziękowała z uśmiechem.

— Proszę więcéj tego nie robić, bardzo proszę.

— A dlaczego?

Zacięła się i nic nie odpowiedziała, lecz Czekajski zrozumiał, że mu pragnęła zaoszczędzić wydatków. On zaś miał ustawicznie jeden brzask przed oczami i jedno pożądanie, aby się złączyć z tą kochaną istotą i posiąść ją niepodzielnie na zawsze.

Po upływie trzech lat poprowadził ją do ołtarza.

Uśmiéchnęło się wprawdzie doń słonko, miał własny dom i kobiétę upragnioną, ale nie mógł pokonać zniechęcenia kiełkującego na dobre w nim samym. Ciągłe suflowanie nużyło go, wstrętem napawało i kładło cień melancholii na czoło. Zamienił się na niewolnika metrowéj budy i jak pies był do niéj przykuty łańcuchem egzystencyi. Nie mógł się nacieszyć nawet tą żoną, bo ledwie łyżkę od ust odłożył biegł na stanowisko podpowiadać... Przytém tkwiło w nim wiele ogólnego przesądu do suflowania, uważał je za coś z społeczną przyzwoitością niezgodnego, a wskutek tego już nietylko jego umysł, ale i duma cierpiały.

Pewnego dnia doręczył Paulince dyrektor rólkę do opracowania.

— Dobra znajoma, nieprawdaż?—pytał.

— Nigdy nie miałam jéj w ręku...

— Jakto, więc mąż pisał w sekrecie?...

Rozpromieniona wróciła do domu i filuternie pogroziła mu paluszkiem. Potém owinęła mu szyję ramionami i tuliła go do siebie.

— Niewdzięcznik, chytra, skryta dusza...

Pozostał sztywnym, kamiennym, aż ona dłonie po sukni opuściła.

— Marcel, co tobie drogieńki?...

— Nic, nic... to wzruszenie tryumfu.

Ale rozkładała się i rozpadała w nim wola, dotąd karmiona młodością. Od dzieciństwa niemal wzlatywała ona jak feniks z piętrzących się wokół niego popiołów nędz, odsłaniała mu tęcze różnobarwne, pchała do ognistych porywów i jak zalotnica wiecznie zwodząca, a przecież wiecznie ponętna, podsycała pierzchające złudy. Teraz ją poznał dopiéro, napozór potężną, przecież łamiącą się i sypiącą się w ruiny, w walce ze światem i wytworzonemi okolicznościami. Co znaczy zaparcie się, szlachetność zapału, stałość, siła, wobec pagórków i gór fatalistycznie wyrastających na drodze pochodu człowieka? Wówczas wcześniéj, czy późniéj, wola przeobraża się w drzazgę, rozbitą o tamę ślepych niepowodzeń, wówczas moc staje się słabością, stałość chwiejnością, uczucie rozespaną obojętnością. Wówczas fatalizm oparty na przypadkowości, jak widma boi się każdego drgnienia czasu i woła w rozpaczy: co przyniesie jutro, to zagadkowe jutro?...

A on, on nie ma woli. Całe życie jest gwałtownym kontrastem jego usiłowań. W jego dłoniach wszystko murszało i rozlatywało się, jak owoce martwego morza pod dotknięciem losu, który go na dno czeluści bez wyjścia spychał. Cóż z tego, że ujrzy poetyczną tkankę swego natchnienia w teatrze, jak o tém marzył dzieckiem? W czasie tworzenia przekonał się, że jak nurek na spodzie morza perły, tak on

z duszy wybiérał i skupiał z największym trudem resztkę mknących natchnień, resztkę poetycznych drgań, niewypłoszonych jeszcze i nie spieczonych na zadżumionym piasku życia. Tak, to był jego pierwszy i łabędzi śpiéw zarazem... Chwytał z szczególną lubością te umykające na zawsze promienie niby oddech konający i wreszcie skończył, ale się wyczerpał, pustkę gniotącą poczuł. Czém wypełni ten dar, ten fluid istnienia, który mu po zbójecku wydarła rzeczywistość? Czém jest obecnie? Próżném bez dźwięku naczyniem... Jego dążenia, a gruda życia — to dwa wielkie wrogi, z których drugi przywalił pierwszego na wieki... Po co wlec dłużéj nogi po ziemi, kiedy był na własnym pogrzebie i własnemi grzebał się rękami? Po to, aby wrócić do budy, do téj budy!...

Upłynęło z górą lat dwadzieścia pięć.

Czekajski wchodził i wychodził pilnie ze swéj skrytki, jak woskowa na sprężynie przesuwana figura. Nigdy się nie spaźniał i prawie nigdy nie chorował. Był nadzwyczaj cichym, małomównym, unikającym ludzi i zgiełku. Na twarzy nosił spokój ze wszystkiém pogodzony, tylko w kąty ust wplótł się wyraz goryczy, ostatni świadek szamotań. Prędko krucze włosy krótkiéj brody sprószyła siwizna, a każde świéże pasemko srebrzyła nowa troska.

A miał ich coraz więcéj.

Prawie rok po roku kwilenie zapełniało jego mieszkanko, od czasu zaś do czasu trumienkę zeń wynoszono. Drobiazg rósł, kosztował, a w dodatku nieszczęście uszczupliło dochody. Paulinka pośliznęła się na parkiecie i utykała od téj chwili. Pożegnała się z teatrem i wyzyskiwała wolne chwile na obszywanie maleństwa. Czekajski zaś pracował jak murzyn zagnany na plantacye i to pracą szczuple nagradzaną ledwie od głodu chronił rodzinę. Gdy trzeba było sprawić spencerki lub opłacić aptekę, musiał się pokłonić lichwiarzowi Hirschowi Lande, teatralnemu dobroczyńcy, który, ubezpieczywszy się na pensyi, drogo swą grzeczność sprzedawał. Suma procentowa rychło dorównała kapitałowi, trudno było wydobyć się ze szpon wierzyciela i trzeba było okroić pensyą na utrzymanie domu. Nie mógł téż miejsca dla siebie znaleść w dusznéem mieszkanku, przegłuszonem naiwnym szczebiotem natenczas, gdy po jego duszy przepływały fale mąk bez liku. Kiedy już miał mało do oddechu powietrza, zwracał się do ściany dla uniknięcia wzroku żony i szeptał w desperacyi.

— Spokoju, na mgnienie spokoju!

Poszukał go w podrzędniejszym handelku, gdzie przy szklance piwa spędzał godziny w odosobnionym gabinecie. Dziesięć lat odwiedzał go równie systematycznie, jak budkę na scenie. Najchętniéj ga-

wędził z żoną właściciela handelku, kobiétą ładną jeszcze, choć zmizerowaną i przygnębioną. Odczuwała ona położenie Czekajskiego i ledwie się od łez wstrzymywała, gdy prosił zniżonym głosem:

— Paniuńciu, za cztery centy kiełbasy dla kotka, mam ślicznego białego kotka...

Wiedziała dla kogo podarunek i ile ust nań czeka. Zwykle co tydzień, w przededniu niedzieli lub świąt, zwracała się do odchodzącego:

— Niechże pan dzieciaczki do moich wyprawi.

Bawiło się u niéj bractwo do wieczora, poczém wesoło witało mamę Paulinę.

— Ho! ho! co ciastek, migdałów, szynki. Dla mamusi słoik konfitur, dla tatusia sér duży... La, la, la...

Lubiał siadywać Czekajski w gabineciku nad zeszytem, na którym po marginesach robił skréślenia. Kobiéta zbliżała się doń natenczas i pytała:

— Znowu poprawki...

Zastanawiał się nieco i żałośnie potakiwał:

— Kto sam dla siebie nie umié, musi umiéć dla drugich...

Tajemnicą było różnych literatów, ile Czekajski w ich dzieła własnéj przeniósł rutyny, przez lata praktycznie nabytéj. Po premierach zjawiały się zwykle w jego mieszkanku cenne, lecz nieużyteczne prezenty autorskie, jak świecidełka na etażerki, biuściki, srebrne kałamarze. Brał takie cacko w rękę i ironicznie cedził przez zęby:

— Ileżby dni żyć przez ten filigran można?... Nakarmisz dzieci moje?

Potém szła drobnostka do lombardu i za wartość kruszcu sprzedawaną była na licytacyi. Ale za nic w świecie nie brał remuneracyi za ciężką często pracę, a gdy mu ją ofiarowano cofał rękę nerwowo i płonił się wstydliwie.

— Za darmo zrobię, za darmo...

Bardzo rzadko opuszczał gabinecik, aby w głównéj izbie szynkowni zagrać w taroka ze starym listonoszem, dyetaryuszem magistratu i gospodarzem. Zwłaszcza, gdy bał się stracić parę centów lub nie miał ich w kieszeni, wymawiał się próbą albo chorobą w domu, a wówczas partnerzy spoglądali na siebie znaczącym uśmiechem:

— Płótno ma w portmonetce...

Mimo ubóstwa, szanowano go jednak wszędzie dla słodyczy, umiarkowania i niezmiernéj delikatności towarzyskiéj.

— Jaka to inteligencya wrodzona, jaki dowcip subtelny—mawiano w kołach aktorskich.

I tak doczekał Czekajski benefisowego przedstawienia z okazyi dwudziestu pięciu lat twardéj służby. Artyści mimo protestu uczcili go ucztą, dzienniki zaś i tygodniki podniosły zasługi jubilata na polu rozwoju sztuki. Czytano wzmianki, kiwano- głowami i wykrzykiwano:

— No, no, Czekajski na próbach grupuje, Czekajskiego radzi się dyrektor, reżyser...

Tarokiści także się głośno dziwili.

— Patrzcie, niezwykły człowiek, uczony i sławny...

— Wielka rzecz, sufler i kwita—zagadał drugi, tasując talią.

Wszystko przy dawném zostało, nawet się znacznie pogorszyło.

Od jesieni teatr przenosił się do nowego budynku, pod nowy zarząd, a stara dyrekcya wypowiedziała kontrakty personelowi.

Znaleźli się wszyscy rozpędzeni, rozproszeni, niepewni dnia dzisiejszego, niepewni jutra. O uporze i cezaryańskich zachciankach przyszłego przedsiębiorcy krążyły różne wieści, a ugody już zawarte, rozpędzenie zasłużonych i zgranych aktorów, książęce pensye dla całego szeregu nieużytków potęgowały obawy. Czekajski trwożył się o losy swojéj rodziny, nad przepaścią już się znajdującéj. Tak, po ćwierćwieczu wyrosła jak z pod ziemi ta czarna zmora, towarzyszka chłopięctwa: nędza... Wyrosła z cieniów trumien majstra Bułata, wzmożona, silniejsza i świéci mu próchnem obrzydłych ślépi tu w téj czarnéj nocy.

— Nędza, nędza...

Golgota życia przewinęła mu się w pamięci, za sobą widział tylko ogromny tuman czadu nieszczęść, pełzających jak żmija jadowita. A na końcu tego węża stał on, żebrak, najbiedniejszy między łazarzami i pyta:

— Za co?... Za jakie winy? kto zawinił?...

— Społeczeństwo może?...

— Co to społeczeństwo? Tłum, dbający o siebie, wiecznie chciwy i w chciwości nienasycony...

— Kto zatém?

— On sam!

— Ależ on pragnął jak orzeł wzbić się nad poziomy, chodził w jarzmie, gdy inni życie niszczyli... On się nie zmarnował, więc kto go zmarnował?...

— Przeznaczenie...

— Przeznaczenie, to wiara niewidomych...

— Nie, przenigdy...

Popatrzał na Chrystusa, umieszczonego nad bramą przeciwległego domu, oświeconego blaskiem czerwonéj latarki. Ukrzyżowany zatopiony był czerwienią światła, jakby strugą krwi zalany.

— Kto winien? — Matka-przyroda kładzie w człowieka dary bogate, pozwala mu bujnym wzrastać kłosem, cóż, kiedy wiatr życia wydmuchuje z niego ziarna...

Podniósł powieki i szeroko roztwarte oczy utkwił w Chrystusie.

— Kto winien?

— Tam Syn Boży. .

Chwycił za długi drut dzwonka i wpół złamany giął się kolanami ku brukowi, trzymając się rękojeści.

— Przebacz Boże wieczny, nieśmiertelny...

Klucz zgrzytnął w zamku i stróż bramy uchylił. Czekajski się ocknął i przytomnie zagadnął:

— Czego chcecie, Macieju?

— Toli pan dzwonił...

— Ja?...

Pędem poleciał ku rynkowi i zginął w bocznéj uliczce. Wpadł do pierwszego napotkanego sklepiku i zażądał wódki. Z boku szarpano go i hałaśliwie wołano:

— Kolego Czekajski, panie Czekajski zapisać w kominie... Z nami dobrodzieju, niech żyje *sequens!*...

Kieliszki wypróżniały się szybko, gwar opilczy przechodził po izbie.

— Ululaliśmy Czekajskiego, ha, ha!

Podniósł się po północy i zachwiał na nogach. Głowa spadła mu na piersi, był strasznie niemy, kamienny i wcale niezabawny z rozlaném w kątach ust rozgoryczeniem i ziemistością na zbiedzonéj twarzy. Dwóch ludzi podgarnęło go pod ramiona i poprowadziło do domu. Maciej się zląkł i przeżegnał:

— Jezus, Marya, Józef!

Delikatnie, uważnie ujął go w pasie i przeniósł przez schody. Wtoczył się do izby i reszką instynktu namacał lichtarz. Spalił bez miary zapałek i żarzące się patyczki rzucał nieostrożnie na podłogę, niedaleko pościołki dzieci.

— Marcel, co ty robisz?—spytała z przerażeniem Paulina.

Milczenie głębokie było odpowiedzią.

Wyskoczyła w koszuli z łóżka, potarła siarnik o ścianę i nikłym snopem światła rozwidniła twarz męża.

On z pasyą ujął za świecznik i nic nie mówiąc, pragnął go wydrzéć Paulinie.

— Marcel, nie dam świécy, nie dam za nic w świecie!...

Spojrzała na niego przenikliwie i upuściła lichtarz.

— Marcel, mój Marcel, ty... ty...

Płacząc, przyłożyła dłonie do spiekłych policzków i końce palców zagmatwała między zwoje włosów. Niemowlę zakwiliło, a reszta dzieci zbudzona krzykiem chóralnie zapłakała.

— Mamuś, gdzie mamuś?

Wzięła niemowlę do piersi i ponownie światło rozniecila. Czekajski stał osłupiały na tém samém miejscu, wciąż zzapadniętą na piersi głową. Paulina ułożyła dziecię w kołysce, naciskała jedną nogą biegun, drugą wolną postąpiła ku mężowi, rozebrała go i na chwilę wyswobodziwszy nogę, poprowadziła go do kanapy, na któréj noce spędzał. Potém wtuliła rozpaloną głowę w poduszki i do świtu płakała.

Nazajutrz Czekajski ze wstydu zamierzał się chyłkiem z domu wykraść, aby nie patrzéć żonie w oczy i w nich pogardy dla siebie nie czytać. Kiedy na palcach zbliżał się ku drzwiom, usłyszał głos łagodny, dobry:

— Marcelku, bez śniadania przecież nie wyjdziesz...

Unikał jéj źrenic i na oślep podniósł dłoń żony do ust. Ona pocałowała go w czoło i rzekła zachęcająco:

— Dziś, Marcelku, wesoły nastąpi dla nas dzień...

Obustronnie starano się nie wspominać o ubiegłéj nocy.

Czekajski kilkakroć schodził na ulicę, wracał i niecierpliwym krokiem mierzył izbę. Dokuczał mu kaszel natrętny i kłócie w płucach. Przypomniał sobie, że podeszwy rozluźnione przepuściły wczoraj dużo dżdżu pod stopę. Ot, zwykłe, niewarte uwagi zaziębienie... Co chwila błąkał się w okolicy ściennego zégara, sam jednak nań nie spojrzał.

— Paulinko, dużo do czwartéj?—pytał ciągle.

— Dużo jeszcze, Marcel, dużo, połóż się, bo cię zakrztusi.

Przygotowała wodę z cukrem i podchodząc do męża, obciérała jego spocone czoło.

Przed czwartą zeszedł Czekajski na dół. Obok mieszkanka stróża na podwórzu usłyszał ożywioną rozmowę.

— Jakiż to?—badał Maciej — czy taki niby pojedyńczy, czy podwójny?

— Ma żonę i dzieci, niski, czarny...

— Rychtyk, to ten z tyjatru. Trzecie piętro, oficyna, lumer dziesiąty.

Popatrzał na Chrystusa, umieszczonego nad bramą przeciwległego domu, oświeconego blaskiem czerwonéj latarki. Ukrzyżowany zatopiony był czerwienią światła, jakby strugą krwi zalany.

— Kto winien? — Matka-przyroda kładzie w człowieka dary bogate, pozwala mu bujnym wzrastać kłosem, cóż, kiedy wiatr życia wydmuchuje z niego ziarna...

Podniósł powieki i szeroko roztwarte oczy utkwił w Chrystusie.

— Kto winien?

— Tam Syn Boży. .

Chwycił za długi drut dzwonka i wpół złamany giął się kolanami ku brukowi, trzymając się rękojeści.

— Przebacz Boże wieczny, nieśmiertelny...

Klucz zgrzytnął w zamku i stróż bramy uchylił. Czekajski się ocknął i przytomnie zagadnął:

— Czego chcecie, Macieju?

— Toli pan dzwonił...

— Ja?...

Pędem poleciał ku rynkowi i zginął w bocznéj uliczce. Wpadł do pierwszego napotkanego sklepiku i zażądał wódki. Z boku szarpano go i hałaśliwie wołano:

— Kolego Czekajski, panie Czekajski zapisać w kominie... Z nami dobrodzieju, niech żyje *sequens!*...

Kieliszki wypróżniały się szybko, gwar opilczy przechodził po izbie.

— Ululaliśmy Czekajskiego, ha, ha!

Podniósł się po północy i zachwiał na nogach. Głowa spadła mu na piersi, był strasznie niemy, kamienny i wcale niezabawny z rozlaném w kątach ust rozgoryczeniem i ziemistością na zbiedzonéj twarzy. Dwóch ludzi podgarnęło go pod ramiona i poprowadziło do domu. Maciej się zląkł i przeżegnał:

— Jezus, Marya, Józef!

Delikatnie, uważnie ujął go w pasie i przeniósł przez schody. Wtoczył się do izby i reszką instynktu namacał lichtarz. Spalił bez miary zapałek i żarzące się patyczki rzucał nieostrożnie na podłogę, niedaleko pościołki dzieci.

— Marcel, co ty robisz?—spytała z przerażeniem Paulina.

Milczenie głębokie było odpowiedzią.

Wyskoczyła w koszuli z łóżka, potarła siarnik o ścianę i nikłym snopem światła rozwidniła twarz męża.

On z pasyą ujął za świecznik i nic nie mówiąc, pragnął go wydrzéć Paulinie.

— Marcel, nie dam świécy, nie dam za nic w świecie!...

Spojrzała na niego przenikliwie i upuściła lichtarz.

— Marcel, mój Marcel, ty... ty...

Płacząc, przyłożyła dłonie do spiekłych policzków i końce palców zagmatwała między zwoje włosów. Niemowlę zakwiliło, a reszta dzieci zbudzona krzykiem chóralnie zapłakała.

— Mamuś, gdzie mamuś?

Wzięła niemowlę do piersi i ponownie światło roznieciła. Czekajski stał osłupiały na tém samém miejscu, wciąż zzapadniętą na piersi głową. Paulina ułożyła dziecię w kołysce, naciskała jedną nogą biegun, drugą wolną postąpiła ku mężowi, rozebrała go i na chwilę wyswobodziwszy nogę, poprowadziła go do kanapy, na któréj noce spędzał. Potém wtuliła rozpaloną głowę w poduszki i do świtu płakała.

Nazajutrz Czekajski ze wstydu zamierzał się chyłkiem z domu wykraść, aby nie patrzéć żonie w oczy i w nich pogardy dla siebie nie czytać. Kiedy na palcach zbliżał się ku drzwiom, usłyszał głos łagodny, dobry:

— Marcelku, bez śniadania przecież nie wyjdziesz...

Unikał jéj źrenic i na oślep podniósł dłoń żony do ust. Ona pocałowała go w czoło i rzekła zachęcająco:

— Dziś, Marcelku, wesoły nastąpi dla nas dzień...

Obustronnie starano się nie wspominać o ubiegłéj nocy.

Czekajski kilkakroć schodził na ulicę, wracał i niecierpliwym krokiem mierzył izbę. Dokuczał mu kaszel natrętny i kłócie w płucach. Przypomniał sobie, że podeszwy rozluźnione przepuściły wczoraj dużo dżdżu pod stopę. Ot, zwykłe, niewarte uwagi zaziębienie... Co chwila błąkał się w okolicy ściennego zégara, sam jednak nań nie spojrzał.

— Paulinko, dużo do czwartéj?—pytał ciągle.

— Dużo jeszcze, Marcel, dużo, połóż się, bo cię zakrztusi.

Przygotowała wodę z cukrem i podchodząc do męża, obciérała jego spocone czoło.

Przed czwartą zeszedł Czekajski na dół. Obok mieszkanka stróża na podwórzu usłyszał ożywioną rozmowę.

— Jakiż to?—badał Maciej — czy taki niby pojedyńczy, czy podwójny?

— Ma żonę i dzieci, niski, czarny...

— Rychtyk, to ten z tyjatru. Trzecie piętro, oficyna, lumer dziesiąty.

Czekajski postąpił do przybysza, ubranego w mundur woźnego teatralnego.

— Do mnie, do Czekajskiego?

— Tak, pismo pana dyrektora.

Rozdarł kopertę, przebiegł oczami arkusik, wpadł do izdebki i wręczył Paulinie blankiet.

— Co to, Marcel?—zagadnęła.

— Suflerka...

Ust nie otworzył i siedział apatyczny. Paulinka zaś niebawem klasnęła w dłonie.

— Bóg się nad nami zlitował. Podwyższono ci Marcel znacznie pensyą i mnie oddano garderobę artystek. Szlachetny dyrektor.

— Szlachetny—szeptał za nią odruchowo.

— Przytém podnosi zasługi twoje, prosi o pomoc...

— Prosi...—powtarzał jak echo.

— Marcel, czemuś jakby z krzyża zdjęty? Dzieci, ucałujcie tatę w ręce i buzię...

Gromadka się zbliżała, ale nie ochoczo, z nieufnością spoglądając na posępność ojca. On zaś dał się ściskać i całować, sam jednak sztywnie siedział jak kłoda. Nagle oruchomiała mu twarz i źrenice zamigotały:

— Paula, zwróć Mroczkowskim w dwójnasób, nie chcę podarków...

Objęła za szyję i pieszczotliwie błagała:

— Zwrócę, a jakże zwrócę... Rozwesel się tylko, Marcel, złe już minęło i ogrzewające słonko świéci nad naszém mieszkankiem. Biéda podobna jest do pajęczyny. Przędzie się i przędzie, snuje czarną nicią, aż i skończy się wić, nie mając przestrzeni. Będzie u nas jak dawniéj, gdyśmy wspólnie pracowali. Wróci to niebo najlepszych chwil, a dzieci na niém zabłysną gwiazdkami.

Ale niemota i zobojętnienie nie opuszczały Czekajskiego.

— Ty, ty, Paula, słyszysz jak stół trzeszczy? Wiész, co to znaczy?...

— Cóżby miało znaczyć?

— Śmierć!...

Zakłóło go w piersiach i kaszel przeciągły rzucił się przez gardło

— Pójdziesz Marcel do łóżka, tyś słaby.

Pozwolił się rozebrać potulnie, bez oporu. Paulina położyła mu dłoń na czoło i cofnęła się:

— Marcel, w tobie gorze!

Przywołany doktór kręcił głową i nazajutrz przyrzekł dokładną dać dyagnozę. Kiedy się pojawił w południe, ogromne pogorszenie było nadto widoczne. Wziął na bok Paulinę.

— Płuca płomieniem objęte, niebezpieczne zapalenie.

Nad wieczorem gorączka się zwiększyła i przyłączyła się duszność. Nad głową Czekajskiego, wgłębioną w poduszki, rozpływał się nimb poddania się i bezgranicznéj cierpliwości. Uczynił wysiłek wielki i poruszył wargami.

— Paulinko, niech mię przewiozą do Łazarza, koniecznie do Łazarza.

Zatopiona cała we łzach zdobyła się na protest stanowczy:

— Przenigdy!...

Stała wysmukła, energiczna, z ręką wzniesioną w powietrzu jakby przysięgać zamierzała:

— Przenigdy! przenigdy!

Czekajski nalegał, a ona obawiając się go drażnić, obiecała zapytać lekarza. Kiedy eskulap się zjawił, Czekajski, korzystając z chwilowéj nieobecności żony, rzekł:

— Panie konsyliarzu, pozwól mnie przenieść do szpitala, bo nie chcę umiérać w téj ciasnéj łupinie, abym dzieci nie straszył. Jeżeli nie dacie, wstanę i ucieknę...

Lekarz tłómaczył niebezpieczeństwo transportu, ale chory nie dał się przekonać, owszem szamotał się i targał. Widząc to, zwrócił się doktór do nadchodzącéj Paulinki:

— Na ciężką próbę panią wystawiam, ale nie ma innéj drogi wyjścia. Izba jest duszna, a nam trzeba powietrza. Dziś noc ciepła, księżycowa. Sprowadzimy chorego do Łazarza...

Wysłuchała pokornie i odparła:

— Bóg tak chce, dla dobra mego męża.

Koło dziesiątéj w nocy wnieśli tragarze ze strażnicy pożarnéj lektykę, powleczoną zielonem płótnem, wysłaną wewnątrz wygodnie, miękko. Szelest się zrobił i zamięszanie, jakby żałobnicy przyszli po zwłoki. Dzieci klęczały przed Matką Boską i modliły się z przejęciem. Kiedy dostrzegły budkę i obcych, jęknęły:

— Tatuś, nasz tatuś!

Czekajski ucałował wszystkie kolejno i prędko odwrócił głowę. Potém znalazł się w lektyce, przepuszczającéj zaledwie blady blask z zewnątrz. Czuł, że go niosą na zawsze z domu i zdawało mu się, że żywy jeszcze zamknięty został w trumnie, dźwiganéj przez najemników. Nikt nie idzie za nią i nikt się nie ogląda. Wszystko zostanie jak było... chociaż dusza jego gaśnie. A Paulinka, a dzieci ukochane?

Na te wspomnienia przytomność mu się przyćmiła, jak konający płomień w lampie. Wyobrażał sobie, że wisi przed nim mglista bania powietrzna, z któréj żona i dzieci wyciągają ręce. Mkną gdzieś w dalekie szlaki, radby z nimi lecićć i lecićć, lecz nie może; bo ciężka zmora usiadła mu na piersiach, szarpie je i kłóje. A jakież tam niebo? To nie niebo, tylko kir czarny, zahaftowany jakiemiś złowrogiemi ślepiami, z których każde spogląda nań okiem hyeny. Jezus! Marya! spada w przepaść, oto właśnie otrząsł się, już leży...

Lektykę zatrzymano przed piętrowym budynkiem. Odźwierny wyszedł na spotkanie i zagrodził drogę kobiecie, wdzierajacéj się do sieni.

— Niewolno obcym! .. Tylko doktorom wolno każdéj chwili.

Zamknął bramę i cisza zaległa naokół. Noc ładna wléwała smugi światła z jasnego nieba w kasztany przydrożne i uśmiéch księżyca zostawiała na ziemi. Trochę tego uśmiechu padło na postać kobiéty skulonéj, konwulsyjnie drżącéj, zwiniętéj w kłębek, z głową włożoną między naczółki kolan. Nagle kłębek rozwinął się i jak widmo stanął przed murem szpitalnym. Ręka tego widma sztywna skierowała się ku wschodowi i sterczała nieporuszona w zamroczonéj przestrzeni.

— Jezus, Marya! za tą bramą, za tą bramą...

I wnet było głucho i księżyc osierociałe przez kobietę miejsce okrył świetlną plamą.

Kiedy Czekajski się zbudził, nie mógł już swobodnie podnieść głowy, ani władać rękami. Przy nim była siostra miłosierdzia i z pod śnieżnego kornetu z współczuciem obejmowała wzrokiem jego twarz bolesną.

— Gdzie, mateczko, żona?

— Jutro, w dniu wizyt przyjdzie.

— Gdzie, mateczko, dzieci?

— Także jutro przyjdą.

— Do kogo należy, mateczko, jutro? Nie do wszystkich...

— Do miłosierdzia Boga i przezeń do ludzi.

Chciała go podnieść na poduszce i dać odrobinę rosołu. Zacisnął zęby i zgrzytnął. Czoło zaczęło mu się pokrywać podejrzaną, woskową barwą, która jak plama wsuwała się w policzki. Przymknął powieki i majaczył:

— Widzę cię, straszna towarzyszko moja, od zarania do grobu ze mną idąca. Nędzo! precz nędzo!

Podniósł rzęsy i przytomnie przemówił:

— Mateczko, dobrze mi, zupełnie dobrze. Przepowiadaj modlitwy za konających...

— Pójdę po księdza...

— Jeszcze nie trzeba. Przepowiadaj...

— ....Jako i my odpuszczamy. Amen.

— Amen, amen.

Oczy obrócił w słup aż w czoło się wcisnęły, mgła żółcizny przewaliła się do szyi, usta wyzionęły oddech ciężki, ostatni i trup rozpościerał się na białéj pościeli szpitalnéj, a obok niego klęczała zamodlona zakonnica.

Dyżurny doktór stwierdził śmierć i zawyrokował, że chory się przeziębił i chodził z zapaleniem. Zaraz telefonował urzędnik zakładu do biura kasy chorych.

— Umarł sufler Czekajski, ciało w kostnicy.

Po godzinie nadeszła odpowiédź.

Na żądanie zarządu teatralnego, zwłoki suflera Czekajskiego przeniesione zostaną do krypty XX. Pijarów i pochowane kosztem dyrekcyi.

Przed fasadą kościołka przy ulicy świętego Jana zgromadziła się liczna publiczność, przeważnie artyści, literaci, dziennikarze. Wchodzono do ponurego podziemia, w środku którego pod kamienną balustradą, mieszczącą ołtarzyk, stała na prostym, niskim katafalku drewniana trumna, skąpo zielenią otoczona. Leżał w niéj trup człowieka o dobréj, pogodnéj twarzy, strasznie zbiédzonéj, gromniczno-żółtéj, z wykrzywieniem skrzepłego w kątach ust bólu. Żwawo i ruchliwie roiło się na zewnątrz. Kilku pauprów ulicznych zoczywszy służbę pogrzebową zawołało:

— Łapidusze idą, idą łapidusze!

Wsunięto trumnę na karawan, obwieszono go kilku wieńcami i śród odgłosu dzwonka wieżowego ruszono na cmentarz. A za tym czarnym wozem szła kobiéta z gromadką dzieci, z jedynymi dziedzicami nędzy nieboszczyka.

Włodzimierz Koszyc.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Wł. M. Kozłowski.* **Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego** Warszawa, 1896, str. 23. — Jest to broszura przeznaczona głównie dla samouków, pragnących wiadomości swoje uporządkować, rozszerzyć i pogłębić. Autor przedstawia zwięźle (może aż zanadto) rozmaite próby, podejmowane celem uszeregowania systematycznego wszelkich umiejętności, niektóre z tych prób opatruje w zastrzeżenia krytyczne, a następnie przedstawia klasyfikacyę własną. Opiéra się ona przedewszystkiém na wyróżnieniu świata przyrody od świata ducha. Ale ponieważ łącznikiem pomiędzy jednym a drugim światem jest człowiek, jako istota poznająca i działająca, powstają tedy cztery główne działy wiedzy. Pierwszy dział to nauki o przyrodzie (matematyka i przyrodoznawstwo z włączeniem antropologii, etnologii i statystyki); drugi dział — to nauki o duchu (psychologia ogólna, psychologia ludów i językoznawstwo porównawcze, historya ideałów ludzkości: dobra, prawdy, piękna i osobowości); trzeci dział stanowi filozofia teoretyczna (logika, metodologia i filozofia nauk; teorya poznania; metafizyka); czwarty wreszcie najrozleglejszy wypełnia „wiedza społeczna i praktyczna z dwoma poddziałami: wiedza społeczna (filozofia społeczna, filozofia dziejów, etyka, filozofia religii, prawo i polityka, ekonomia społeczna, historya instytucyi państwowych, prawnych, ekonomicznych, kultów religijnych, przemysłu, handlu i techniki), oraz sztuki: *a*) piękne (teorya piękna, teorya pojedyńczych sztuk pięknych i literatury); *b*) użyteczne (w dziedzinie przyrody: technologia, budownictwo, inżynierya, rolnictwo i t. d.; w odniesieniu do człowieka pod względem fizycznym: medycyna, hygiena prywatna i publiczna, policya lekarska i t. d., pod względem duchowym: peda-

gogika i dydaktyka. Jako złączenie sztuk pięknych z użytecznemi zjawia się u naszego autora: filologia „czyli umiejętność zastosowania języków do celów piękna i poznania”. Nie można klasyfikacyi téj nazwać szczęśliwą, bo najprzód w niektórych punktach jest wielce lakoniczna (gdy ogólnikowa np. wymienia „przyrodoznawstwo”, bez wymienienia nauk poszczególnych), powtóre jest w niéj niejaki chaos zarówno w szeregowaniu nauk (gdy filozofia społeczna, filozofia dziejów, etyka teoretyczna; albo teorya piękna czyli estetyka policzone zostały do działu wiedzy praktycznéj; historya zaś ideałów ludzkości—do nauk o duchu, chociaż tamte słusznieby o miejsce w tym właśnie upomnieć mogły), jak i w podziale cząstek tych nauk (gdy np. teorya ideałów znajduje się w téj saméj rubryce, co i środki urzeczywistnienia tych ideałów; historya zaś tychże w innym zupełnie dziale i t. p.). Nie została ona dostatecznie obmyśloną i przetrawioną w składowych swych częściach; w każdym jednak razie może samouka do myślenia pobudzić; życzyćby jeno wypadało, żeby myślenie to było krytyczne. W końcu podaje autor kilka trafnych uwag co do różnorodności umysłów wśród ludzi, a zatém i co do trudności wskazania prawideł, w jakim porządku nauki studyować należy; ostatecznie jednak radzi zacząć od nauk przyrodniczych jako konkretnych, ostrzegając, że koniecznie dbać potrzeba o unikanie jednostronności w wykształceniu zarówno pod względem wyboru nauk, jak i kierunków umysłowych. Co do terminologii jedną zrobić wypada uwagę, że wyrazu humanitarny używa nasz autor niewłaściwie zamiast humanistyczny.

— **Eos**, czasopismo filologiczne, organ Towarzystwa filologicznego, pod redakcyą Ludwika Ćwiklińskiego. Rocznik II, 1895, Lwów, str. 278. — W swoim czasie podało „Ateneum” wiadomość o zawiązaniu Towarzystwa filologicznego we Lwowie i o pierwszym roczniku czasopisma przez nie wydawanego. Obecnie możemy zawiadomić czytelników, na podstawie sprawozdania zamieszczonego w roczniku drugim „Eosu” (str. 115), że Towarzystwo w dniu 31 maja 1895 roku liczyło 171 członków, wnoszących wkładki; a 59 we Lwowie, 79 w innych miastach galicyjskich prócz Krakowa, 33 w Krakowie tworzących osobny wydział. Wydział lwowski do dnia 14 grudnia 1895 r. odbył 20 posiedzeń; a wydział krakowski do 22 marca t. r. dziewięć. Zajmowano się w nich głównie odczytywaniem rozpraw i dyskusyą nad niemi. Wiele z tych rozpraw znajdujemy, w całości lub w streszczeniu, w drugim tomie „Eosu”. Rozprawy drukowane tu są po łacinie lub po polsku i mają za przedmiot specyalne, a nawet bardzo specyalne zagadnienia z zakresu filologii klasycznéj. Rzadko się tam

znajdzie rzecz popularniejsza w tym np. rodzaju, jak przekład drobnéj cząstki komedyi Arystofanesa „Żaby”, bardzo udatnie, z wielką swobodą i zacięciem komicznem dokonany przez Franciszka Konarskiego, znanego już z tłómaczenia „Rycerzy” tegoż komedyopisarza. Niektóre z rozprawek, mianowicie p. St. Schneidera, wydane osobno, były już oceniane w „Ateneum”. Z innych zaznaczyć tu wypadnie artykuł p. Kazimierza Morawskiego (po łacinie) o języku pisarzy łacińskich wieku srebrnego, Ad. Miodońskiego: „O łacinie prawników rzymskich”, p. M. Kawczyńskiego: „Dwa hymny delfickie na cześć Apollina”, p. Tadeusza Mandybura „O jednym z dyalogów Lucyana”, wreszcie p. Michała Jezienickiego: „O wydaniu chrestomatyi z utworów poetów polsko-łacińskich”. Więcéj niż połowę rocznika zajmują recenzye i krytyki, zgrupowane w 3 działy; pierwszy z nich obejmuje przegląd dzieł cudzoziemskich i naszych, odnoszących się do języka, historyi i literatury Greków i Rzymian; drugi zawiéra sprawozdania z książek i broszur, mających na widoku szkolną naukę języków klasycznych; trzeci mieści w sobie rozpatrzenie się w rozprawach z zakresu filologii klasycznéj, umieszczonych w programach galicyjskich szkół średnich. Najwięcéj recenzyi dostarczył do II-go rocznika p. Wiktor Hahn, a następnie pp. Schneider, Witkowski, Jezienicki, Jędrzejewski, Heck, Sanojca, Krczek, Kruczkiewicz, Finkel, Bostel, Górzycki i in. Nie może być zadaniem wzmianki obecnéj wchodzić w ocenę tak różnorodnego i tak obfitego materyału; trzeba atoli zaznaczyć, że wszędzie widać wiedzę gruntowną, pracę sumienną, a nieraz i bystrość niepospolitą w podnoszeniu pewnych stron kwestyi, na które dotychczas mało rzucono światła. Mamy tu prace samoistne w mniejszym lub większym stopniu, świadczące bardzo pochlebnie o pogłębieniu studyów klasycznych. Wartoby tylko jeszcze więcéj niż dotąd dbać o czystość i poprawność mowy polskiéj.

— *Stanisław Schneider*. **Kilka szczegółów o Prodykosie i jego pesymizmie**. Lwów, 1896 (str. 10). — Prodyk, sofista, rozsławił się swoją przypowieścią o Herkulesie na rozstajnych drogach, którą z lubością powtarzał następnie Sokrates, a którą w swoich Wspomnieniach o tym mędrcu pomieścił Ksenofont. P. Schneider, biorąc pohop z orzeczenia Gomperza, dobrego znawcy filozofii greckiéj, nazywającego Prodyka najdawniejszym pesymistą, przedstawia najprzód króciótko „żale i skargi Prodyka na życie ludzkie pełne przykrości i smutku, od niemowlęcego kwilenia począwszy aż do zdziecinniałéj starości”, a potém stwierdza, iż wyrzekania podobne nie były bynajmniéj rzadkością wśród Greków, zaczynając od Homera i Hezyoda;

a i to zdanie, iż lepiéj śmiertelnikom nie rodzić się wcale, miało swojego przedstawiciela już w Teognisie. Prodyk o tyle jednak jest oryginalnym, iż wyciągnął najdalsze konsekwencye ze zdania, iż śmierć lepsza od życia. Podług niego „sympatya jakaś spokrewnia duszę ludzką z niebiańskim eterem i roznieca pragnienie za nim w tym stopniu, że wyzwolenie od życia równa się zmianie czegoś złego na dobre". W rozwoju poglądów Prodyka owa przypowieść o Herkulesie na rozstajnych drogach miała znaczenie ogniwa środkowego; zdawało mu się, że praca, trud stanie się lekarstwem na złe, jakiego w życiu doznajemy, ale przekonawszy się, że dusza nie da się zaspokoić trudami, wystąpił z zaprzeczeniem szczęścia, pokładanego w pracy, i wygłosił myśl tęsknoty za niebiańskim eterem. Prodyk miał wpływ na tragika greckiego Eurypidesa, uwidocznia się to szczególniéj w „Heraklesie" tego poety. Mówi o téj sztuce nasz autor: „Imponuje nam skołatany trudami i przeciwnościami losu Herakles, bliski już samobójstwa, a jednak postanawiający na przekór osobistym pragnieniom, jakoteż przygodom wytrwać i przetrwać życie. To już nie tradycyjny Herakles, który ginie na stosie własną wzniesionym ręką, ale Herakles przeistoczony, z podnioślejszém pojęciem Boga, oraz ze wzgardą dla bogactwa i siły materyalnéj. Było to właśnie owo pośrednie stanowisko Prodyka, kiedy w pracy, w trudzie szukał szczęścia. Za późniejszym rozwojem sofisty nie poszedł tragik; teorya wyzwolenia przez połączenie się z niebiańskim eterem nie przemawiała snać do poety, który głosił często zachętę do najłatwiejszego i najprzyjemniejszego, o ile się da, trybu życia. Ostatecznie tak autor formułuje swe zdanie o autorze przypowieści: „Prodykos odzwierciedlał kolejno w swéj duszy sprzeczne kierunki myśli greckiéj, wszelako nie zestroił w ich organiczną całość..." Takiego przesilenia nie przebył wcale Prodykos z jednostkowego do społecznego bytu, jakie w twórczéj poezyi polskiéj wyryło się lapidarnym napisem: „*Gustavus obiit, Hic natus est Conradus*", t. j. nie zrozumiał, iż pomimo nieszczęść, kłopotów, można i potrzeba pracować dla życia.

— *Henryk Wernic.* **Historya powszechna opowiedziana i zaopatrzona pytaniami.** I. Dzieje starożytne z tablicą chronologiczną. Warszawa, T. Paprocki, 1896, str. 240. — Mnożą się u nas wydania Dziejów powszechnych. „Ateneum" już w tym roku zdawało sprawę z dwu książek z tego zakresu; obecnie mamy przed sobą trzecią. Ze sposobu opracowania widać, że przeznaczona jest dla wieku bardzo młodego, pierwszy raz zaznajamiającego się z dziejami. Prostota wyrażenia, pomijanie zbyt złożonych zjawisk dziejowych, przystępność wykładu

wogóle biorąc dodatnio zalecają pracę znanego pedagoga. Pytania umieszczone przy końcu rozdziałów, służą do uprzytomnienia uczniowi tego, czego się uczył, a zarazem ułatwiają nauczycielowi egzaminowanie ucznia. Fakta wybrane zostały wogóle dobrze i starannie. Najwięcéj miejsca poświęcono oczywiście Grecyi i Rzymowi, zbywszy Egipt, Babilonię, Assyryę, Persyę, Palestynę i Fenicyę na 40 tu stronicach. Uwzględniono wszędzie nietylko wypadki polityczne, lecz i życie wewnętrzne narodów. Usterki, jakie się w téj książce napotykają, dotyczą określeń ogólnych, oraz niektórych szczegółów. Z określeniami zawsze bywa najtrudniéj, gdy się je chce dawać dzieciom. Pierwsze zaraz zdanie, od którego się książka zaczyna, możnaby zakwestyonować. „Historya — czytamy tu — opowiada o tém, co się działo na świecie, dlatego téż zowie się dziejami." Dzieją się na świecie różne rzeczy, których historya nie wyjaśnia, ponieważ należą one do innych dziedzin wiedzy; zjawiska astronomiczne i fizyczne tylko w nadzwyczajnych wypadkach zapisuje historya. Oczywiście autor wié o tém bardzo dobrze, dlatego téż w następném zdaniu ogranicza zbyt ogólnikowe określenie zawarte w pierwszém. Lecz i to ograniczenie okazuje się jeszcze niedostateczném, tak że dopiéro w dalszym ustępie, gdzie jest mowa o związku przyczynowym zjawisk dziejowych, dociéra autor do dokładniejszego oznaczenia, czém jest historya. Byłoby może lepiéj, ażeby autor nie potrzebował tak sam siebie poprawiać; bo pierwsze zdanie jako pierwsze i jako najłatwiejsze utkwi najprędzéj w umyśle ucznia i pozostawi w nim wyobrażenie bardzo mętne. Poprzestaję na tym jednym przykładzie. Ponieważ określeń w dalszym ciągu jest mało, więc i nieścisłości takie, jakie wskazałem, napotyka się już rzadko. — Co do szczegółów, to muszę zauważyć, iż w nazwiskach greckich trochę dowolności panuje; nie było Pizystratesa tylko Pizystratos, albo przez skrócenie Pizystrat, tak jak nie było Patroklesa tylko Patroklos; forma plebeusze także niewłaściwa. Niejednostajność w pisowni nazwisk również musi być uważana za błąd w dziełku dla młodzieży, a pod względem języka możnaby wytknąć niejedną usterkę. Pomijając atoli takie i tym podobne drobiazgi, można powiedziéć, że książka p. Wernica jest dobrym nabytkiem w naszéj literaturze pedagogicznéj.

= *Adam Krechowiecki.* **Tarłówna.** Lwów, Jakóbowski i Zadurowicz. 1896, str. 117. — Jestto bardzo ładne opowiadanie osnute na faktach dziejowych, odnoszących się do drugiéj połowy XVI wieku. Jadwiga Tarłówna, miłość do niéj młodziutkiego wówczas poety Miko-

łaja Sępa Szarzyńskiego, projekt małżeństwa z hospodarem wołoskim, śmierć tegoż gwałtowna: oto osoby i czynniki, które posłużyły za wątek obrazka, tętniącego dramatycznością. Autor umiał wyzyskać umiejętnie tę szczupłą pozostałość literacką, jaką po Szarzyńskim posiadamy, a sympatyczna postać tak odrębnego od spółczesnych sobie poety, jakim młody a smutny do głębi duszy Mikołaj, przedstawiona serdecznie i bez pretensyi, miłém czytelnika przejmuje uczuciem. Jadwiga mniéj wydatnie się rysuje przed wyobraźnią naszą, lecz dziwić się temu niepodobna; zamało posiadamy danych na to, ażebyśmy sobie mogli dokładnie i jasno wyobrazić sposób myślenia i zachowania się panien naszych z XVI stulecia wogóle, a Tarłówny w szczególności. Charakter bierny, uczuciowość przytłumiona wychowaniem, zgadzanie się z rozporządzeniem rodziców czy opiekunów i z losem, to rysy nie dające możności powieściopisarzowi do nakréślenia żywéj i w wyższym stopniu zajmującéj sylwetki.

= *Wiktor Gomulicki.* **Do niéj i do niego**, pogadanki na temat małżeństwa. Warszawa, T. Paprocki, 1896, str. 80. — Niezbyt dawno w „Ateneum" ocenialiśmy „Pogadanki piśmienne". Ten sam temat, tylko w sposób lekki, błyskotliwy i dowcipny obrabia p. Gomulicki, radząc panience, by poważniéj wyobrażała sobie małżeństwo, a młodzieńcowi (wyłysiałemu już nieco), by nie lekceważył miłości, ubiegając się jedynie za posagiem. Naszkicowana przezeń postać przeciętnéj panienki warszawskiéj, która zwraca uwagę głównie na wąsiki, dystynkcyę, oburzały nasze panny, tak że nadsyłały autorowi mniéj lub więcéj dotkliwe repramendy. P. Gomulicki wziął stąd pochop do odpowiedzi na te listy i tym sposobem powstała druga połowa książeczki p. t. „Gąski czy anioły". W wyniku ostatecznym mówi autor słusznie, że ani jedno ani drugie; a swój skromniutki ideał żony zawarł w następném określeniu: „Uprzyjemnić mężowi życie, podzielić z nim bez szemrania złą dolę, szafować oszczędnie zarobionym przy niego groszem, dotrzymać mu zaprzysiężonéj wiary, urodzić zdrowe dzieci i na dobrych obywateli kraju je wychować — oto wszystko, czego się od nich wymaga" P. G. odrzucił romantyczne egzaltacye, zaprotestował przeciwko nadużyciu frazesu o „powinowactwie z wyboru", jak niemniéj przeciwko trafności instynktu u człowieka, a w szczególności u kobiéty—i uwagom jego w tym względzie słuszność przyznać trzeba prawie wszędzie; równocześnie jednak ironicznie się odezwał o doktorskich dyplomach wśród niewiast i rzucił słówko przeciwko samoistnemu wy-

borowi męża, radząc panience słuchać raczéj doświadczonéj matki niż instynktu. W pierwszym wypadku możnaby go pomówić o niechęć względem wyższéj nauki wogóle; a niektóre jego odezwania się w powieściach potwierdzałyby takie przypuszczenia; zdaje mi się, że więcéj światła, ale prawdziwego światła, w głowach nikomu nie zaszkodzi, a więc i kobiécie, która przecie ma wychowywać dzieci na dobrych obywateli kraju. Co zaś do rad doświadczonéj matki, to bynajmniéj nie przecząc wartości doświadczenia i nie kwestyonując uczucia macierzyńskiego, tę jedną zrobićby wszakże wypadło uwagę, że pojęcia szczęścia nikomu narzucić niepodobna i że kto chce na swój sposób uczynić drugiego szczęśliwym, rzadko tylko wyświadcza mu prawdziwą przysługę. Trzeba oświecać dzieci, ale wybór takiego lub innego rodzaju szczęścia im samym pozostawić należy.

= *Tomasz Czaszka*. **Dora**, nowela z konkursu literackiego. Kraków, Spółka wydawnicza polska. 1896, str. 53. — Jest to swobodnie, lekko i szkicowo nakréślona psychologia duszy kobiécéj, spragnionéj rozkoszy, idącéj za uczuciem miłości, ale pragnącéj czuć się wyższą—choćby we własném tylko mniemaniu — nad swego wybranego. Dora pochodziła z rodziny mieszczańskiéj; była wielbiona przez subiekta Henryka i przyjmowała jego hołdy jako rzecz sobie należną; kochać go nie mogła, gdyż zanadto go lekceważyła, lecz... pod wpływem upajającego wieczoru letniego na pozamiejskiéj przejażdżce, w oczekiwaniu na przybycia ojca i nowego gościa, pana profesora, dała się Henrykowi... pocałować, sama sobie nie zdając sprawy, dlaczego była tak powolną. Późniéj poczuła względem Henryka wstręt, gdy ją pan profesor zaczął emablować po swojemu, traktując ją niemal jak dziecko, lecz wpatrując się pilnie w jéj dziewicze wdzięki. Dora wyszła za mąż za pana profesora i uległa jego wpływowi całkowicie; zarzuciła strojenie się, zaniechała podróży poślubnéj, mało udzielała się towarzystwu, nie bawiła się prawie wcale. Panowanie siły mężowskiéj nad jéj wolą było dla niéj „wyrafinowaną rozkoszą." Lecz w téj rozkoszy istniała także odrobina goryczy. Mąż chciał Dorę podnieść umysłowo ku sobie; a jéj dość płytki umysł ulegał wprawdzie biernie wszystkiemu, czego pan profesor wymagał, ale... ale czuł się upokorzonym. Zdawało się Dorze, iż ją mąż zaniedbuje i z rozkoszą zaczęła czuć się udręczona; umyślnie nie kazała naprawić okna jesienią, ażeby módz nasycić się rozkoszą bólu zębów. Wtém przyszło zaproszenie na bal. Dora kazała okno naprawić i pierwszy raz przemogła wolę męża, sprawiła sobie suknię nową i poszła na zabawę. Tam spotkała Henryka, który po roku oddalenia powrócił. Dora pierwsza zbliżyła się

do niego i wywołała w nim powrót uczuć dawniejszych. A potém gdy przyszła do domu marzyła noc całą, jak by to było, gdyby ona... oszukiwała męża na rzecz Henryka. I opowiedziała zmyśloną historyę swojéj koleżanki, robiącéj w rzeczywistości to, o czém ona tylko marzyła. Mąż stanął w obronie kobiéty... a Dora o mało co nie parsknęła ze śmiechu i wtedy poczuła swą wyższość nad mężem i wtedy doznała szalonéj radości i z całego swego przejścia wyspowiadała się przyjaciółce. Oryginalność sytuacyi w głównych perypetyach, a przytém żywość opowiadania, dyalogu, wogóle stylu sprawiają, że powiastkę tę czyta się z wielkiém zajęciem, a autorowi dziękuje się za mile spędzoną chwilę.

= *Znicz*. **Fałszywe dźwięki**. Obraz z życia. Warszawa. T. Paprocki, 1896, str. 160. — Niedawno zmarła młoda autorka, któréj drobne obrazki pomieszczało i „Ateneum", pozostawiła po sobie tę jedną pracę w książkowéj odbitce. Świadczy ona o talencie jeszcze nie wyrobionym pod względem technicznym, lecz zarazem dowodzi zdolności obserwacyjnej, umiejętności obrazowania i wglądania głębiéj w dusze ludzkie. Rzecz się dzieje wśród sfery zamożnych i utytułowanych ziemian w W. Ks. Poznańskiém. Życie próżniacze, żadną poważniejszą myślą nie zajęte, wywołuje stosunki pod względem moralnym brzydkie, lubo osłonione najpiękniejszemi pozorami. Książę flirtuje z panią Ireną, któréj mąż pochłonięty architekturą i stylowemi meblami, najmniejszéj na to nie zwraca uwagi. Przypadkiem, gdy książę klęczał u nóg Ireny, nadchodzi mąż wraz ze swym znajomym, złośliwym światowcem. Książę, ażeby ocalić pozory, oznajmia, że prosił właśnie panią Irenę o rękę jéj kuzynki, niedawno w gościnę przybyłéj. Kuzynka ta Marya, nakréślona przez autorkę jako wcielenie szczerości i serdeczności, kocha Karola, obdarzonego nadzwyczaj pięknym głosem, odziedziczonym po matce, niegdyś śpiewaczce, i jest wzajemnie kochana. Na prośby i zaklęcia Ireny, po krótkiéj walce wewnętrznéj, zgadza się zostać żoną księcia. Karol na wiadomość o tém, błądząc noc całą po ogrodzie wilgotnym, dostaje przeziębienia, choruje, traci głos, staje się apatycznym i umiéra. Fałszywemi dźwiękami w jego życiu były nie tylko te brzmienia, jakie po chorobie z gardła swego mógł wydobyć, ale także i ten zawód, jaki go ze strony Maryi spotkał. W całém opowiadaniu, mającém miejsca bardzo szczęśliwe, razi jedno wielkie nieprawdopodobieństwo: dziwna obojętność Maryi względem losów Karola, chociaż autorka zapewnia, iż go całą duszą kochała. Nie przyszło jéj nawet na myśl, zapytać się, co się z nim dzieje, jaki jest stan jego zdrowia i jego duszy. Wybiera się z Ireną po wyprawę

najspokojniéj w świecie, jakby żaden przełom w życiu jéj nie zaszedł i przypomina sobie Karola dopiéro po ślubie z księciem. Przywozi zchorzałemu na ciele i duszy kwiaty, jak dziecku zabawkę. Charakter Maryi jest chybiony; a przynajmniéj umotywowania zmiany, jaka w nim zaszła, brak zupełny. I w innych charakterach możnaby dopatrzéć pewnych niekonsekwencyi psychologicznych, lecz te usterki w porównaniu z wadą w odmalowaniu Maryi usunąć się muszą w głąb. Styl utworu nie odznacza się oryginalnością, ale jest jasny, żywy i posługuje się językiem poprawnym.

= *Sewer*. **Biedronie**, powieść z 34 ilustracyami Wł. Tetmajera. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego, 1896, str. 321. — Znany czytelnikom „Ateneum" utwór Sewera ukazał w wytwornéj książkowéj edycyi, ozdobiony ładnemi i, co rzadko w tego rodzaju wydawnictwach u nas się zdarza, wyraźnie i dobrze po większéj części odbitemi rysunkami. Nie są to plamy, które zazwyczaj szpecą jeno takiego rodzaju ilustrowane edycye, lecz rzeczywiste uplastycznienie scen, o jakich autor pisze. Z przyjemnością oko czytelnika spocznie na nich, odrywając się na chwilę od tekstu, co ku sobie pociąga.

= *Henryk Sienkiewicz*. **Nowele**, z ilustracyami A. Kamieńskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 220. Wytworne, miniaturowe wydanie kilku opowiadań Sienkiewicza bierze się z przyjemnością, a odczytuje się z jeszcze większą, choć się je zna oddawna. „Janko muzykant", „Jamioł", „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela", „Latarniki", „Lux in tenebris lucet", „Bądź błogosławiona" — znalazły się tu w dobraném towarzystwie i napełniają serce czułością i rzewnością, budząc spółczucie dla biéd i smutków wszelkiego rodzaju. Jest to wydanie dostępne dla zamożnych, którzy lubią wykwint i mają nań. Nie szkodzi, że podobne wydania u nas się pojawiają. Daleko jednak ważniejsze są takie, które za nizką cenę dostarczają karmi duchowéj w kształtach bardzo porządnych, schludnych i miłych. Mam tu na myśli edycyę trylogii historyi Sienkiewicza, ogłoszonéj nakładem H. Wawelberga. Sześć dużych tomów, szczelnie, lecz wyraźnie zadrukowanych, a obejmujących: **Ogniem i mieczem**, **Potop** i **Pana Wołodyjewskiego**—za dwa ruble, to nie tylko u nas, gdzie książki są jeszcze bardzo drogie, ale nawet za granicą uważać można za zjawisko niesłychanie rzadkie, choć niezmiernie pożądane. A jednak nie jest oczywiście niepodobieństwem, by takie wydawnictwo nie miało się opłacić. Trzeba tylko umiéć wybierać dzieła, mogące się rozejść w znacznéj

liczbie egzemplarzy, a wówczas interes wydawcy i interes czytelnictwa będą w zupełnéj ze sobą zgodzie. Więc, trochę pomysłowości, panowie księgarze!

= **Młodość**, dramat *Maksa Halbego*, spolszczyła *R. C.* Warszawa G. Centnerszwer, 1896, str. 147. — Jest to dramat oparty na wrzących namiętnościach młodości i ślepéj, zawziętéj zazdrości idyoty. Anusia, siostrzenica proboszcza katolickiego Hoppe (rzecz się dzieje w Prusiech zachodnich) i młody student Jan Hartwig, znali się niegdyś w dzieciństwie. Gdy Hartwig, wybierając się do uniwersytetu przybył w odwiedziny do proboszcza, zapałał gwałtowną miłością dla swéj kuzynki i obudził żywą wzajemność w dziewczęciu młodém, szczerém, naiwném. Wzajemność ta poprowadziła do kroku ostatecznego, jaki może zrobić dziewczyna. Rozwijającą się piorunowo miłość śledziło dwu mężczyzn: fanatyczny wikary, Grzegorz Szygorski, kochający Anusię i namawiający ją do obrania stanu zakonnego, oraz brat przyrodni Anusi, Bogumił, idyota. Wikary ostrzegał proboszcza, ale napróżno, a gdy fakt zaszedł, traktował nieszczęsną parę z całą surowością fanatyka. Bogumił zaś, który pierwszy wyśledził schadzkę, snując się jak cień za Anusią, wystrzałem z floweru chciał zabić Jana a zabił zasłaniającą go dziewczynę. Treść taka nie może budzić gorącego dla nieszczęśliwych spółczucia; idealizowanie popędu płciowego nie może u czytelnika wyjednać uznania, jeżeli nie jest zwolennikiem bezwzględnego uprawnienia wszelkiéj namiętności. Żar krwi młodéj, upojenie rozkoszą oddane zostały z niemałym talentem; z mniejszym ponury nastrój wikarego i Bogumiła. Z charakterów najlepiéj i najkonsekwentniéj przedstawia się proboszcz, wyrozumiały, nawet pobłażliwy dla słabości ludzkich, z istnie chrześcijańskiemi uczuciami i słowami przemawiający do nieszczęśliwych. Ma on w życiu swojem kartkę smutną, któréj skutki przebolał, obrawszy sobie stan duchowny. Kochał on niegdyś matkę Jana, lecz ponieważ nie miał zapewnionego bytu, panna nie chcąc czekać, wybrała sobie bogatszego. W sercu proboszcza zachowało się miłe wspomnienie uczuć doznanych, które śmiało z podniesioném czołem może przeciwstawić namiętności młodéj pary. O charakterze téj młodéj pary nie da się właściwie nic nad to powiedziéć, co zaznaczono w tytule samego dramatu; to nie charaktery jeszcze, lecz zaczyn na nie, Anusia ginie, zaledwie zakosztowawszy z czary życia, Jan po wybuchu rozpaczy zapewne przyjdzie do siebie i może wyrobi się kiedyś na charakter. — W szczegółach rażącą jest okoliczność z nieświadomości autora wynikająca, jakoby księża kato-

liccy wychodzili z kościoła po odprawioném nabożeństwie—w ornacie i ten dopiéro na plebanii do szafy chowali. A nie jest to omyłka tłomaczki, bo wyróżnia ona ornat od komży.

= **Spis bibliograficzny druków łódzkich**. Zestawił *M. B.* Łódź, w drukarni W. Wścieklicy, 1896, str. 48 + III. — Mieszczą się chronologicznie uporządkowane tytuły (czasami i treść) książek czy wogóle druków, jakie w Łodzi lub o Łodzi się pojawiły. Rozpoczyna autor od r. 1846, kiedy pojawił się pierwszy znany mu druk, dotyczący Łodzi, mianowicie: „Akt uroczysty zakończenia rocznego kursu nauk w szkole powiatowéj realnéj w Łodzi", a kończy wykazem druków łódzkich i do Łodzi się odnoszących z r. 1895. Cyfra ogólna tych druków jest 384. Są one, jak słusznie zauważył sam autor, przeważnie wytworem potrzeby praktycznéj: ustawy, sprawozdania i instrukcye rozmaitych instytucyi, stowarzyszeń i spółek przemysłowyc, kalendarze i katalogi; niekiedy pojawi się podręcznik szkolny (do nauki języka rosyjskiego lub niemieckiego), jeszcze rzadziéj broszura z dziedziny techniki lub gospodarstwa fabrycznego; drobne utwory literackie (a między niemi i wierszowane) mieszczą się w szczupłych ramach kalendarzowych; powieści (przeważnie tłomaczone) pojawiały jako osobne nadbitki z dodatków do „Dziennika łódzkiego"; z prac estetyczno-krytycznych jednę tylko ważniejszą można wyróżnić, mianowicie przekład dzieła Pawła de Saint-Victor p. t. „Dwie maski", gdzie mamy świetny rozbiór twórczości Eschilosa, Sofoklesa, Eurypidesa, Arystofanesa i Kalidasy. Przekładu dokonała p. Antonina Morzkowska w roku 1886-ym. Pierwszy druk miejscowy, łódzki, pochodzi dopiéro z roku 1868-go, jest to, podobnie jak pierwszy druk do Łodzi się odnoszący, programat szkolny w języku niemieckim, z rozprawą E. Berga: „*Ueber den Jassak oder den Fell-Tribut der nomadisirenden Volksstämme Sibiriens.*" Od r. 1870 — 1880 średnia cyfra roczna druków wynosiła, wedle spisu p. M. B., zaledwie 4; w następnym zaś okresie średnia roczna przekracza dwudziestkę numerów. Autor nie przecenia swojéj pracy, mówiąc, że katalog jego „ułożony został nie tyle jako przyczynek do ogólnéj bibliografii, ile jako źródło informacyjne dla interesujących się stosunkami łódzkiemi, a spełni on swe zadanie dostatecznie, jeśli pożytecznych dostarczy wskazówek przyszłemu historykowi naszego grodu." Przy końcu mieści się skorowidz przedmiotowy.

— *Maryan Sokołowski.* **Stosunek Andrzeja Krzyckiego do sztuki.** Kraków, 1896, 8-vo, str. 28, z dwoma fotodrukami.—Typowy humanista, wykwintny wierszopis łaciński, przyzwoity lub cyniczny naprzemian, satyryk, którego cięte pióro umiało niejednemu zadawać ciosy do żywego, wysoki dygnitarz, Andrzej Krzycki znany był przeważnie ze swojéj działalności literackiéj i politycznéj. Profesor M. Sokołowski wytworném swém piórem do wizerunku Krzyckiego dodaje rys jeszcze jeden: nastrój estetyczny, zamiłowanie do dzieł sztuki w ówczesnym, nagłym jéj zwrocie od gotycyzmu do stylu renesansowego, — co zresztą było cechą wydatną u wielu bardzo humanistów. Dworak i chwalca Bony, hołduje wskrzeszonemu klasycyzmowi, popieranemu przez królowę-włoszkę, posługuje się chętnie artystami z Włoch napływającymi. Pieczęć arcybiskupia Krzyckiego (któréj doskonałe odtworzenie autor pomieścił w swéj pracy) jest „najpiękniejszym zabytkiem u nas tego rodzaju", a z pod włoskiego właśnie wyszła rylca. Gdy piorun zniszczył tum płocki, Krzycki w r. 1531 zawiéra z architektem Bernardino de Gianotis umowę o wybudowanie nowéj katedry biskupiéj, która kosztować miała przeszło 10,000 florenów. Suma to na owe czasy olbrzymia i przewyższająca znacznie środki, jakiemi biskup rozporządzał; ale Krzycki widocznie tak jest zachwycony planami włoskiego mistrza, że nie cofa się przed wydatkami, bo będzie to „*opus eximium et singulare facturum*"; wnet zabiéra się do roboty i w roku następnym widzi już fundamenta całkiem wyprowadzone. Tak żwawo posuwane dzieło nie zostało jednak ukończone pomyślnie. Krzyckiemu środków pieniężnych nie stawało; pomoc, na którą liczył, chybiła; wreszcie Krzycki przeniesiony został z katedry płockiéj na gnieźnieńską. Z rozpoczętéj przez niego budowy dzisiaj ani śladu i trudno byłoby nawet wskazać, na jakiém mianowicie wznoszono ją miejscu. Budowli mistrza Bernardino podziwiać przeto nie możemy; została jednak na pociechę stara katedra z XII wieku, przerabiana wprawdzie wielokrotnie, ale zawsze stanowiąca jeden z najdawniejszych zabytków architektury na ziemi naszéj. Prócz téj korzyści, historyk znajduje przytém nową przestrogę, jak mu oględnie polegać wypada na wiadomościach dawnych, choćby z jaknajlepiéj, pozornie, poinformowanego płynących źródła. Oto Górski, w bliskich z Krzyckim będący stosunkach, mówi o dokończonéj przez tegoż katedrze, współczesne zaś akta kapituły gnieźnieńskiéj wysławiają to dzieło, „które samo jedno mogło utwierdzić u potomnych pamięć o Krzyckim, gdyby wielu innych nie pozostawił." Czytając to, bierze ochota zawołać: głośny bęben za górami; ale żadne góry nie oddzielają Płocka od Gniezna. — I piękny nagrobek Krzyckiego w katedrze arcybiskupiéj włoskie wykuło dłuto. Profesor

Sokołowski szczegółowo analizuje ten pomnik, a w ocenie, jaką umiejętnie skréślił, obszerna erudycya w sferze historyi sztuki i smak niezaprzeczony autora właściwe znalazły pole.

= Świéżo mieliśmy sposobność poznać się z dwoma wydawnictwami d-ra *Franciszka Piekosińskiego*: 1) „**Średniowieczne znaki wodne**, zebrane z rękopisów, przechowanych w archiwach i bibliotekach polskich, głównie krakowskich, wiek XIV (z 77 tablicami autografowanemi)", wydane nakładem Akademii Umiejętności (Kraków, 1893) i 2) „**Kamienie Mikorzyńskie**", rzecz ogłoszona nakładem autora (1896, 8-vo, str. 73 z IX-ciu tablicami). — Znajomość znaków wodnych w papiérze jest ważną a niekiedy jedyną wskazówką dla bliższego określenia czasu, w którym powstały średniowieczne rękopisy, nie zawierające w sobie żadnéj daty. Nie poprzestając na mozolném zbiéraniu i rysowaniu znaków wodnych w liczbie 795, autor podał szkic początkowych dziejów fabrykacyi u nas papiéru. Dowiadujemy się tu o papiérni na Prądniku już w XV w. istniejącéj, z któréj wyrobów korzystał do swoich druków Haller; o papiérni należącéj do klasztoru w Mogile (1504 r.), któréj produkcyą nawet „zagranicą w wielkich partyach wywożono"; Bonarowie prowadzili dwie papiérnie w téjże epoce, a papiér z fabryki Tęczyńskich w Krzeszowicach spotykamy już w roku 1539. Ale dość tych przykładów; chcąc wyczerpać ciekawe szczegóły, zebrane przez autora, trzebaby było zająć więcéj miejsca, aniżeli „Ateneum" użyczyć go może. — Druga praca d-ra Piekosińskiego zajmuje się napisami na tak zwanych „kamieniach Mikorzyńskich", o których autentyczność żwawa się długo toczyła polemika. Autor wykazuje, że napisy wykute są starszym futhorkiem, którego używano do VIII wieku włącznie; mniema więc, że skoro w połowie bieżącego stulecia, w chwili pojawienia się tych kamieni, nikt u nas o starszym futhorku nie miał wyobrażenia, napisy przez nikogo podrobionemi być nie mogły.

= *Michał Bernays*. **Zur neueren Litteraturgeschichte**. Sztutgart, 1895. — W zastępie tak licznych niemieckich badaczy literatury ojczystéj dwa nazwiska wyróżniają się szczególnie: Eryka Schmidta i Michała Bernaysa. Kiedy inni gubią się w drobnostkowych komentarzach lub w studyach najczęściej ciasnych i ubogich, owi dwaj wolą horyzonty szersze. I oni zamykają się w granicach swego piśmiennictwa, ale ich metody i poglądy zawsze mają coś głębszego. Literatura w ich opinii nie jest zimną, przemysłową produkcyą, którą zwiéra się w wąskie rubryki lub formułki, lecz wykwitem bogatéj duszy i stąd zawsze, czy oddają całokształt twórczości, czy wywołują postać jakie-

goś pisarza, czy omawiają jeden utwór albo nawet jedną stronę utworu, starają się nadać swojéj pracy charakter ogólniejszy. Uwagi ich, nawet bardzo specyalne, są jakby ślimakiem schodów do ganku uogólnienia. — Istnieją znaczne różnice stylowe między dwoma literatami, połączonymi zarazem węzłami serdecznéj przyjaźni. Schmidt zaokrągla swoje rozprawy, wié naprzód, gdzie będzie tkwić ich środek ciężkości. Bernaysa prace podobne do wachlarzy. Punktem wyjścia bywa najczęściéj nieznaczny szczegół, poprawka tekstu, wykazanie czyjéjś omyłki. W téj poprawce potrąca się o jakieś imię lub okoliczność. I około tego imienia, jak gromadka drzew około źródełka, osiada kilka, kilkanaście stron, każda pełna erudycyi, nacechowana przedmiotowością i spokojem. Zawierają one szeroki pogląd na epokę literacką, albo miłe przedstawienie szczegółów życiowych, albo zgłębienie zapatrywań pisarza. Stąd zaś biegną nowe i nowe rozgałęzienia i powoli, powoli ład i promień rozprawy rozszerzają się bardzo znacznie. — Cechy te wystąpiły już w pierwszych pracach Bernaysa i zachowały się do dziś. Spotykamy je i w pierwszym tomie zbiorowego wydania rozpraw: *Zur neueren Litteraturgeschichte.* — Najdawniejsze tylko „Schiller i Racine'a Britannicus" (1867) jest inne. Dotyczy szczególiku, nim ogranicza się. Pani Gleichen wydała fragmenty dramatyczne Schillera, między któremi znajduje się „początek tragedyi Agrypina". Jednak Bernays już wówczas posiadał dostateczną erudycyę, aby po przeczytaniu kilkunastu wierszy stwierdzić omyłkę wydawczyni. Ów początek jest próbą przekładu Brytanika.— Oprócz téj rozprawki, liczącéj wszystkiego siedm stron, weszło do tomu niniejszego pięć innych. Dwie: „Korespondencya Schillera i Goethego w wydaniu z r. 1881" (1882) i „Listy Schillera do Dalberga" (1887), intendenta teatru Mannheimskiego w okresie „Zbójców", wydadzą się na pozór bardzo specyalnemi. Poczęści są niemi (dlatego, jak sądzę, umieścił je autor na końcu): w obudwóch zestawione teksty istów ogłoszonych z oryginałami. Ale wczytać się w nie, a z małych poprawek wyjrzą chwile z życia pisarza, jego myśli i około zmiany słowa lub zdania owinie się, jak girlanda zrozumienie poety. — Trzy zaś pierwsze nie były dotąd drukowane. Zajmują 350 stron. Wstępna najkrótsza, dotyczy pierwszego przedstawienia (30, 1, 1800) Mahometa Voltaire'owskiego w przekładzie Goethego. Równocześnie próbowano w Wiedniu uzyskać pozwolenie odegrania tego utworu, ale o podobieństwa, jakich dopatrywał się cenzor między Mahometem a Napoleonem, rozbiły się wszelkie usiłowania. Druga traktuje o stosunku Goethego i Waltera Scotta. Scott przetłómaczył ongi Götza, atoli bliższy stosunek zawiązał się dopiéro około r. 1827. Goethe

wstrząśniony śmiercią Byrona napisał list do Scotta, a ten — w kilka miesięcy później, kończył bowiem swą dużą biografię Napoleona — odpowiedział mu serdecznie. Wyrozumiały sąd Goethego o nowém dziele Scotta, nie życzliwie przyjętém przez krytykę, stał się nowém ogniwem, a chociaż, jak wykazuje Bernays, autor Wawerleya nie rozumiał doniosłości twórcy „Fausta", to jednak do jego śmierci liczne składa dowody szacunku i przyjaźni. Właśnie w r. 1832 wracając z Włoch zamyśla go odwiedzić, gdy go dochodzi wieść o zgonie. — Ile erudycyi wkłada w te dwa studya dawny profesor wszechnicy monachijskiéj, domyślą się znający uprzednie jego prace. Znajomość literatury niemieckiéj, francuskiéj, angielskiéj jest zadziwiająca, najdrobniejsze szczegóły nie uchodzą jego wiadomości. A wyłożone bardzo skromnie, bez wszelkiego przymusu. Sposób: autor zaczyna od listu Varnhagena, traktującego o Goethego „*Kunst und Alterthum.*" Ponigważ mowa w nim o Napoleonie przesuwa nieznacznie naszą uwagę na ten punkt. Przedstawia sądy innych o Bonapartem, szczególniéj Fichtego i Taine'a, przechodzi do przyjęcia dzieła Scotta, do wymiany listów między Scottem i Goethem, wplata nieco o listach Manzoniego i Howarda, opowiada o życiu Scotta w r. 1827—1831, o drobniejszych wówczas przedsięwziętych pracach, zestawia recenzye współczesne dzieła o Napoleonie nietylko w Niemczech, ale w Anglii, Francyi i Ameryce, wraca znów do Goethego, zastanawia się nad dziełem Scotta i zbliża ponownie dwóch pisarzy. Potém zgon Goethego, stosunek Scotta do jego pism, rola Carlyle'a w ich zrozumieniu. — Lekkość, którą posiadają dziejopisarze francuscy, znajdujemy i u Bernaysa, chociaż nie idzie z nią w parze przejrzystość układu. Nie można z początku określić, kędy podąży bieg jego myśli. Tak jest i w obszernéj pracy „Francuski i niemiecki Mahomet", która zaczyna się od zestawienia oryginału Voltaire'a i przekładu Goethego, uszlachetniającego w przelicznych miejscach płytki pierwowzór. Po téj pierwszéj części następuje wytrawne studyum o stanowisku krytyki XVIII-go i początków XIX-go wieku względem Voltaire'a, studyum samego pisarza o Voltairze, wreszcie wyczerpujący traktat o rozwoju dramatu francuskiego od Corneille'a do schyłku XVIII-go stulecia. — Zaszczytną jest podniosłość, z jaką Bernays traktuje o wszystkiém, wstrzymywanie się od pośpiesznych sądów i bezstronność. Dziwi tylko pasowanie Fryderyka II-go na wielkiego męża, godnego stanąć obok Lutra (!), a w pracy o Mahomecie potępienie Voltaire'a ze stanowiska chrześciańskiego. Pisarz, który spokojnie przedstawiał potępiony przez siebie terroryzm Wielkiéj Rewolucyi, spokojnie mówił o bardzo lichych poetach, winien był i tu stanąć wyżéj i skoro chciał wypowie-

dzićć odrazę do dwulicowego filozofa z Ferney, mógł znaléść dla niéj o wiele głębsze uzasadnienie w jego wiarołomności i tchórzliwości. *B.*

= *Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych* podaje do wiadomości pp. artystów malarzy i architektów, iż stosownie do § 1 regulaminu corocznych konkursów Towarzystwa, w miesiącu lutym 1897 r. odbędzie się konkurs **malarstwa i architektury**.

Na konkurs malarstwa kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat 3 ostatnich, jeżeli nie były umieszczane na wystawie Towarzystwa lub innéj Warszawie. Za dzieła konkursowe z dziedziny malarstwa, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczone są trzy nagrody piénięźne: rs. 400, 200 i 100.

Na konkurs architektury kwalifikują się wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres budownictwa wchodzące, w szkicach, projektach, modelach, a także w fotografiach dzieł wykonanych. Rysunki, dopełniające i objaśniające główny przedmiot pracy konkursowéj, jak przy elewacyi, plany i przecięcia, mogą być przedstawiane pobieżnie na małą skalę. Prace szkolne i akademickie mogą być wystawione z odpowiednią wzmianką o wystawieniu po za konkursem, to jest bez prawa ubiegania się o nagrody. Za dzieła konkursowe z dziedziny architektury, mające istotną wartość artystyczną, przeznacza się dwie nagrody piénięźne: rs. 400 i 100.

Nie kwalifikują się na konkurs tak malarstwa, jak i architektury, wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych.

Deklaracye w formie zwyczajnéj korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przesłać należy przed 3 stycznia 1897 r. n. st.

W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością, gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiéj szkole otrzymał wykształcenie artystyczne.

Prace konkursowe nadesłane być winny do lokalu Wystawy Towarzystwa, najpóźniéj do dnia 3/15 stycznia 1897 r. do godziny 3 po południu.

Koszt transportu dzieł, *par petite vitesse*, z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te zostaną przyjęte przez cenzurę rządową i delegacyę sądu konkursowego ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu na żądanie wysyła *franco* lub wydaje na miejscu bezpłatnie Kancelarya Towarzystwa.



Z życia.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Wstęp do polityki.—Gwałty w Turcyi. — Dla czego kwestya wschodnia nigdy nie może być rozwiązana nad Bosforem.—Obrady ligi pokoju w Peszcie.—Dalsze ciągi gdzieindziéj.—Jesienne zamknięcie wielkiéj domowéj wędrówki narodów.—Odgłosy nagród z wystawy niżnienowogrodzkiéj; słówko z tego powodu o prawdziwéj przyczynie niepowodzenia wystawy higienicznéj w Warszawie. — Krótka cudza relacya z wycieczki w Płockie.—Nowa księgarnia.—Tanie jubileuszowe wydanie trylogii Sienkiewicza.

W człowieku tegoczesnym wielkie wstrząśnienia polityczne budzą uczucia nader złożone. Dopóki orkan namiętności szaleje w oddaleniu, jest to tylko „widowisko”, nie lepsze i nie gorsze zapewne od tylu innych. Dopiéro gdy burza ku nam się zbliża, zagrażając naszemu mieniu i bezpieczeństwu, zaczynamy głębiéj i poważniéj zastanawiać się nad jéj istotą i znaczeniem. Wówczas i od sprawozdawców zajmujących się temi zagadnieniami oczekujemy niemal cudu: żądamy żeby z codziennych „politykomanów” przedzierzgnęli się w siedmiu mędrców greckich i zdobyli się dla nas na ostatnie słowo wszechwiedzy, odgadując z tego co jest, to co będzie, co się stać może.

W rozgłośnéj od niepamiętnych czasów kwestyi wschodniéj, żądanie byłoby nawet poniekąd uzasadnioném. W ciągu jednego tylko ostatniego stulecia przybierała ona tyle postaci, ulegała tylu wpływom, przenosiła się na tyle odmiennych stanowisk, nawijając się onegdaj

dokoła wąwozów Heratu, wskakując nazajutrz na wyżyny Pamiru, zanurzając się następnie w falach Mekongu, że się stąd utworzył wystarczająco długi szereg zjawisk dla wysnucia z nich,—jeżeli nie ogólnego jakiego prawa, to przynajmniéj ogólniejszego jakiegoś orzeczenia. Obecnie, skupiło się to wszystko raz jeszcze nad Bosforem, który do niedawna uchodził w oczach Anglików, najbardziéj w sprawie zainteresowanych, za najdalszy obronny szaniec ich posiadłości indyjskich. Najdalszym, naprawdę, nie był on nigdy, skoro w Londynie nawet drogi przez New-York i Pekin w jednym zawsze szły kierunku: ku Kalkucie. Ale za to, z wszelką pewnością godzi się twierdzić, że nie było i nie ma nad Carogród twierdzy, zbudowanéj z dziwaczniejszych i różnorodniejszych materyałów. Jest to niby owa świątynia na Montmartre w Paryżu, któréj każdy kamyk nosi na sobie imie ofiarodawcy i liczbę franków przez niego wniesionych,—albo téż raczéj, jest to majętność ziemianina polskiego, którego hypotekę obsiadły wszelkie możliwe i niemożliwe owady wierzytelności. Trzyma się to kupy dla tego tylko, że się każdy lęka o zatracenie w ruinach tytułów własnéj należności: Grek — z epoki Paleologów, Francuz i Niemiec — z okresu wojen krzyżowych, Rosyanin — od ugody unkiar skelesskiéj 1833 r.,—że już pominiemy Bulgarów, Serbów, Arnautów, Wołochów, Armeńczyków. Stąd to pochodzi niezmierna trudność likwidacyi — i proroctwa. Kędyś tam, na pustyniach Beludżystanu lub wśród kwiecistych kobierców Kaszmiru, niespokojny i przedsiębierczy wyspiarz wielkobrytański ma do załatwienia się sam na sam—to z chanem Kelatu, to z emirem Afganistanu, to wreszcie z wielkorządcą Czytralu. W Konstantynopolu — tu rachunki bezwzględnie są niemożliwe do zamknięcia, ktokolwiek zresztą stałby się gerentem „tureckiéj téj masy spadkowéj."

Jeżeli zatém czytelnik koniecznie wymaga od kronikarza kategorycznéj odpowiedzi, na czém się skończy historya okropnych rzezi ormiańskich, półrzetelnego usamowolnienia Krety i kulejącéj partyzantki macedońskiéj, możemy mu służyć tą odpowiedzią w podwójnéj aż nawet formie: 1) poważnéj, że się rzecz skończy, w razie przedłużającego się wrzenia, na szeregu wybuchów idących wzdłuż Paropamizów na wschód i poprzek pobrzeży morza Śródziemnego na zachód, do Chin z jednéj strony, do Tunisu—z drugiéj; 2) w Europie, skończy się to, naturalnie, na kongresie. I w téj to drugiéj ewentualności tkwi zdziebełko komizmu. Jeszcze za panowania Napoleona III publicyści żartowali sobie z dyplomatów, że zwołują kongresy po to tylko, żeby się późniéj tém mocniéj i nieroztropniéj pobili. Dyplomaci wzięli za-

rzut do serca i z kolei z publicystów zażartowali: po bitwie urządzili jeden, drugi kongres, na którym rzeczywiście stanął pokój. Ale publicyści bynajmniéj przez to za wygranę nie dali. Skoro tak—powiedzieli—skoro kończycie na tém, od czegoście zaczynali, to odwróććież teraz na wylot porządek waszych protokółów i wyrzuciwszy środek, zacznijcie odrazu od drugiego końca... Jest przecie ktoś trzeci, coby trafniéj i rozumniéj — jeszcze zażartować miał prawo, zarówno z dyplomatów, jak i z publicystów,—mianowicie sam padyszach. Bo i cóżby mu zrobiono, gdyby pewnego dnia przejął się starożytną zasadą „oddaj wszystkim w ogólności, co się każdemu należy poszczególnie"— i to uczyniwszy, odjechał do swoich pobratymców w Peszcie, na otwarte tam obrady ligi pokoju i wolności?...

Tu już żart znika bez śladu; tu wracamy na grunt całkowicie realny. Istotnie. Kilkuset przedstawicieli trybuny, palestry i prasy europejskiéj, zgromadzonych nad Dunajem w widokach zaprowadzenia stałych sądów rozjemczych w sprawach międzynarodowych, to fakt najbardziéj może rzeczywisty z tych wszystkich, jakie wiek nasz znikający przekaże wiekom następnym. Teoretycy przeciwnego obozu, apologeci krwawych wśród ludzkości zapasów o chléb lub cześć, wykazujący za przykładem Proudhona lub Emila Zoli, że próba ognia i miecza niezbędna jest przy szczepieniu pokoleniom cnót poświęcenia, karności, odwagi, bohaterstwa, że w masowém starciu się narodów postęp szuka dla siebie wyjścia dla wszelkiéj działalności przyrodzonej, organicznéj, apologeci ci powinniby piękne to swoje rozumowanie rozpocząć od okazania, po pierwsze, że walka zbrojna, w przygotowawczym swym okresie wyrabia w osobnikach te siły fizyczne i moralne, które w powszednim biegu pracowitego życia zapewnić im mogą największą sumę zadowolenia i szczęścia; powtóre, że w okresie czynnym wojna zabiéra ze społeczeństw przedewszystkiém pierwiastki niedołęstwa, gnuśności, kalectwa, zamiast zmiatać zdrowie, młodość, energię. Bez tego wstępnego dowodu, żadna frazeologia w obronie średniowiecznych norm doboru społecznego nie przeważy w ścisłym obrachunku potrzeb czasu i wymagań oświaty nowoczesnéj Jeżeli bowiem na świecie panować mają ci, co na wyścigach wygrywają, to już ścigajmy się raczéj na welocypedach i „samochodach" niżli na lawetach i jaszczykach z prochem. Nie znaczy to jeszcze, iżby to wszystko co od r. 1891, od zebrania się w Rzymie pierwszego takiego „komersu przyszłości," nagadano publicznie i w rezolucyach zaregestrowano, miało głębokość filozofii Kanta. Nauka z doświadczenia płynie, doświadczenie z laty przychodzi. Poczekajmy, miejmy cierpliwość.

Dajmy pokojowym kategoryom naszego rozumu choć tyle dni do wyklarowania się, przez ile lat i dziesięcioleci wyrabiały się w nas zwierzęce popędy do bójki. Jak na dziś, i to już wygrana niemała dla idei rozjemstwa międzynarodowego, że zwolennicy jéj obrali na widownię tegorocznych swych wywodów abstrakcyjnych miejsce tak obce wszelkiéj abstrakcyi i „utopii.” Historya poskąpić mogła i poskąpiła niezawodnie Austro - Węgrom wielu rzeczy cennych, zazdrości godnych, ale doświadczeń nie żałowała im bynajmniéj. Nie urosły one na drożdżach oderwanego, doktrynerskiego jakiegoś dogmatyzmu. Kompromis był i pozostał cechą znamienną i genezyjną zasadą dziejowego ich rozwoju. Dawno już zauważono, że monarchia rakuska nie jest wcale państwem odrębném w Europie, lecz samą tą Europą na mniejszą skalę. Jéj wielobarwny ustrój narodowy, jéj różnopochodne tradycye polityczne, jéj spiętrzone i uwarstwione ordynacye wyborcze i przedstawicielskie, wszystko to utrzymywało się zawsze prawami téj saméj równowagi niestałéj, któréj wahania się i obroty stanowią całą treść kombinacyi dyplomatycznych w zawiłych stosunkach między oddzielnemi mocarstwami. Słowem, jest to skrysztalizowany już okaz zjednoczonych stanów przeszłości, który względem krysztalizujących się dopiéro wyobrażeń o zjednoczeniach przyszłych, staje jako zasobna, nieprzebrana skarbnica wskazówek i przestróg, jako nieustający komentarz faktów, prostujących lub miarkujących polot fantazyi w krainy ideału. Goście peszteńscy mają tu na co patrzéć i znajdą nad czém się zastanowić.

Szerszą i bez porównania gładszą powierzchnią płynie życie gdzieindziéj. Mniéj zawad u podstaw, więcéj swobody u góry; nauka, na ogół—średnia. Cesarz Wilhelm usunął starego swojego ministra wojny, przybrał młodszego, bliżéj do swéj monarszéj osoby przystającego: to dalszy tylko ciąg przemian pod wywieszoném przed paru laty godłem: wola królewska najwyższém prawem. W Hiszpanii ukazali się byli karliści, ale ich ze stanowisk i z uwagi publicznéj wyparły depesze carogrodzkie: to jedyna, jak dotąd, pociecha gabinetu p. Canovas'a wśród niesłychanych wciąż wrzasków stronnictw republikańskich i socyalistycznych. Włochy wreszcie w tych dniach zawrą prawdopodobnie traktat z Menelikiem: to będzie najwspanialszy, ale i nie ostatni ślubny bukiet do zaofiarowania uroczéj księżniczce Helenie Czarnogórskiéj, narzeczonéj księcia Neapolu.

Wielka wędrówka narodów, znana u nas pod postacią przenosin wśród lata na mieszkania letnie i ku zimie na leże zimowe, lubo w tym roku była znacznie wstrzemięźliwsza, pociągnęła jednak za sobą

liczniejsze jeszcze być może niż lat poprzednich narzekania prasy i w prasie. Żywność na targach podmiejskich równie niemal droga jak w Warszawie i rzadsza znacznie, bo przechwytywana w trakcie dostawy przez przekupniów, lokale niewygodne, zaopatrzone w przedhistoryczne akcesorya domowe, w początkach sezonu zawiele słońca, przy końcu zawiele deszczu — alboż to nie dowód niezaprzeczony, że odpowiedzialność spada tu wyłącznie na posiadaczy ziemi i niebios. I nie żadna to gra słów lub szykana, lecz oczywistość w oczy koląca, że dokoła Warszawy, o mil pięć w promieniu już i niebo wyprzedane zostało. Supiński twierdził niegdyś, że „ziemię przyroda dała darmo;" stosował to jednak zapewne albo do czasów zbyt dawnych, albo do krajów zbyt odległych. U nas obecnie, chcąc mieć, na parę choćby godzin, kawałek tylko nieba nad sobą, nie zakopcony dymem fabrycznym, nie zasnuty kurzem podróżnym, nie przesycony wyziewami trującemi, trzeba przepłacać woźnicę i prosić by znalazł jakąś leśną polankę o milę, o dwie od głównéj, urzędowéj rezydencyi letników. Woda do picia gorsza nieraz niż do mycia, kąpieli zaledwie tyle, co w wanienkach przy synagodze, w t. zw. „mykwach;" tymczasem stawy — obszerne, starodawne stawy, zalega muł i pleśń... Więc siedzisz oto w zatęchłéj chacie od rana do wieczora i oczekujesz zmiłowania Bożego pod postacią komarów i p o ż y c z o n é j książki, — pożyczonéj oczywiście, bo o czytelniach nie ma co i myśléć. Wyjrzałoby się w pole, do żeńców, do kosiarzy, ale chyba po to, żeby zaraz wrócić z duszą smutkiem przepojoną. Nasłuchałeś się niegdyś opowiadań od Niemców, iż wieś zachodnio-słowiańska tém się właśnie najbardziéj różni od rodowitéj germańskiéj, że w niéj przy pracy rojno, wesoło, śpiewnie. Rosną siły,—mówili — krew w żyłach radośniéj tętni, gdy po niwach rozleje się chór polskiéj pieśni: P o l a j u ż b i a ł e... Oniemieliśmy dziś i na téj spuściźnie...

Miasto! Ruch, gwar, na chodnikach rumiane twarze wracającéj do szkół dziatwy. W dziennikach — długie listy nagród otrzymanych na wystawie w Niżnim Nowogrodzie. Że są długie, to bardzo dobrze; że w nich firmy i nazwiska mniéj głośne i mniéj znane idą na wyprzódki z dawno utartemi, to jeszcze lepiéj. Doznajemy pociechy, otuchy. Nie na długo wszakże. Spotykamy kolegę, który w Niżnim-Nowogrodzie porównawczo te sprawy rozważał. Nie unosi się. Honor pawilonu, powiada, utrzymany, ale nic więcéj. Luk pełno—i wszystkie w działach pierwszorzędnéj doniosłości. Drobnego przemysłu włościańskiego — ani na pokaz; narzędzi i machin rolniczych, przeznaczonych dla uboższych gospodarstw—tyle tylko akurat co na pokaz; wytwory pracy fachowo-współdzielczéj, zbiorowo zorganizowanéj—do odszukania chy-

ba w najbliższym czasie; co do reszty—rzeczy to udekorowane jeszcze na wystawach powszechnych w Paryżu 1889 i Chicago 1891 r., a więc: niezłe tanie tkaniny z Łodzi i bardzo wygodne obuwie z Warszawy — w większych ilościach. Trochę przytém tępych i najbardziéj przez to poszukiwanych noży, parę tuzinów giętych i giętkich stołków, sztuk z osiem płótna nie tracącego gęstéj miny nawet obok płócien jarosławskich, wreszcie papiér wyborny,—nie przelewający pod piórem, nie rozłażący się pod palcami w książce. Ostatecznie, nagrody udzielane nic same przez się o pożytku i udaniu się wystawy nie świadczą. Dowód—na naszéj higienicznéj. Miała okazy do pozazdroszczenia na drugiéj półkuli, wystąpiła z dyplomami honorowemi, wystylizowanemi jak dla Pasteurów, Edisonów i Röntgenów, a jednak nie wykręci się od wyroku potomności, że się nie udała. Doszło z tego powodu do formalnego ataku na słabszą połowę rodzaju ludzkiego, powołaną jak wiadomo do królowania w kuchni, pokoju dziecinnym, garderobie i kurniku; zasypano ją posądzeniami, że gorliwiéj dba o jaskrawe piórko kapelusza niżli o nieposzlakowanie czysty rąbek sukienki, że chętniéj ucieka się do trociczki niż do proszku dezynfekcyjnego, że sporzéj zużywa bielideł niż mydła... Przesada. Mniemałbym owszem, że w całéj téj kwestyi wina spada niepodzielnie na d-ra Alfreda Nossiga, który we Wstępie do higieny społecznéj (zob. „Ateneum,” czerwiec 1895) wykazał jak na dłoni, że umiejętność pielęgnowania wspólnemi siłami zdrowia wysforuje się na czoło innych gałęzi wiedzy dopiéro w wieku XX-ym. Nie pilno nam snadź — i nie mielibyśmy zresztą po co rwać się tak bardzo naprzód. Chętniéj już może zawrócilibyśmy wstecz,—ot np. do czasów, kiedy zdaniem Szajnochy w Dwóch latach dziejów pszenica w Gdańsku popłacała do tyla, że starczyło na złote gotowalnie i miednice na wyprawie wojennéj...

Spóźniona złośliwość! Lichym dowcipem nie załatać nędzy, która i bez porównań zuchwale wyłazi dziś ze wszystkich nor i kątów. Choćbyś wzrok stracił—słuch ci dopisze. Skwiérk idzie za tobą gdziekolwiek się obrócisz. Zaledwieś pożegnał jednego podróżnika, z Niżniego-Nowogrodu, opada cię drugi, bliższy zagorzały, co prawda, antysemita! Ten przybywa z Płockiego. Zwiedził dobry kawał téj saméj ziemi, którą Andzéj Swięcicki na progu wieku XVII-go opisał. Był w Płońsku i zamiast „kilku rodzin żydowskich” zamieszkujących niegdyś zdala od kościoła murowanego, ujrzał „niezliczone ich gromady;” był w Szreńsku, „sławnym z wybornego zamku”—na zamku dziś żydzi; był w Drobinie, „mieście przyjemném ze swoich ogrodów” — w ogro-

dach żydzi; był w Bielsku, „mieścinie nikczemnéj"—i w nikczemnéj mieścinie żydzi. W Mławie, Niedzborzu, Ciechanowie, Raciążu — wszędzie żydzi...—A po wsiach?--zagadnąłem.—„Po wsiach?... Parcelacya po wsiach udała się nad podziw. Zgarnęła pod siebie i zwierzyńce i sady, i kaplice i obory — do cna, do cala. W wielu miejscach, na przestrzeni, mil pięciu, sześciu, nie zoczysz jednéj malowanéj bryczki, nie posłyszysz półwyrazu książkowego, nie pochwycisz ćwiartki papiéru do skréślenia straszliwego wrażenia, jakie ten rozwój agronomiczny wywiera... Gdyby nie plebania, zrzadka tu i owdzie do omszonego kościołka przytulona, wskoczyłbyś chyba do wody, chcąc nocleg spędzić bez trosk i obaw korisologicznych i konisedologicznych..."

Jesień, chłód, szeleści liść suchy. Nie zupełnie świadom jeszcze granicy, oddzielającéj w poważném czasopiśmie miesięczném świeże moje stanowisko kronikarza od pospolitéj reporterki dziennikarskiéj, zajrzałem do pp. Dubowskiego i Gajewskiego przy ulicy Chmielnéj, nr. 30, aby się cokolwiek pokrzepić widokiem świetnie podobno zapowiadającego się rozkwitu—na mróz—piśmiennictwa ojczystego. Rozczarowania tym razem, ma się rozumiéć, nie doznałem. Najprostsza to rzecz w świecie, że domy nakładowe wydają przedewszystkiém książki do czytania – to jest takie, które są jeszcze, niekiedy, czytane. Macież tedy na froncie: Ramestana „Przypadek czy zbrodnia" i „Palec boży", Arwora „Dygnitarzy wioskowych" i „Kosztownych dobrodziejów", Junoszy „Sumę na Kocimbrodzie", Dygasińskiego „Dramaty lubądzkie" i t. d. Niepodobna mi przesądzać, jaki los spotka w obiegu te dzieła. Wyznam tylko, że tknęło mię niemiłe przeczucie z powodu umieszczenia tych książek obok „Poezyi" Antoniego Langiego, wydanych przed rokiem w Krakowie i nader życzliwie powitanych przez krytykę. Odznaczając się wyjątkową podniosłością myśli, doborem wdzięcznéj treści, natężeniem artystycznego obrobienia, utknęły one w powodzeniu, jak zapewniają, na dziewięćdziesiątym siódmym egzemplarzu...—pokrywając w ten sposób koszta druku czterech pierwszych arkuszy... Nie smaczna u nas dola czy to chwalących czy naganiających! Przetnijmyż i ten przedmiot ogólnikiem, przesłanym na dobro nowopowstałéj firmy księgarskiéj, że jak ze wszystkiego wnosić należy, pp. Dubowski i Gajewski punkt ciężkości swych zamiarów wydawniczych umieścić postanowili — na najbliższą przyszłość — w wydawnictwach dostępnych, przeważnie broszurkowych, takich np. jak kilka powiastek hr. Lucyny Stadnickiéj „Dla moich dziewczynek," „Z pod włoskiego nieba," lub téż jak owo ich Ognisko domowe czyli „Kalendarz popularny ilustrowany," wysztywtowany ozdobnie,

wykwintnie niemal, a przecież przypominający bajecznie niską swą ceną najsławniejsze ongi z tego zakresu prototypy częstochowskie i berdyczowskie"... Takie to mają być skutki... parcelacyi!

Nie wykroczymy z obrębu bieżących spraw społecznych, tejże co i powyższa natury, gdy wspomnimy na zamknięcie o ukazaniu się trylogii Sienkiewicza (Ogniem i mieczem — Potop — Wołodyjowski) w sześciu tomach taniego „jubileuszowego" wydania. Nakładcą jest p. Hipolit Wawelberg; cena zaś za całą trylogię (2 rs.) wskazuje, że chodziło tu o dowiedzenie spornego dotąd tematu o możliwości u nas tanich wydawnictw nie tylko na małe ale i na większe rozmiary. Zapiszmy też przy sposobności, że pewna cząstka zasługi w dojściu do skutku światłéj i praktycznéj myśli p. Wawelberga, łączy się i w danym także wypadku z imieniem świętéj pamięci profesora Adolfa Pawińskiego. Drobna gałązka uznania rzucona z tego powodu na grób nieodżałowanego historyka, niech skromnym cieniem milczenia okryje setki innych w tymże kierunku podjętych starań i zachodów nieboszczyka.

I. T. Hodi.



NEKROLOGIA.

† **Zygmunt Józef Erazm Kaczkowski**, jeden z najznakomitszych powieściopisarzy polskich, po kilkomiesięcznéj chorobie zmarł w Paryżu 7 września r. b. i pochowany został na cmentarzu w Montmorency. Znaczenie zmarłego w dziejach literatury naszéj zbyt jest wielkie, ażebyśmy na tém miejscu szczegółowo przedstawiać je mieli; przypomnimy więc tylko główniejsze daty z jego życiorysu i twórczości. Urodził się w r. 1826 we wsi Bereźnicy, w ziemi sanockiéj. Kształcił się najprzód w domu, potém we Lwowie, następnie w Przemyślu, nakoniec w uniwersytecie lwowskim, z początku na wydziale filozoficznym, a daléj na prawnym. Pierwsze swe prace wierszem i prozą drukował roku 1845 w „Dzienniku Mód paryskich" we Lwowie. Po kilkoletniéj przerwie wystąpił znów na widowni literackiéj w r. 1850, a w roku następnym wsławił się małym, ale nadzwyczaj barwnie nakreślonym obrazkiem p. t. „Bitwa o chorążankę". Odtąd przez lat 11 dostarczał czasopismom licznych opowiadań, które następnie w osobnych wychodziły książkach już to pod zbiorowym tytułem: „Ostatni z Nieczujów", gdzie między innemi mieści najlepiéj pod względem artystycznym wykończona powieść „Murdelio"; już to pod szczegółowemi: „Bracia ślubni", „Grób Nieczui", „Starosta hołobucki", „Annuncyata", „Sodalis Marianus", „Żydowscy". Obok tych historycznych wydawał powieści współczesne: „Kato", „Wnuczęta", „Dziwożona", „Bajronista", „Stach z Kępy", „Rozbitek". W r. 1861 założył i redagował we Lwowie dziennik w duchu umiarkowano-zachowawczym p. t. „Głos", ale po ogłoszeniu 161 numerów musiał wydawnictwo przerwać; dostał się do więzienia austryackiego i przesiedział w niém półtora roku. Następnie spotwarzony, wydawszy w obronie własnéj broszurę p. t. „Sądy

i wyroki" (1866), przeniósł się do Wiednia i oddał się sprawom finansowym, które prowadził bardzo pomyślnie. Po krachu z r. 1873 zamieszkał w Paryżu i w dalszym ciągu operacyami bankowemi się zajmował. W roku 1879-ym powrócił do literatury, ogłaszając powieść współczesną p. t. „Graf Rak". Odtąd zabiérał głos w rozmaitych sprawach publicznych i literackich, wydając „Tekę Nieczui" (1883), „List o powieści historycznéj" (1884), „Słowo o romantyzmie", „List otwarty do ks. Bismarka" (po niemiecku bezimiennie); a przytém ogłaszał powieści już to historyczne, już to współczesne, jako to: „Abraham Kitaj" (1887), „Olbrachtowi rycerze" (1889), „Wasi ojcowie" (1892), „Zaklika" (1893), „Święta Klara" (1895). Zamierzał także wydać drugi tom „Teki Nieczui", ale choroba a w końcu zgon nie dozwolił mu spełnić zamiaru. Biblioteka jego i papiéry przejdą na własność Towarzystwa historycznego we Lwowie.

† **Jan Banzemer**, ekonomista, urodzony w Warszawie w r. 1841, ukończywszy tu gimnazyum realne, studyował nauki przyrodnicze i ekonomiczne w uniwersytecie berlińskim, poczém za powrotem do Warszawy, dowiedziawszy się o zamiarze założenia banku hipotecznego dla właścicieli domów, odbył kilkomiesięczną podróż po Europie środkowéj, studyując urządzenia kredytowe hipoteczne miejskie i wynik tych poszukiwań złożył w rozprawie p. t. „Ogólne uwagi nad urządzeniem kredytu dla nieruchomości miejskich" (1862). Rozprawa ta ogłoszona po niemiecku zjednała ś. p. Banzemerowi stopień doktora filozofii w uniwersytecie jenajskim. Bronił w niéj zasad solidarnéj odpowiedzialności właścicieli domów; przyjęto ją w 8 lat późniéj za podstawę organizacyi Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy. W końcu roku 1862-go wróciwszy do Warszawy, wziął ś. p. Banzemer, jako sekretarz, czynny udział w zawiązanym natenczas komitecie, pragnącym, wzorem Schultze-Delitscha, rozpowszechnić zakładanie stowarzyszeń spółdzielczych. Dalsze lat kilka spędzonych zagranicą, obrócił ś. p. Banzemer na uzupełnienie swoich studyów ekonomiczno-państwowych w Paryżu, oraz na obeznanie się z agronomią w akademii rolniczo-leśnéj w Tharancie pod Dreznem i na praktyczne zastosowanie zdobytéj wiedzy przez paroletnią gospodarkę w Galicyi. W roku 1872-im wrócił do Warszawy i poświęcił się dziennnikarstwu już to w „Ekonomiście" i „Niwie", już to w „Gazecie Warszawskiéj", „Wieku", „Echu", a późniéj w „Słowie", pisząc dużo artykułów ekonomicznych o sprawach krajowych: W r. 1879 wydał oddzielnie pracę p. t. „Instytucye przezorności w Królestwie Polskiém" (tłómaczoną na język francuski). W r. 1882 wziął udział w podkomitecie organizującym pierwszy spis jednodniowy ludności w Warszawie. W r. 1886 wydał

„Obraz przemysłu w kraju naszym"; w r. 1889 przekład dzieła Wilhelma Roschera: „Nauka ekonomii, handlu i przemysłu". W r. 1890 powołany został na prezesa zarządu Warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego. „Ateneum" pomieściło także niejedną pracę zmarłego, a ostatnia w r. b. wyszła p. t. „Handel zagraniczny Rosyi". Przebywał on w młodości ciężką chorobę, któréj skutki przechowały i w dalszém życiu. Zmarł w Warszawie 31 sierpnia r. b.

† **Euzebiusz Czerkawski**, filozof, pedagog i polityk, urodził się 4 lutego 1822 roku w Tuczapcach w Galicyi, nauki średnie i uniwersyteckie ukończył we Lwowie i osiągnął stopień doktora filozofii. Bardzo młodo w r. 1843/4 został adjunktem przy katedrze filozofii w uniwersytecie lwowskim; od r. 1845 do 1848 był nauczycielem, a od roku 1847 równocześnie tymczasowym dyrektorem gimnazyum tarnowskiego, w r. 1848/9 profesorem filozofii w ówczesném liceum tarnowskiém; w r. 1849/50 profesorem w gimnazyum akademickiém we Lwowie; od r. 1850 inspektorem gimnazyów w Galicyi i na Bukowinie, w latach 1864—68 w Styryi i Karyntyi; od r. 1871 wykładał filozofię, a potém i pedagogikę w uniwersytecie lwowskim. Prócz tego był członkiem rady szkolnéj, posłem na sejmie galicyjskim i w parlamencie wiedeńskim, gdzie w sprawach oświecenia nieraz głos zabiérał jako ceniony powszechnie specyalista i gdzie czas znaczny był wiceprezesem koła galicyjskiego, kiedy Grocholski piastował godność prezesa. Należał on do rzędu tych ludzi, którzy więcéj praktyczną działalnością (w pedagogii i polityce), aniżeli pisaniem dzieł poważanie i potężny wpływ zyskują. W r. 1859-ym wydał „Plan szkolnéj gramatyki języka polskiego dla niższych gimnazyów i niższych szkół realnych." Toż samo w przekładzie niemieckim pomieściła „*Zeitschrift für österreichische Gymnasien*". W témże czasopiśmie niemieckiém wydrukował ś. p. Czerkawski w r. 1871 rozprawę p. t. „*Die wichtigsten gymnasial-paedagogischen Probleme, deren Lösung der Organisations-Entwurf für österreichischen Gymnasien vom Jahre 1849 unternimmt.*" Dalsze swe prace ogłaszał w „Przewodniku naukowym i literackim", wychodzącym co miesiąc we Lwowie. W r. 1876 znajdujemy tu: „O teraźniejszych naukowych poglądach na budowę społeczeństwa", „Krytyka Zarysu psychologii empirycznéj przez B. G."; w r. 1880: „Język niemiecki w gimnazyach i szkołach realnych" (wyszła ta rozprawa i osobno, str. 114). Jest to nadzwyczaj gruntownie i szczegółowo opracowany projekt, jak ma być w szkołach galicyjskich wykładana nauka języka niemieckiego, ażeby uczeń mógł swobodnie i łatwo posługiwać się tą mową. W r. 1882 w tymże „Przewodniku" (i osobno, str. 103) umieścił bardzo dobrze napisaną rzecz p. t. „Reforma gimnazyów", gdzie

między innemi znajdujemy pod względem dziejów szkół galicyjskich wielce ciekawe sprawozdanie z obrad komisyi, powołanéj w r. 1879 przez galicyjską radę szkolną do zbadania sprawy planów i wykładów gimnazyalnych. Mowa ś. p. Czerkawskiego, miana w r. 1886-ym na sejmie o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich, mieści się w wydawnictwie p. t. „Rozprawa nad wnioskiem posła Romańczuka". Zmarł 21 września r. b. we Lwowie.

† **Władysław Ordyński**, młody literat, rodem z Galicyi, gdzie czas jakiś próbował sił swoich na deskach teatralnych, przybywszy latem r. b. do Warszawy, wziął się do pióra, którém władał dobrze i pomieścił kilka artykułów krytycznych w „Gazecie Polskiéj" (o „Tarłównie", o „Pierwszéj miłości" Konara, o „Biedroniach" Sewera, o „Komedyantce" Reymonta). Otruł się 10 września z niewiadomych przyczyn. Miał ledwie lat 24.



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Сентября 1896 г. — Druk Jana Cotty.

OGŁOSZENIA.

Kancelarya Cesarskiéj Akademii Sztuk Pięknych nadesłała do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém warunki konkursu na wykonanie projektu planów budowy Muzeum Sztuk Pięknych Imienia Cesarza Aleksandra III-go przy Uniwersytecie Moskiewskim.

Podług tych warunków, projekty winny być złożone w Akademii Sztuk Pięknych 10 stycznia 1897 r. dla rozpatrzenia w specyalnéj w tym celu Komisyi, która wnioski swe przedstawi do zatwierdzenia Rady Cesarskiéj Akademii Sztuk Pięknych. Wyznaczono trzy nagrody: pierwsza rs. 1200, druga rs. 800 i trzecia rs. 500.

Komitet Towarzystwa, podając o powyższém do wiadomości pp. Budowniczych, nadmienia, że życzący przyjąć udział w konkursie mogą przejrzéć rzeczone warunki w Kancelaryi Towarzystwa.

